

BULWERSUJĄCY RAPORT „DO RZECZY”

**Odkrywamy plan opanowania
Polski przez ruch LGBT**



TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 40/342 30 WRZEŚNIA–6 PAŹDZIERNIKA 2019

RZECZY



Przegrana rewolucja

Mariusza Maxa Kolonki

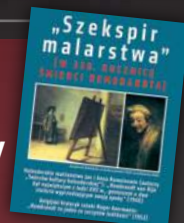
**Historia nieudanego wejścia
do świata polityki**

TRZY MOCNE WYWIADY:

- Marszałek Senatu
Stanisław Karczewski
- Wicepremier Piotr Gliński
- Wiceszef służb specjalnych
Maciej Wąsik

**ŁYSIAK W 350.
ROZNIĆ ŚMIERCI
WIELKIEGO ARTYSTY**

**REMBRANDT
– SZEKSPIR MALARSTWA**



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 77 tys. egzemplarzy



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Walka o szczątki i nie tylko

Hispański sąd najwyższy zdecydował jednoznacznie, by z mauzoleum w Dolinie Poległych wyprowadzono szczątki Francisco Franco. Tym samym zgodził się z żądaniami lewicowego rządu Pedro Sáncheza, który od lipca 2018 r. próbuje doprowadzić do przeniesienia zwłok generała do rodzinnego grobowca. Rodzina Franco się nie poddaje i zapowiedziała zaskarżenie decyzji sądu najwyższego do Trybunału Konstytucyjnego. Jak zakończy się ostatecznie ta batalia, nie wiadomo.

Z polskiego punktu widzenia spór prawny jest czymś najmniej ważnym. Walce o miejsce pochówku generała warto przyjrzeć się z innego powodu: cała historia doskonale pokazuje modus operandi lewicy, nie tylko hiszpańskiej. Mściwość, dążenie do postawienia na swoim za wszelką cenę, nawet jeśli pociąga to za sobą profanację i naruszenie społecznego konsensusu, wreszcie przekonanie, że walka o symbole ma sens kluczowy – wszystko to cechy charakteryzujące nie tylko hiszpańskich radykałów.

To uporczywe dążenie do pozbycia się szczątków generała

pokazuje też ciągłość między obecną, pozornie nową i demokratyczną lewicą a dawną, totalitarną i zamordystyczną, przed której rządami uchronił swój naród Francisco Franco. Już samo to sprawia, że należy w nim widzieć jednego z wielkich politycznych przywódców XX w. Gdyby nie jego odważna decyzja, by przeciwstawić się fali terrorku i lewicowych prześladowań, być może dzisiejsza Europa wyglądałaby całkiem inaczej. Jednak Franco nie tylko ustrzegł swój kraj przed zakusami Stalina, lecz także uniknął realnego zaangażowania wojskowego po stronie Hitlera. Doprawdy, tylko ideologiczna ślepota i zaciętrzenie mogą tłumaczyć niechęć do uznania tych wielkich zasług.

Wbrew dominującej obecnie narracji Hiszpania wczesnych lat 30. nie była krajem wolności i prawa. Przeciwnie. Od 1931 r., kiedy wprowadzono tam ustrój republikański, lewica z coraz większą zaciekłością zwalczała Kościół katolicki – zarówno duchowieństwo, jak i zwykłych wiernych. Zakazano nauki religii w szkołach, wypędzono Towarzystwo Jezusowe (oczywiście inne było ono całkiem

od współczesnego), wreszcie faktycznie zlikwidowano katolickie zakony. Lewicowe bojówki, mając za sobą poparcie rządu, atakowały księży, burzyły pomniki, napadały i paliły kościoły. Stanowisko rządu przedstawił wówczas jeden z liberalnych ministrów: „Wszystkie kościoły w Hiszpanii razem wzięte nie są warte życia nawet jednego republikanina”.

17 lutego 1936 r. odbyły się wybory: chociaż większość głosów padła na partie prawicowe, to większość mandatów, wskutek ordynacji, zdobyła lewica kontrolowana przez komunistów. Za nimi stali, co do tego nie ma teraz żadnych wątpliwości, towarzyszy Stalin i potęga Sowietów. Tuż po wyborach lewica ogłosiła, że zamierza podążyć drogą bolszewickiej Rosji i wprowadzić rewolucyjną antykatolicką politykę. Lewicowe bojówki porwały z domu i zamordowały przywódcę prawicowej opozycji. Mordy dokonywane na księżach i politykach prawicy były na porządku dziennym (w ciągu kilku miesięcy zabito ich 330). Nieustannie palono kościoły. Narastająca fala lewicowej przemocy, krwawej agresji i prześladowań wywołała w lipcu wystąpienie gen. Franco. Powstrzymał on zatonienie Hiszpanii w „morzu krwi” i w ostatniej chwili ocalił ją przed krwawym terrorkiem – jakie byłyby jego skutki, najlepiej pokazują tysiące księży, sióstr zakonnych i biskupów, którzy masowo zginęli w późniejszej wojnie domowej.

Najwyraźniej dla współczesnej lewicy wszystko to nie ma znaczenia. Antyreligijna fobia, nienawiść do tradycyjnego katolicyzmu pozostaje ważnym elementem jej tożsamości. Dlatego właśnie z takim uporem walczy o symboliczne zwycięstwo, o wyrzucenie zwłok Franco z miejsca, gdzie obecnie spoczywają. To część tej samej, powszechnej wojny kulturowej, która toczy się na całym Zachodzie. ©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI CZŁOWIEK Z YOUTUBE

Mariusz Max Kolonko wręczał kwiaty Kwaśniewskiej, handlował dywanami, a teraz chciał w Polsce przeprowadzić rewolucję. Tylko czy naprawdę o to mu chodziło?

KRAJ

22 STANISŁAW KARCZEWSKI
ZAPRACOWALIŚMY NA WIARYGODNOŚĆ
Rozmowa z marszałkiem Senatu

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POWRÓT POLITYKI INTELIGENCKIEJ

28 ROZMOWA Z MACIEJEM WĄSIKIEM
**W SŁUŻBACH W ZASADZIE
NIE MA JUŻ ESBEKÓW**

30 KAMILA BARANOWSKA
SPUREK ODSŁONIĘTA

32 ŁUKASZ WARZECHA
**PLANY LGBT
WOBEC POLSKI**

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
WAKACJE DLA WSZYSTKICH

38 PIOTR T. NOWAKOWSKI
ZŁODZIEJSKA PIGUŁKA

KULTURA

40 WALDEMAR ŁYSIAK
„SZEKSPIR MALARSTWA”
W 350. rocznicę śmierci Rembrandta

48 ROZMOWA Z WOJCIECHEM TOMCZYKIEM
ZŁE ROZDANIE KART HISTORII

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 PIOTR GLIŃSKI
TO SĄ WYBORY O POLSKĘ
Rozmowa z wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego

57 SEMKA PISZE DO TERLIKOWSKIEGO
DLACZEGO?

60 MAREK JAN CHODAKIEWICZ
KIEDY TRUMP ODWIEDZI POLSKĘ

HISTORIA

64 ADAM HLEBOWICZ
HUMAŃ – MIEJSCE ZAPOMNIANE?
Ukraińskie miasto w niewielu akcentach przypomina dziś o polskiej historii

67 DODATEK SPECJALNY
ZBRODNIENIE UKRAIŃSKIE

ŚWIAT

84 JACEK PRZYBYLSKI
GROŹNA GRA W IMPEACHMENT
Histeryczna polityczna zagrywka bardziej niż Donaldowi Trumpowi zaszkodzi Partii Demokratycznej i jej liderce

86 DOMINIKA ĆOŚIĆ
BRUKSELA OD KULIS

90 JOANNA BOJAŃCZYK
GDZIE JEST GHISLAINE

EKONOMIA

92 JACEK PRZYBYLSKI
TURYSTYCZNE TSUNAMI
Bankructwo brytyjskiego touroperatora pociągnęło za sobą upadek spółki Neckermann Polska. A to dopiero początek zmian

ZDROWIE

96 KATARZYNA PINKOSZ
**NOWOCZESNE
POPRAWIANIE URODY**
Rozmowa z dr. Andrzejem Ignaciukiem, ekspertem medycyny estetycznej

98 KATARZYNA PINKOSZ
CHOROBA NADMIARU

Droży Czytelnicy,

Dziś reakcja czytelnika na artykuł Łukasza Warzechy dotyczący parkowania w miastach i odpowiedź autora na tę polemikę. Na Państwa listy czekamy pod adresem: listy@dorzeczy.pl.

Cena za parkowanie

Dzień dobry!

Chyba tylko redaktor Warzecha nie widzi problemów z parkowaniem w centrach większych polskich miast, uważa on bowiem wzrost opłat za parkowanie za skutek fanaberii ekologów.

Szukanie miejsca do parkowania przypomina czasy komunizmu. Wtedy wiele towarów było cenowo dostępnych dla mieszkańców, ale ponieważ towaru było za mało, mieszkańcy musieli biegać od sklepu do sklepu, bo „może coś rzucili”. A jak „rzucili”, to szybko kupować, bo towar zaraz zniknie.

Tak samo jest obecnie z możliwością legalnego parkowania – są dzielnice, gdzie trzeba kilka razy jeździć w koło, aż jakieś miejsce się zwolni, i oczywiście szybko to miejsce zajmować. I dotyczy to również stref płatnego parkowania, gdzie za parkowanie trzeba płacić, ale ceny ograniczone przez parlament są za niskie.

Obecnie nie ma problemu z kupieniem standardowego towaru w sklepie – jest na półce. Dzieje się tak dzięki gospodarce rynkowej, regulującej podaż i popyt za pomocą odpowiedniej ceny (w transporcie nie musi to być pieniądź, czasami dobrym regulatorem popytu i podaży jest czas). Słusznie więc dopuszczono zwiększenie cen za parkowanie (choć nadal z nadmiernymi obostrzeniami organizacyjnymi i cenowymi), bo dzięki temu dano zasadom rynkowym możliwość przynajmniej częściowego działania.

Cena dostosowana do popytu zniechęci część kierowców do codziennego wjeżdżania do śródmieścia, ale umożliwi legalne zaparkowanie tym, którzy jednorazowo muszą w tym śródmieściu zaparkować (przewóz mebli, osoby chorej, sprawa w urzędzie itp.). Po drugie większa cena da szansę na budowę prywatnych parkingów wielopoziomowych w dużych miastach – rynek załatwi to, czego nie mogą rządzący (znowu adres do słusznie minionej epoki). I jeszcze trzeci argument – pamiętam, jak przed

2003 r. zastanawiałem się, czy zaparkować w najdroższej strefie, czy w tej nieco tańszej i dojść piechotą. W ten sposób miejsca dla tych, którym się spieszy i którzy chcą za zysk czasowy zapłacić, były wolne, bo część kierowców wołała zaparkować tam, gdzie z powodu większej liczby miejsc była mniejsza cena. Ale wtedy cena w najdroższej strefie była wyższa niż uchwalona w 2003 r. przez parlament maksymalna stawka.

Dobrze więc, że eliminuje się postkomunistyczne zasady na drogach, że dąży się do zgodności z konstytucją, w której art. 20 zapisano stosowanie zasad gospodarki rynkowej (w przeciwieństwie do komunistycznej gospodarki deficytem), szkoda, że powoli. Dlaczego np. nadal nie można w strefie płatnego postoju dać pierwszej godziny za darmo? Że to działa, widać na wielu parkingach przy supermarketach.

A że podwyżka drastyczna? Jeżeli sztucznie obniżono ceny, a potem przez 16 lat trzymano na stałym poziomie, to trudno się dziwić. W tym czasie bilety tramwajowe zdrożały dwukrotnie.

Pozdrawiam

dr inż. Jeremi Rychlewski, Poznań

**Tu nie ma konkurencji**

Wbrew temu, co Pan pisze, parkowanie nie podlega prawom rynku. Po pierwsze – nie ma tu konkurencji. Miejsce jest ograniczone, a jego właściciel jest jeden: państwo (samorząd). Po drugie – nie ma rozwiązań pozwalających dynamicznie dostosować cenę parkowania do ilości miejsca i popytu. Po trzecie – celem samorządu nie jest gra rynkowa.

Samorządy powinny zapewnić znacznie większą niż dotąd liczbę miejsc parkingowych, tymczasem działają odwrotnie, likwidując je na potęgę.

Łukasz Warzecha

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**

I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),

Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociel**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masko**, **Piotr Semka**, **Łukasz Warzecha**, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowicz**, **Sławomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminia**, **Dominika Coś** (*Bruszel*), **Krzysztof Czałabiński**, **Piotr Gursztyn**, **Maria Kądzelska**, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalcuk** (*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Grzegorz Kucharczyk**, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Makowski**, **Monika Małkowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**, **Filip Memches**, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sekowski**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torąński**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wojski**, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzry**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**, **Jacek Nadratowski**, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**, **Agnieszka Wasilewska**

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **TRICOLORS/EAST NEWS**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Prostkoński**, **Ewa Rylkaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel. 500 112 886

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

Druk: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Cichy zamach stanu

Decyzję Sądu Najwyższego w Wielkiej Brytanii (Supreme Court) uniważniającą prorogację parlamentu nasze media przedstawiły głównie jako ośmieszenie się premiera Borisa Johnsona. Co więcej, okraszano

są zjazdami partyjnymi, a na dodatek parlament pracował bez przerwy od trzech lat. Ważniejsze jest jednak co innego. Prorogacja parlamentu uważana była dotychczas za prerogatywę monarszą – decyzję podejmowaną bez potrzeby wyjaśniania jej zasadności. W praktyce politycznej Zjednoczonego Królestwa decyzję tę podejmował monarcha, ale praktycznie było to tylko dopełnienie decyzji premiera. Ten system wynikał z brytyjskiej kultury politycznej, w której nie ma pisanej konstytucji. Teoretycznie taką decyzję premiera mógł obalić Sąd Izby Lordów, ale byli to politycy, a nie sędziowie.

System działał, aż w 2005 r. lewicowiec Tony Blair przeformował powstanie sądu najwyższego wybieranego według bardzo zawiłej procedury ze środowiska sędziowskiego. Dotąd sąd najwyższy nie oceniał decyzji politycznych. Pierwszym sygnałem zmiany był werdykt z 2017 r., zgodnie z którym sam fakt przegłosowania przez Brytyjczyków w referendum brexitu nie pozwala premierowi ogłosić wyjścia z Unii. Sąd najwyższy

nakazał dodatkowo uzyskać zgodę parlamentu. Tak rozpoczął się kryzys polityczny, z którego Wielka Brytania nie może się wygrzebać do dziś.

Teraz sąd najwyższy orzekł, że prorogacja parlamentu była niezasadna. Liczni konserwatyści brytyjscy wskazują, że jest to faktyczne wprowadzenie nowego systemu politycznego, w którym każda decyzja może być zaskarżona do SN. Tym samym na Wyspach pojawi się zjawisko, przed którym przestrzegali konstytucjonaliści w innych krajach – faktycznego uczynienia z niewybieranych demokratycznie sędziów najwyższej władzy w kraju. Pracami sądu najwyższego kieruje Brenda Hale. Jest ona jedną z liderów kampanii na rzecz zapewnienia równości płci w sądownictwie – chodzi o to, by kobiety stanowiły przynajmniej połowę sędziów. Podobne nastawienie polityczne mają pozostali sędziowie z SN. W ten sposób lewica zyskała nowy punkt odniesienia w swoich sporach z konserwatystami. Czy to Państwu czegoś nie przypomina z kraju nad Wisłą? ©©

Konserwatyści w innych krajach przestrzegali przed tym zjawiskiem, czyli uczynieniem najwyższej władzy w kraju z niewybieranych demokratycznie sędziów

ją efektowną tezę, że brytyjski premier okłamał samą królową Elżbietę II. Mało kto zwrócił uwagę, że werdykt sądu najwyższego wywraca do góry nogami system polityczny Wielkiej Brytanii. Sama prorogacja to decyzja premiera o zakończeniu sesji parlamentu. Były powody do zawieszenia działania parlamentu na pięć tygodni, bo jesienią obrady i tak przerywane

DO AMERYKI WRESZCIE BEZ WIZ

Polacy czekali na to aż trzy dekady. Wreszcie jednak amerykański prezydent Donald Trump ogłosił, że pierwszy raz w historii odsetek odmów w konsulatach spadł poniżej 3 proc., co oznacza, że już za kilka miesięcy Polacy będą w końcu mogli latać do Stanów Zjednoczonych w ramach programu bezwizowego. W Nowym Jorku prezydenci Andrzej Duda i Donald Trump podpisali również deklarację, na mocy której liczba amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Polsce ma wzrosnąć do 5,5 tys. (*jap*) ©©



FOT. WHITE HOUSE/ZUMA PRESS/FORUM

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



**Tragedia Sprawiedliwej.
Wstrząsająca opowieść
Polki ratującej Żydów**

Sławomir Leśniewski – Ród, który stworzył Polskę
Sławomir Koper – Skandale seksualne Piastów
Grzegorz Janiszewski – Polowanie na marszałka Rommla
Tibor Pákh – Siedziałem w czerwonej psychuszcze
Marcin Bartnicki – Zapomniane powstanie sejneńskie
Piotr Zychowicz – Samotność Studnickiego
Tomasz Stańczyk – Sekrety wileńskiej Armii Krajowej
Maciej Rosalak – Statki PRL w pułapce na Tajwanie

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Cuchnący klimat

Wszystko już było. Greta Thunberg i „młodzieżowy strajk klimatyczny” też – i to dość dawno. Pierwowzór „klimatycznej świętej” nazywał się Stefan z Cloyes, miał lat 12, podobnie jak ona nie chodził do szkoły i podobnie występował przed możnowładcami swego świata, opowiadając na dworach królów, cesarza i papieża

w ręce handlarzy niewolników. Co – jak dopiero poniewczasie zaczęto podejrzewać – od samego początku było celem mafii stojącej za biednym pastuszkim.

Widok zgromadzonych na ONZ polityków, okłaskujących gorąco rozhisteryzowaną dziewczynkę, miotającą im w twarz oskarżenia, że ukradli jej dzieciństwo i marzenia, oraz prorokującą „początek wymierania” i całkowitą zagładę ludzkości w przeciągu 10 najbliższych lat, wydaje się przerastać wszystko, co wymyślili mistrzowie teatru absurdu. Tym bardziej że ci najgłośniejsi klaszczący wsiedli potem do produkujących ogromne ilości mającego jakoby spowodować tę zagładę limuzyn, rozlecieli się produkującymi jeszcze większe ich ilości odrzutowcami do swych krajów i zabrali się do liczenia kasy, którą zarabiają na klimatycznej hysterii. Handel „limitami emisji”, wyciskanie z biedniejszych

i ze słabszych kasy za transfer „przyjaznych klimatowi” technologii, wypychanie ich z rynków itd... Dla takiej kasy można schować do kieszeni wszelkie skrupuły, jakie mógłby ktoś mieć w związku z histeryzowaniem dzieci i wykorzystywaniem ich do nakręcania brudnej kampanii.

Wszystko już jednak było. Dzieci zawsze wzruszą. Jeden dziecięcy trupek obfotografowany na tureckiej plaży skruszył ostatnie bariery dzielące mafie handlarzy ludźmi od krociowych zysków. Przed laty ustawione zdjęcie zapłakanych, obdartych z ubrań wietnamskich dzieci uciekających przed uzbrojonym po zęby amerykańskim żołnierzem bardziej przyczyniło się do zwycięstwa Sowietów i ich zachodniej komunistycznej agentury nad demokracją niż czołgi i bombowce. Tak się kręci ten świat. Parszywieńko. ©©

Wszystko już było. Dzieci zawsze wzruszą

– ale także na licznych odpustach i jarmarkach – o doznanym objawieniu. Skutkiem tych opowieści oraz wzruszeń wokół nich zagregowanych była tzw. kruczata dziecięca: irracjonalne poruszenie wśród nastolatków, którzy w większości wpadli potem



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Narrację eurodiabli wzięli

Dziwna opinia rzecznika TSUE – z nieskrywanym niezadowoleniem ogłosiła „Polityka”. Samozwańczo „demokratyczna” strona polskiej sceny politycznej satelituje wokół mediów z ul. Czerskiej zaczęła prześcigać się w wygibasach, by przekonać wyborców, że to, co wpłynęło z TSUE do Polski, nie oznacza tego, co faktycznie oznacza. Zgodnie zresztą z jakże bliską od lat obozowi lewicowo-liberalnemu zasadą, że jeśli fakty mówią co innego, to tym gorzej dla faktów. Tym razem są one jednak nieubłagane.

Otóż rzecznik Trybunału Sprawiedliwości UE Jewgienij Tanczew,

znany dotąd z bardzo krytycznego podejścia do zmian w polskim wymiarze sprawiedliwości, uznał pytania prejudycjalne skierowane do TSUE przez sędziów z Łodzi i Warszawy, a dotyczące rzekomego zagrożenia dla niezawisłości polskich sądów za niedopuszczalne i niczym nieuzasadnione.

Tanczew uznał bowiem, że opowieści o tym, jakoby władza w Polsce miała wykorzystywać nowe przepisy dotyczące postępowań dyscyplinarnych, by ścigać i karać tych sędziów, którzy nie chcą orzekać po myśli władzy – w domyśle PiS, są z mchu i paproci. W sensie – kupy się nie trzymają, bo są

jedynie mocno subiektywnymi ocenami, które się nie urzeczywistniły.

Opinia rzecznika dla TSUE oczywiście nie jest wiążąca, ale rzadko się zdarza, by była podważana. Podważyła natomiast bardzo mocno opozycyjną narrację o zamachu na wolne sądy, gwałceniu demokracji i konstytucji, sztandarową narrację ludzi Tuska, Schetyny i Michnika powielaną przez obóz lewicowo-liberalny od ponad roku. W świetle stanowiska rzecznika TSUE można bowiem mówić, że jeśli do gwałtu doszło, to był to jedynie polityczny gwałt opozycji i części środowiska sędziowskiego na zdrowym rozsądku. ©©

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY”**

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA
I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**W PREZENCIE
KSIĄŻKA:**

ANDRZEJ FLONT
„GRA CIENI.
21 NAJBARDZIEJ
Tajemniczych
POSTACI W HISTORII
CYWILIZACJI”

~~731~~ zł



280,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
451 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 mężach stanu

Od kilkudziesięciu lat narzekamy, że nie ma już na świecie gigantów słowa i czynu na miarę de Gaulle'a, Churchilla czy Brandta. Być bowiem nie może. Żyjemy wszak w innych czasach, życie toczy się szybciej, a narzędzia dyfamacji jako politycznego oręża osiągnęły stan doskonałości.

Nie tylko pomniki spadają z cokołów. Praktycznie bezlitośnie niszczone jest każdy, kto nieopatrznie wdepnął w coś, co nadal nazywa się polityką, a powinno inaczej. Oczywiście często ofiara jest sama sobie winna. W efekcie masowemu upadkowi jednych towarzyszy masowa produkcja innych, nierzadko bezprzykładowych miernot.

I tak jednak fachowcy od picu i propagandy, wspierani dzielnie przez media, nie mogą nadążyć. Doszło do

paranoicznej sytuacji, w której trzeba sięgnąć po recykling. Propagandyści wyciągają z szamba facetów, których tam sami wrzucili. Pucują ich, perfumują, ubierają w nowe szatki i przedstawiają zdezoriorntowanej publice jako zbawców narodu i mędrców, od których mógłby się uczyć Salomon. Obecnie trwa recykling premiera Giuseppe Contego. W Italii zajmują się tym teraz wszyscy politycy lewicy i najważniejsze media, od publicznej telewizji RAI do dziennika „Corriere della Sera”. Ba! Pomocną dłoń wyciągnęli pani kanclerz Merkel, prezydent Macron i cała unijna wierzuszka.

Conte jeszcze dwa miesiące temu zbywany był pogardliwymi epitetami. Cytuję tylko te, które nadają się do druku: „Mierny, prowincjonalny profesorek”, „Lokaj wicepremierów Salvini i Di Maio”, „Figurant”, „Kukła”, „Nudziarz, którego nie można słuchać, bo potem bolą zęby”, „Miernota, której przewróciło się w głowie”.

Wystarczyło, że Conte stanął na czele nowego koalicyjnego rządu, w którym lewica zastąpiła prawicową, niechętną Unii oraz migracji Ligę i stał się cud. Te same osoby i te same media, które przedtem bezprzykładnie obsobaczały Contego, teraz kreują go na niezależnego, obdarzonego łaską mądrości wielkiego męża stanu. Co więcej, wiele wskazuje na to, że sam Conte w to uwierzył. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Szowinistyczny negacjonista

Właściwie nigdy nie pozwalam sobie w tej rubryce na prywatę, ale w tym wypadku zrobię wyjątek. Przytoczony dialog pokaże państwu, czym się kończy karygodne, męskie, seksistowskie i przemocowe... skrytykowanie formy przemówienia ekoaktywistki Greta Thunberg. „Walka ze zmianami klimatycznymi walką ze zmianami klimatycznymi, ale to się powoli przestaje robić patetyczne, a zaczyna smutne. Dziecko zanoszące się płaczem na skraju czegoś, co wygląda na załamanie nerwowe. Sprawy nie pomaga” – napisałem po jej wystąpieniu w ONZ. No i się zaczęło.

„**To ciekawe, że tyłu prawicowych mężczyzn** w tak emocjonalny sposób – bo przecież nie merytoryczny – atakuje personalnie Gretę, jednocześnie krytykując ją właśnie za okazanie emocji. Tyle że ona robi to przy okazji przedstawiania wyników badań naukowych, a Panowie nie” – stwierdził Stanisław Krawczyk z magazynu lewicy katolickiej „Kontakt”. „Bronią wspólnoty strachu, do tej pory oni straszili, teraz ktoś inny im odbiera ten monopol” – odpowiedział mu znany skądinąd kandydat na różne stanowiska Jan Śpiewak.

I tak panowie jeden drugiemu zaczęli wtórować, prześcigając się w mądrościach. „Mam hipotezę, że bronią władzy. Jeśli ktoś stał się częścią systemu, a tu nagle osoba niebędąca białym konserwatywnym mężczyzną (najlepiej w średnim lub starszym wieku) zaczyna go podważać, to nawet »umiarkowana« prawica od razu reaguje stereotypami, atakami i wykluczeniem” – Krawczyk. „W sensie, że patriarchy? To na pewno też. Seksizm i paternalizm przebiega przez większość tych wypowiedzi. Redaktora Makowskiego niestety też” – Śpiewak.

Za mało ideało? Jedziemy dalej. „Tu akurat myślałem bardziej o systemie medialnym i politycznym, w którym interesy i wartości konserwatywnych mężczyzn w średnim wieku są tak dobrze reprezentowane, że dopuszczenie głosów podważających ów system wydaje się zagrożeniem. I może nawet istotnie nim jest” – uściśla Krawczyk. „Czy Wy się koledzy czasami czytacie na głos? Jednak polecam ten eksperyment. Czasami krytyka formy czyjegoś wystąpienia jest po prostu krytyką formy czyjegoś wystąpienia, a nie paternalistyczną i seksistowską kpinką z tej osoby, obliczoną na utrzymanie męskiego »monopolu strachu«” – włączyłem się do dyskusji. Reszty oszczędzę. Jednak nie dało się panom wytłumaczyć, że nie jest się wielbłądem. ©

Jeśli ktoś wywiezie powyżej 15%, to trzeba będzie pomyśleć o zakończeniu projektu „Platforma”



Już 29 października

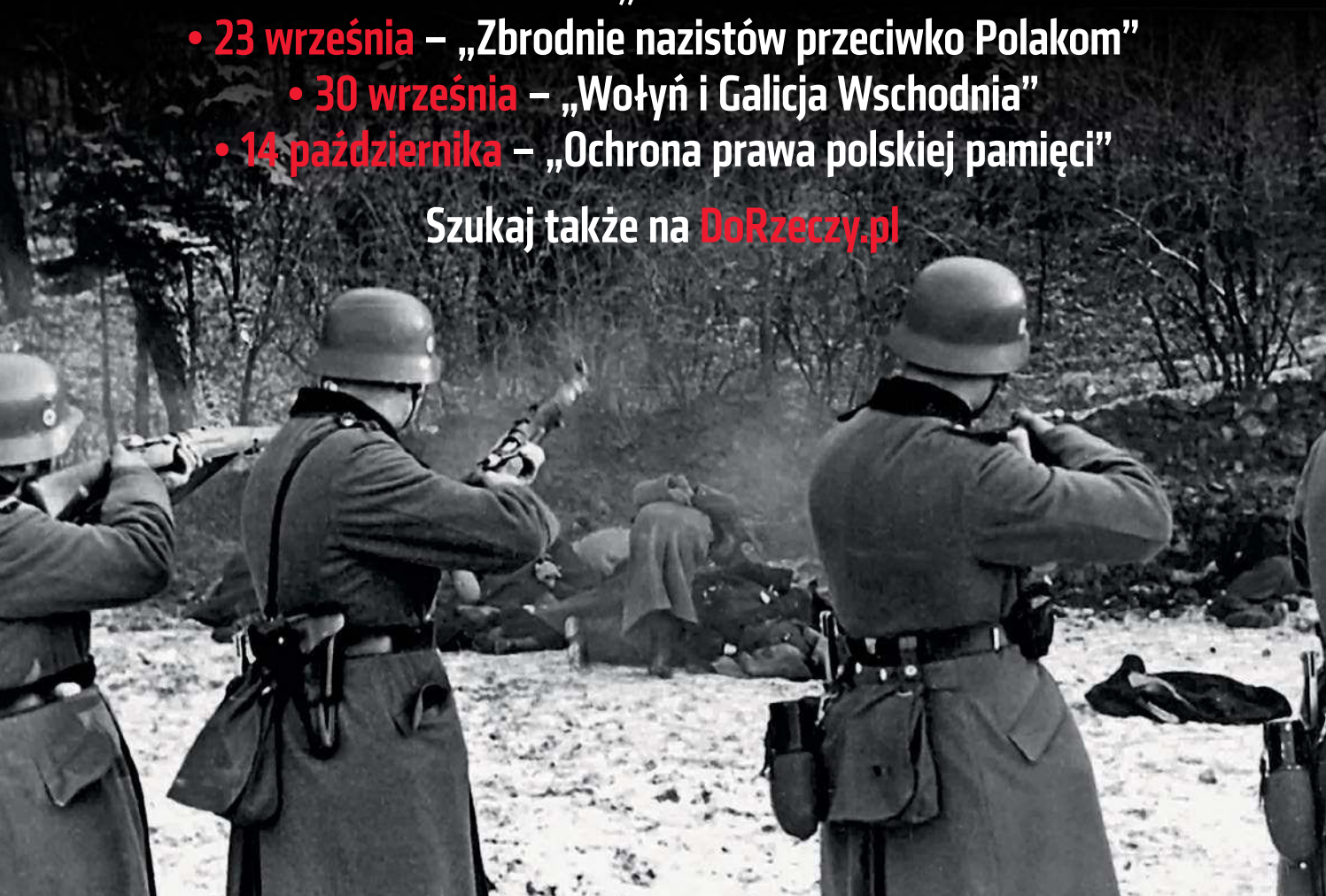
Konferencja

„Polska hekatomba i walka z polonofobią”

Co tydzień w tygodniku „Do Rzeczy”:

- 16 września – „Zbrodnie sowieckie”
- 23 września – „Zbrodnie nazistów przeciwko Polakom”
- 30 września – „Wołyń i Galicja Wschodnia”
- 14 października – „Ochrona prawa polskiej pamięci”

Szukaj także na DoRzeczy.pl



Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości,
którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Organizatorzy:

ALBO KARIERA, ALBO STUDIA

Julia Wieniawa, celebrytka, która cieszy się niesłabnącą popularnością, wciąż musi odpierać zarzuty o to, że po maturze nie poszła na studia. Wiele razy tłumaczyła, że to ze strachu, iż przegapi swoje pięć minut w show-biznesie, a przez cały okres studiów ludzie zdążą o niej zapomnieć. Bo jeśli poszłaby do szkoły teatralnej, o czym ponoć marzy, to w okresie nauki nie mogłaby grać w serialach. To są prawdziwe ludzkie dramaty, tymczasem media kolorowe zupełnie tego nie rozumieją. O co Julia ma do nich pretensje?

W końcu postanowiła sama przeciąć temat, przyznając, że ciągle pytaniami o studia działa jej na nerwy. – Te studia kiedyś zrobię. Ja mam taki plan, ale dajcie mi spokój z tymi studiami! To na prawdę nie jest najważniejsza rzecz w życiu. Uważam, że okres studiowania jest wartościowym czasem, który trzeba dobrze wykorzystać, dlatego

nie chcę na nie iść w momencie peakującym dla mnie, bo nie mogłabym się na nich skupić w 100 procentach – powiedziała celebrytka. – Portale plotkarskie lubią pisać różne rzeczy o mnie. Ja nie poszłam na studia, ponieważ pracuję bardzo dużo na planach. A po to się idzie na studia, żeby pracować. Skoro pracuję, to nie chcę sobie tej szansy marnować – stwierdziła Wieniawa. Ma rację. Bo co jeśli po studiach nie mówiłaby już w wywiadach tego, co mówi dzisiaj, i nie chciała już pozować na ściankach? Całą karierę szlag by trafił. Lepiej nie ryzykować.

JAK ZMARNOWAĆ POTENCJAŁ

Aktorka Maja Ostaszewska w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów” skarży się, że przez swoje polityczne zaangażowanie straciła komercyjne kontrakty. Mówi jednak, że się tym nie przejmie, bo są dla niej sprawy ważne i ważniejsze. – Straciłam także komercyjne kontrakty. Tylko że to nie ma znaczenia. Są priorytety – wyznała. Dodała też, że nie rozumie kolegów z branży, którzy milczą, gdy w kraju szaleją zło i dyktatura. – Prawdę mówiąc, ubolewam, że tak niewielu artystów u nas to robi [zabiera głos – przyp. red.], zwłaszcza kiedy na naszych oczach jedni ludzie zaczynają otwarcie dyskryminować drugich przy przyzwoleniu rządzących i mocno upolitycznionej instytucji Kościoła, nie wyobrażam sobie nie zabrać

głosu. Bycie znanym aktorem czy muzykiem daje szansę dotarcia do ludzi. Choćby mój Instagram, który obserwuje ponad 300 tys. osób – przecież to miasto! Nie powiedzieć o czymś ważnym to straszne marnotrawstwo tego potencjału – przekonuje. Czasem zbyt dużo mówienia o czymś, o czym nie ma się bladego pojęcia, może być jeszcze większym marnotrawstwem potencjału. I dobrze, że są aktorzy, którzy to rozumieją.

TO NIE ŻADEN LAJAM!

Żona bramkarza Wojciecha Szczęsnego Marina Łuczenko wybrała się do telewizji śniadaniowej, by opowiedzieć o swojej roli w kontynuacji serialu „39 i pół”. – Wojtek nie był za bardzo zadowolony na początku, mówił: „No jak ty to sobie wyobrazasz, że wyjedziesz i będziesz w tej Warszawie cały czas siedziała? A kiedy ja będę widział Liama?” – wyznała piosenkarka. – No więc wiadomo, to była trudna decyzja, ale w głębi serca czułam wielką radość. Bardzo fajnie to się później poukładało – wyznała. W pewnym momencie rozmowa całkiem zeszła na jej małego synka. Wtedy właśnie prowadząca program Anna Kalczyńska nieopatrznie nazwała go „Lajamem”, co bardzo oburzyło Marinę. – Liama, Liama, nie Lajama. Kto w ogóle wymyślił „LAJAM”? To jest LIAM! – sprostowała urażona. Później na Instagramie próbowała całą historię wyprostować i jak zwykle swoje pretensje skierowała pod adresem mediów. – Wiadomo, zawsze chodzi o to samo, żeby zrobić ze mnie jakąś idiotkę, która na coś takiego reaguje w taki sposób, bardzo emocjonalny – stwierdziła. To nieprawda, że media robią z niej idiotkę. One ją tylko cytują. Bardzo wiernie.

Z EDZIĄ NIE JEST ŁATWO

Edzia Górniak bierze udział w nagraniu do programu „My Way”, emitowanego w TVN. Będzie w nim uczyć się jazdy samochodem. Kulisy pracy z gwiazdą zdradził „Faktowi” jej instruktor Filip Raszewski. Powiedział, że całkiem nieźle jej idą początki, ale najgorsze jest to, że Edzia ciągle gada i to wcale nie o sprawach związanych z autem czy ruchem drogowym. – Pani Edyta często zagaduje mnie nie na temat i ciężko jej się skupić na samej jeździe i znakach drogowych. Jeszcze chyba nie zadała żadnego pytania o to, co jest na drodze – opowiada instruktor Edzi. – Podpytuje mnie o to, co myślę o niektórych sprawach społecznych i co się dzieje w moim życiu prywatnym. Ale wie już, że jestem żonaty – dodaje. Zaczynamy współczuć temu panu. Jeśli prawdą jest, że Edzia dostała milion za udział w tym programie, to on powinien dostać drugie tyle. Za pracę w szkodliwych warunkach. © ©



FOT. KRZYSZTOF JAKOŚ / FORUM



FOT. PAMEŁA GROMADA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, osoboprezydent Francji Macron skrytykował ten kraj (tzn. Polskę), za to, iż blokuje działania na rzecz powstrzymania globalnego ocieplenia i ratowania klimatu.

Trudno się nie zgodzić z taką oceną sytuacji, w jakiej znajdują się świat i Europa. Ten kraj bowiem nadal korzysta z węgla, a Podkarpacie nawet jeszcze z drewna i suszonego mchu, do ogrzewania swoich chałup. Co więcej, w tym kraju z węgla produkuje się nawet prąd, zamiast łapać błyskawice do słoiczek.

Tymczasem na zachodzie Europy już dawno sobie z tym poradzano. Francuzi produkują energię z otwartości, tolerancji i gorących nastrojów społecznych. Niemcy – z radosnych i pełnych miłości serc i uśmiechów.

W Polsce tymczasem jest zimno, ponuro, nikt się nie uśmiecha i nie produkuje gigawatów pozytywnej energii. Zamiast tego piętrzą się hałdy, a młodeż maszeruje w nacjonalistycznych

pochodach. I co ten biedny Macron może w tej sytuacji zrobić?

Pisząc te słowa, nie wiemy, czy polscy siatkarze dokonali rozboju na mistrzostwach Europy, zdobywając złoty medal, czy w porę się opamiętali, przeprosili i przegrali.

W każdym razie poruszyło nas, iż premier Morawiecki udostępnił im rządowy samolot, iżby mogli dolecieć sobie na mecz do Lublany w Słowenii (czy Słowacji – jak się mówi? Słowenia czy Słowacja?)

A kiedy my rano w Krakowie tkwimy w drodze do korpo w korku tramwajowym na Starowiślniej, bo nie ma napięcia w sieci trakcyjnej, to nikt po nas nawet ubera nie wyśle. Widać, na kim rządowi zależy, na reprezentantach siły fizycznej, a nie na intelektualistach.

Podobno w Sztokholmie zaginęła tablica upamiętniająca szwedzko-polską solidarność. Of kors w tym kraju już panuje wzmożenie i Amba-

sada RP zgłosiła temat na szwedzką policję. Żenujące.

Bo tak naprawdę, to pomyślcie sami: czy ta solidarność wciąż obowiązuje? Czy Szwedzi nadal powinni czuć się obowiązani do zachowywania jakiegokolwiek solidarności z tym krajem?

Nie dość, iż ten kraj nie chce przyjmować uchodźców, rujnuje klimat na świecie, stresuje Macrona, kpi z konstytucji, trybunału (ktoś o nim w ogóle jeszcze pamięta?) i demokracji, to jeszcze zgłasza szwedzkiej policji takie drobiazgi, jakby ta nie miała co robić.

Uświadommy sobie wreszcie, iż nikt w Europie nie ma powodów, iżby odczuwać z nami solidarność. Bardzo się tego wstydzimy i mamy nadzieję, że jeszcze uda nam się z tego stanu wyjść, ale najpierw wiadomo, kogo należy odsunąć od władzy... ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)**

REKLAMA



ROBERT MAZUREK – zapraszam o 8:02

Źródło: Radio Track, Kantar Polska, 04-06 2019, audytoryum średniego kwadransu (kwadrans z audycją), dni powszednie.

PORANNA ROZMOWA NR 1

Chełm. Tam skierują się oczy całej Polski. To, co zaczęło się w Lublinie, zakończy się w Chełmie, gdzie odbędzie się na finiszu kampanii wyborczej ostatnia konwencja PiS. Tak mówią wiewiórki.

Wsumie nawet nam się podoba ta idea. 75 lat po tym, jak komuniści zhańbili to piękne miasto manifestem PKWN napisanym w Moskwie, czas najwyższy, żeby Chełm znów stał się symbolem czegoś pozytywnego. Na przykład nadchodzącej drugiej kadencji.

Jesteśmy trendsetterami. Ledwie nasza wpływowa rubryka wspomniała o planowanych głębokich zmianach w konstrukcji rządu, a już zaczęły się o tym rozpisywać gazety. Przypomnijmy, nie chodzi o zmiany personalne, to rzecz oczywista, ale całą mapę ministerstw. Wiewiórki mówią, że najważniejsze będzie jednak nie stworzenie jakiegoś nowego resortu, lecz wzmocnienie premiera i jego kancelarii.

Wyjaśniamy. Chodzi o to, że jeśli teraz coś zostanie uchwalone, to potem grzęźnie w resortach i za rok pismaki wyciągają, że zostało słabo zrealizowane. Teraz premier ma dostać w swe ręce mocny instrument w postaci wzmocnionej obsady kancelarii, żeby mieć nadresort kłujący w tyłek opieszaleńców ministrów i na bieżąco monitorujący postęp prac.

Teraz o personaliach. Wiadomo już, że kilku dotychczasowych ministrów nie będzie w nowej kadencji ministrów. Zamienią się za to w ambasadorów. I to dość szybko, bo jeszcze w tym roku. Co ciekawe, będzie wśród nich prawdziwa gwiazda, bo jak odnotowujemy, pakowanie się rozpoczął już szef resortu odpowiedzialnego za wysyłanie ambasadorów, czyli Jacek Czapa-Czaputowicz.

Chcieliśmy się pochwalić. My też prowadzimy kampanię. Nie wyborczą, ale w innych ważnych sprawach. Ponieważ podobała nam się defilada 15 sierpnia w Katowicach, uważamy, że co roku taka impreza powinna odbywać się gdzieś poza Warszawą. Lansujemy więc ten pomysł, gdzie możemy. Nasza propozycja na przyszły rok to Lublin. Co spotkało się z ciepłym przyjęciem na wyso-

Wiadomo już, że kilku dotychczasowych ministrów nie będzie w nowej kadencji ministrami. Zamienią się za to w ambasadorów

kim szczelbu. Ludu Lublina, pamiętaj, jeśli coś się wydarzy w następnym sierpniu, to dzięki panom G.!

Tymczasem w Eine Totalopposition. Jej politykom zrobiło się nieco ciepłutko, gdy wyszło na jaw, że niejaki Mariusz Kozak-Zagozda hejtuje w necie za pomocą tzw. Soku z Buraka za pieniądze PeŁo. Mamy gorące wieści na temat tego, kto się wysypał. Otóż źródłem przecieku była pewna pani kandydująca z opozycji. Nie z listy Koalicji Łobywatełskiej, ale innej, konkurencyjnej listy opozycji.

Teraz najciekawsze. Owa pani posiada dużo innych informacji o bezpośrednich mocodawcach akcji. Do tego stopnia ciekawych i konkretnych, że nazwę „Sok z Buraka” trzeba by zastąpić nazwą „Sok z Platformy”. Czekamy zatem niecierpliwie na ciąg dalszy.

Wiedzą Państwo, kogo przed wojną nazywano sitzredaktorami? Byli to ludzie, którym płacono za funkcję „redaktora odpowiedzialnego”. Nie robili nic poza odbywaniem odsiadki za redaktora naczelnego, kiedy gazeta popełni jakieś przestępstwo. W ubiegłym tygodniu w tej roli wystąpił pewien osobnik z Anglii, biorąc na siebie odpowiedzialność za rzekome redagowanie „Soku z Buraka”. Mamy złe wieści. Organy ścigania rozważają przesłuchanie go pod rygorem odpowiedzialności karnej. Z ich informacji wynika bowiem, że pan może mijać się z prawdą. Czekamy, czekamy...



dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARCZYŃSKI

Apropos Anglii. Policja zatrzymała tam faceta, który krzyczał: „Faszysta!” do jednego z parlamentarzystów. Jesteśmy przeciwni obcym interwencjom, ale czasem tęsknimy za odrobiną brytyjskiej policji w Polsce. A teraz druga część wiadomości. Wyzywany od faszystów poseł był kobietą. W dodatku labourystką.

Bez żenady narusza prawa parlamentarzystów, co demaskuje go jako populistę, stawiającego własny polityczny interes utrzymaniu się przy władzy ponad demokratyczne instytucje”. Mocne, prawda? Niestety, też nie o Polsce. Nie o Kaczyńskim ani nawet Kuchcińskim. Tak działania Borisa Johnsona opisuje „Westfaelische Nachrichten”. Polska PiS to na tle reszty Europy jednak naprawdę normalny kraj.

Nasze wiewiórki donoszą, że Mariusz Kozak-Zagózdza rozważa numer „na Gawła”. Był to kryminalista z Białegostoku skazany za oszustwa prawomocnym wyrokiem, który prysnął do Norwegii, gdzie uzyskał azyl metodą „na prześladowanego geja”. Norwegom nie przeszkadzało, że facet jest żonaty, w dodatku z kobietą. Więc pewnie też nie będzie im przeszkadzał fakt, że redaktor „Soku” ma córkę pocztą w związku heteronormatywnym.

Iнна bohaterka ostatnich tygodni, niejaką Jachira Klaudia, wybiera się nie za granicę, lecz do polskiego Sejmu z list KO. To wiecie. Czego nie wiecie, to powód, dla którego Grzegorz Król Skorpion Schetyna tak chętnie wziął ją na listy i tuli do platformerskiego serca. Otóż Peło wykalkulowała sobie, że przytuleniem Jachiry i jej hejterskich odlotów zneutralizuje zagrożenie ze strony UB-ywateli RP, nieustannie atakujących Peło w Warszawie za zbyt mały antypisizm. Tak mówią wiewiórki. Ot, zagadka rozwiązana.

Apropos Warszawy. Nie, nie jesteśmy zdziwieni sondażem, w którym 70 proc. warszawiaków uważa Rafcia Trzaskowskiego za superhiperekstraklasa prezydenta miasta. Rabcio przecież taki jest, no i zajmuje się naprawdę ważnymi sprawami. Nie jakimś tam ściekiem w Wiśle albo lewizną przy spalaniu odpadów. Tylko na przykład plebiscytem na warszawiankę roku. Inna sprawa, że uważamy plebiscyt

Na zaproszenie progresywnych
eutopistów siły postępu UE
wkraczają do Polski w obronie
gwałtownych kłót...



za niepotrzebny. Przecież i tak w cuglach wygrywa Czajka.

Ujawniamy, jak to było z tymi dziennikarzami. Znaczący pomysł na uregulowanie zawodu dziennikarza w programie PiS. Otóż luźny pomysł w tej sprawie był w projekcie programu, ale został wykreślony jeszcze przed konwencją w Katowicach. I wszyscy uznali, że sprawa załatwiona. W tajemniczy sposób powrócił do wersji ostatecznej, ale nikt nie chce się przyznać, że go tam włożył.

Na koniec to, co najpiękniejsze. Otóż syn nestora polskich narodowców (jak go tytułuje „Wyborcza”), czyli człowiek zwany Romanem lub Koniem, może zostać honorowym chasydem. Rzecz w tym, że wywalczył chasydom

skonfliktowanym z innymi Żydami synagogę na krakowskim Kazimierzu. Nie ukrywamy, że naszym marzeniem jest zobaczyć Romana w chałacie, w jarmułce i z pejsami. Wtedy każda najmniejsza nawet krytyka Romana będzie aktem antysemityzmu.

Mało kto wie, że Roman od wielu lat uwiarygadnia się jako przyjaciel narodu wybranego. Już w książce „Między prawem a polityką” z roku 2013 wyznał, że Leszka Millera okrutnie denerwuje to, iż Roman „dla Europejskiego Związku Żydów pracuje pro publico bono”.

Apropos lewicy. Fascynują nas złote myśli Wielkiego Przewodniczącego Czaa (tak zwiemy ostatnio Włodka Czarzastego). Na przykład ta: „PiS upadnie jak Związek Radziecki, jak Imperium Rzymskie”. Związek Sowiecki istniał oficjalnie 69 lat, a rzymskie imperium rozpadło się na dwa mniejsze po czterech stuleciach. Czekamy zatem na uściślenie: To ile zdaniem Przewodniczącego Czaa rządzić będzie PiS? Sto kadencji czy tylko kilkanaście?

**Jesteśmy przeciwni obcym interwencjom,
ale czasem tęsknimy
za odrobiną brytyjskiej policji
w Polsce**

Nadchodzi rewolucja – ogłosił Mariusz Max Kolonko, dziennikarz i publicysta, na swoim kanale MaxTV na YouTube. Był wówczas koniec lipca 2017 r., a prezydent Andrzej Duda właśnie zawetował przygotowane przez PiS ustawy sądowe.

– Wy nie macie wizji, panie Kaczyński, pan nie ma wizji rządzenia. [...] Pan powinien ustąpić – grzmiał Kolonko i w programie opatrzonym napisem: „The revolution is coming” przedstawiał własną wizję zmian w Polsce. Z próbą jej zrealizowania czekał jednak blisko dwa lata. Latem tego roku ogłosił własny projekt polityczny „#R Revolution”

wówczas oznaczałoby to, że trochę się od rzeczywistości oderwał. Zastanawiam się, czy jego głównym celem nie było marketingowe podtrzymywanie obecności w polskiej przestrzeni medialnej – dodaje.

Już po zamknięciu rejestracji list wyborczych wśród wolontariuszy wspierających Maxa Kolonkę wybuchły swary, ujawniono też kolejne informacje, które pozwalają na zadanie pytań o faktyczny cel politycznej aktywności byłego korespondenta TVP i TVN w Nowym Jorku. Pytania, które wysłaliśmy drogą e-mailową do Mariusza Maxa Kolonki, do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” pozostały bez odpowiedzi.

Człowiek z YouTube



Wojciech Wybranowski

Wręczał kwiaty Jolancie Kwaśniewskiej, handlował dywanami, prowadzi telewizję internetową i zapowiada w Polsce rewolucję. Eksperti podejrzewają jednak, że Max Kolonko gra raczej o podtrzymanie własnej „marki” na rynku i związane z tym finansowe wpływy

i start w wyborach parlamentarnych. Wiele jednak wskazuje, że zapowiadana przez niego rewolucja skończyła się jeszcze szybciej, niż się zaczęła.

– Aktywność pana Kolonki z politologicznego punktu widzenia nie miała żadnego wpływu na polską politykę, był bardziej zjawiskiem medialnym niż politycznym. Na scenie politycznej był on bowiem bardzo głębokim marginesem traktowanym wyłącznie w kategorii ciekawostki – mówi dr Jacek Kłoczowski, politolog z Ośrodka Myśli Politycznej. – Jeśli uważał, że w taki sposób, który proponował, można wejść do polskiej polityki,

MaxTV na YouTube śledzi 600 tys. subskrybentów. Drugi, płatny już kanał telewizji Kolonki – MaxTVGO (1 dol. za miesiąc) – teoretycznie ogląda 1,3 mln osób.

MAX SZUKA PRZYJACIELA

Po raz pierwszy do polskiej polityki Max Kolonko próbował wejść na początku tego roku. Negocjował wtedy start w wyborach do Parlamentu Europejskiego z list środowisk, które nieco później utworzyły partię Konfederacja. Rozmawiał z działaczami Ruchu Narodowego, a jak informowała Wirtualna



Polska, do Stanów Zjednoczonych miała wybrać się też delegacja ówczesnej partii Wolność Janusza Korwin-Mikkego, by przekonać dziennikarza do startu w wyborach. Do porozumienia nie doszło. Prawdopodobnie jedną z przeszkód było prawo. Prawo wyborcze przysługuje bowiem osobie mieszkającej co najmniej pięć lat na terenie Polski lub innego kraju UE.

Z politykami Ruchu Narodowego stanowiącego istotną część Konfederacji Max Kolonko negocjował także przed jesienną kampanią wyborczą do polskiego parlamentu. Na przełomie maja i czerwca w Nowym Jorku spotkał się z posłem Robertem Winnickim. „Dobra i szczerą rozmowa o Polsce z panem Maksem Kolonką. Umówiliśmy się na ciąg dalszy w kraju” – pisał na Twitterze Winnicki, lider Ruchu Narodowego.

Szybko jednak się okazało, że żadnego porozumienia Kolonki z Konfederacją nie będzie, a przebieg rozmów praktycznie wykluczył dalszą współpracę. – Niestety, mieliśmy do czynienia z brakiem realizmu i zmarnowaniem potencjału tysięcy ludzi o gorących sercach, których swoimi sloganami przyciągnął, a którzy mogliby być pozytywnie antysystemowo wykorzystani – opowiada „Do Rzeczy” Robert Winnicki.

Więcej szczegółów na temat zakończonych fiaskiem rozmów z Maxem Kolonką, prowadzonych m.in. w restauracjach, zdradza nam inny z polityków Ruchu Narodowego. Mówi o roszczeniach byłego dziennikarza, by „antysystemowe” ugrupowania na prawo od PiS zjednoczyły się pod jego szyldem i powierzyły mu rolę lidera. – Pełen odlot. Od strony intencji politycznych prezentował totalne marzycielstwo, zupełny brak otwarcia na jakąkolwiek dyskusję. A później obraził się, że to nie on będzie ojcem założycielem, weszło to nawet w fazę wyzwisk pod naszym adresem – mówi nasz informator. I dodaje: – Teraz się zastanawiam, czy nie chodziło wyłącznie o promocję pana Kolonki i jego biznesów. Obecne relacje ludzi, którzy są w jego strukturze, również mogą na to wskazywać.

„Robert Ślimak Winnicki otrzyma ode mnie ultimatum – wyrwijcie się z krogulczych szponów #конфедерация, nim rozjedziemy ich jak czołg – jeszcze nie jest Wam za późno dołączyć do #RRREVOLUTION jedna siła – jedna Polska – jedna pięść – jedna Moc!” – pisał

FOT. BARTOSZ KRUPA/EST NEWS



Zaangażowani w zbieranie podpisów dla ruchu „#R Revolution” skarżą się, że Kolonko zostawił ich samych sobie FOT. MARIUSZ MAX KOLONKO/FACEBOOK

■ z kolei w sierpniu na Twitterze Max Kolonko.

Po rozłamie w Konfederacji Kolonko spotkał się z posełem Markiem Jakubiakiem, obecnie liderem niszowego ugrupowania Federacja dla Rzeczypospolitej. Obaj nawet pochwalili się w mediach społecznościowych wspólnym zdjęciem. Skończyło się kłótnią i brakiem jakiegokolwiek współpracy. – Ocenilem jego projekt jako bardzo kolorowy, ale nieco oderwany od rzeczywistości polskiej. Max chyba nieco stracił z nią kontakt, chyba nie odnajduje się w realiach życia politycznego w Polsce. Powiedziałem mu, że bardzo go cenię za jego błyskotliwość, ale tak funkcjonować się w polityce po prostu nie da – mówi nam poseł Jakubiak.

Kolejnym „przyjacielem” Maxa Kolonki miał być Paweł Kukiz, borykający się z poważnymi problemami we własnym ugrupowaniu Kukiz’15, z licznymi rozłamami w klubie parlamentarnym i ze spadkiem poparcia w sondażach wyborczych. Wieloletni korespondent TVP w Stanach Zjednoczonych kilkakrotnie spotkał się z muzykiem rockowym. W pewnym momencie Kolonko nawet zasugerował we wpisie na swoim profilu

facebookowym, że Kukiz i jego ludzie przyłączają się do niego.

„Ten głos uderzy w urny wyborcze wkrótce takim grzmiotem, że polecicie w kosmos szybciej, niż zdążą wam się główki obrócić, i nawet nie będziecie wiedzieć, co was trafiło. Albowiem najpierw się z Nas śmialiście, teraz Nas ignorujecie, jesienią zaczniecie z Nami walczyć – i wtedy przegracie” – napisał dziennikarz.

Sam Paweł Kukiz nigdy nie odniósł się publicznie do rzekomej swojej politycznej współpracy z Maxem Kolonką.

– Były rozmowy we Wrocławiu, ale nie uczestniczyłem w rozmowach Pawła z Maxem Kolonką. Nigdy nie słyszałem, by miała być między nami jakaś koalicja czy sojusz wyborczy – twierdzi poseł Piotr Apel, polityk Kukiz’15 i współpracownik Pawła Kukiza. Przypomina, że on sam z dziennikarzem próbował skontaktować się w 2015 r., gdy ruch Kukiza dopiero zaczynał swoją przygodę z polityką. – Bez odpowiedzi. Odbijałem się jak od ściany – wspomina Apel.

Plany współpracy – jeżeli w ogóle były – skończyły się bardzo szybko, gdy Paweł Kukiz ogłosił, że do wyborów wystartuje wspólnie z PSL, w ramach Koalicji Polskiej. Kolonko ogłosił

w sierpniu w nagraniu wideo, że wyrzuci Kukiza ze swojego projektu. Powód? Rzekomy brak lojalności.

KŁĘSKA REWOLUCJI

Wcześniej jednak, bo w lipcu, Max Kolonko zapowiedział utworzenie własnego ugrupowania. „Powstała partia #R Revolution! Mamy dość polityków, dość waszych durnych gier, dość waszych amatorskich rządów. Pora, by władzę w państwie objął Naród. I rządził dla dobra Narodu” – ogłosił dziennikarz na swoim profilu facebookowym.

Celem nowego ugrupowania miało być m.in. wprowadzenie wyborów władzy sądowniczej w wyborach powszechnych, przeprowadzenie referendum w sprawie posiadania broni przez wszystkich obywateli, ograniczenie udziału kapitału niemieckiego w mediach czy uzyskanie od Niemiec reparacji wojennych i wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych.

– To wszystko ładnie brzmi, plan miał piękny, ale tak nierealistyczny, że koniec końców powiedziałem mu, iż hollywoodzkie podejście do polityki w Polsce nie ma szans. Nie da się z Ameryki kierować ugrupowaniem w Polsce, a jeżeli chce poważnie myśleć o polityce,

to musi wrócić do kraju – mówi poseł Marek Jakubiak.

Rewolucyjna nazwa ugrupowania to niejedyny militarne odniesienie w kampanii i politycznej aktywności Maxa Kolonki. Projekt powstania nowej partii nazwał „White Eagle – Biały Orzeł”, dla określenia sztabu wyborczego używał określenia stosowanego wobec Centralnego Dowództwa Wojsk Stanów Zjednoczonych (CENTCOM), a dla akcji zbiórki podpisów – nazwy DEFCON określającej gotowości bojową sił amerykańskich. Zbiórkę podpisów pod listami wyborczymi nazwał zaś „Operacją Żniwa”.

„Centkom #R. Dowództwo centralne #R informuje o podniesieniu stopnia gotowości naszych oddziałów z Defcon 4 na Defcon 3, co oznacza rozpoczęcie działań w terenie. Te działania bojowe w terenie będą polegały na tym, że zaczynamy zbiorę podpisów” – mówił przy dźwiękach wojskowego marszu Max Kolonko na antenie youtube’owego MaxTVGO.

Zwolenników-wolontariuszy, którzy zaangażowali się w zbiorę podpisów w okręgach wyborczych, określił mianem „Batalionów Rewolucji”, a koszulki z hasłem „Revolution”, które mieli nosić, nazywał mundurami. W kampanię udało mu się zaangażować za sprawą mediów społecznościowych około tysiąca ludzi, głównie młodych.

– Język, którego używał, jest w realiach polskich kampanii językiem nowym, niespotykanym, więc dla części potencjalnych wyborców stał się magnesem. Język wojskowy ma w sobie też dużą dozę skuteczności i spełnienia, zapowiada sukces – mówi „Do Rzeczy” dr Ireneusz Siudem, psycholog społeczny. – Przyzwyczajiliśmy się, zwłaszcza w naukach społecznych, że podejmowa-

ne działania identyfikowane są z dużą dozą prawdopodobieństwa, np. „najprawdopodobniej coś się uda”, natomiast język wojskowy nie pozostawia cienia wątpliwości, wszystko jest dokonane, sprowadzane do zadaniowości. Zmniejszająca się wrażliwość społeczna powoduje, że ludzie zaczynają preferować zadaniowość.

Mimo zaangażowania młodych ludzi „Rewolucja” Maxa Kolonki w Polsce poniosła klęskę. Dwukrotną. Najpierw się okazało, że Państwowa Komisja Wyborcza nie rejestruje komitetu wyborczego o nazwie „#R Revolution”, bo na przeszkodzie stoi ustawa o języku polskim. Ostatecznie przedstawiciele Maxa Kolonki zarejestrowali Komitet Wyborczy Wyborców Patriotyczna Rewolucja. Pojawiła się jednak gorsza bariera – poparcie dla dziennikarza w Polsce jest tak małe, że nie udało się wolontariuszom zebrać wystarczającej liczby podpisów, by zarejestrować listę choćby w jednym okręgu.

– Dzięki panu Mariuszowi Kolonce uwierzyłem, że możemy mieć dumę narodową i prawdziwy patriotyzm w sercu, pomimo różnic poglądów, zachowań i innych na co dzień widocznych różnorodności. Dlatego z bólem mogę odpowiedzieć, że w obecnej postaci i strukturze nasz ruch „#R Revolution” nie jest w stanie zostać znaczącym graczem na łamach polskiej polityki – mówi nam Mateusz Piepiórka, pełnomocnik wyborczy komitetu Maxa Kolonki. Dodał, że być może byłoby to możliwe pod innym szyldem i z innym liderem.

Max Kolonko szybko znalazł winnego – system wyborczy w Polsce. W liście do prezydenta Andrzeja Dudy napisał, że „okres 20 dni na zebranie łącznie ok. 130 tys. podpisów metodą trady-

cyjną, zbieranie podpisów na ulicy, po domach itp. jest dla małych organizacji patriotycznych praktycznie awykonalne, co eliminuje znaczną część elektoratu z aktywnego udziału w wyborach”, i zarzucił, że część ugrupowań, które jednak listę zarejestrowały, mogła podpisy zebrać nielegalnie.

BIZNES IS BIZNES?

W trakcie kampanii wyborczej część osób związanych z projektem Maxa Kolonki zaczęła się zastanawiać, czy nie jest to przypadkiem element kampanii marketingowej dziennikarza, która ma wspomagać jego biznesy. Wolontariusze uczestniczący w akcji zbierania podpisów byli nakłaniani do kupowania koszulek sygnowanych logo „#R Revolution”, kubeczków, a także innych gadżetów promujących samego Kolonkę, dostępnych np. w sklepie maxfanclub.com należącym do MaxTV LLC. Ceny? Niemałe. Koszulka „Revolution” to 69 zł, nie licząc kosztów wysyłki, a za kubek z jego sloganem: „Mówię, jak jest” trzeba zapłacić 67 zł.

– Nie można wykluczyć, że wykorzystano mechanizm, który w Stanach już działa, a w Polsce zaczyna raczkować, czyli potrzebę identyfikacji z kimś, kto odniósł sukces, w dodatku neutralnym politycznie – ocenia dr Ireneusz Siudem. – Ludzie lubią obudowywać się takimi gadżetami jak kubki czy koszulki, rozpowszechnianymi przez sprytnych ludzi potrafiących na tym zarabiać pieniądze.

Już po wyborach do europarlamentu jeden z byłych sympatyków ugrupowania Maxa Kolonki – Robert Stalka – opowiedział portalowi naTemat.pl, że Kolonko wręcz naciskał, by aktywiści kupowali jego koszulki. Mówił przy tym o histerii, w którą dziennikarz miał wpaść, gdy grupa

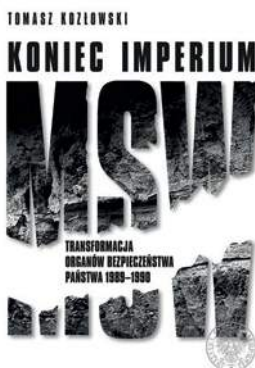
REKLAMA



Instytut Pamięci Narodowej
zaprasza na dyskusję
wokół książki
Tomasza Kozłowskiego

**2 października (środa)
godz. 17:30**

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa



Udział wezmą: **dr Tomasz Kozłowski** – autor
Biuro Badań Historycznych IPN

prowadzenie:
Paweł Sztama
Biuro Badań
Historycznych IPN

prof. Antoni Dudek
Instytut Politologii UKSW

dr hab. Zbigniew Siemiątkowski
Instytut Nauk Politycznych UW

Organizatorzy:



Patronat medialny:



działaczy pochwaliła się własnoręcznie zrobionymi T-shirtami.

„Jak Max zobaczył te zdjęcia, wpadł we wściekłość. Zwymyślał nas, a głównie mnie na grupie, bo nie mieliśmy jego koszulek z jego sklepu, tylko zrobiliśmy swoje” – opowiadał Stalka. Wolontariusz mówił też, że jego współpracownicy wpadli na pomysł zakupu samochodu dla weteranów polskich misji zagranicznych. Kolonko miał zaproponować, że stworzy specjalną platformę do zbiorów. Akcja się nie udała.

„Mało tego, powiedział nam, że on od każdej zbiórki będzie pobierał ok. 10 proc. jako tzw. wilczy procent, który ma iść na utrzymanie. Nie dość, że nie dołożył ani

Kolonko obiecał, żeby się nie troszczyć o finansowanie. Jednak w związku z jego prywatnymi awanturami i napływającymi fakturami, choćby od kancelarii prawnej na kwotę ok. 6 tys. zł, zostaliśmy praktycznie sami – mówi nam Piepiórka.

MAX I JEGO EGO

Czy rzeczywiście Max Kolonko, angażując się w aktywność na niwie politycznej, chce wykorzystać ją do promocji własnej „marki” i zwiększenia przychodów finansowych? Na tym etapie trudno sprawę jednoznacznie rozstrzygnąć. Nie ulega jednak wątpliwości, że jest człowiekiem, który skutecznie promuje sam siebie, zręcznie

Ostro recenzuje środowisko dziennikarskie w Polsce, nie ukrywając, że uważa większość dziennikarzy za słabszych od niego samego. – Większość z nich to zwykłe dupki. Bez wykształcenia dziennikarskiego, bez warsztatu, chęci pracy nad sobą, z wielkim ego. To, co ich trzyma na antenie, to medialno-towarzyskie Kumbaya. Pijemy razem, wymieniamy się kochankami, pozwami sądowymi, obrzucamy błotem w mediach, potem się znów łączymy – mówił w rozmowie z Kamilą Baranowską dla tygodnika „Do Rzeczy”.

On sam w mediach społecznościowych też nie przebiera w słowach, krytykując m.in. Wojciecha Cejrowskiego czy publicystę Matthew Tyrmanda. Kolonko nie spodobało się np., że Tyrmand wpis o procesie, który wytoczył „GW”, opatrzył swoim zdjęciem w towarzystwie Jarosława Kaczyńskiego. „Amerykański Żyd z polską flagą w tle i polski lider narodowych socjalistów w czapce kapitalisty – Prez. USA. Give me a break...” – kpił w mediach społecznościowych.

Oberwało się też dziennikarce TVP Magdalenie Ogórek tuż po tym, jak została zaatakowana i poturbowana pod budynkiem TVP przez aktywistów KOD i Obywateli RP. Kolonko opublikował wtedy fotomontaż twarzy Ogórek i ikony św. Agnieszki trzymającej baranka. „A teraz dostaniecie Świętą Magdalenę. Normalnie Holly Ogórek” – szydził.

Szef „#R. Revolution” przygotował też petycję wzywającą prezydenta USA Donalda Trumpa, by nie przyjeżdżał do Polski przed jesiennymi wyborami. Podpisało się pod nią nieco ponad 2 tys. osób.

Partię rządzącą Kolonko oskarżał na Twitterze np. o... kompromitację Polski na mundialu i zapowiadał, że „jedna wielka polska drużyna” wyśle PiS w kosmos na wyborach. Na razie Polacy w kosmos posłali jednak jego projekt polityczny.

Pod koniec ubiegłego tygodnia Max Kolonko ogłosił na Twitterze, że Projekt „#R. Revolution” już go nie interesuje: „ALERT #R Oświadczam niniejszym że zakończyłem współpracę z KWW Patriotyczna Rewolucja Maxa Kolonko i będę oczekiwał od w/w KWW wykreślenia mojego nazwiska z nazwy. Uprzejmie proszę o niełączenie mojej osoby z w/w wymienionym podmiotem. Więcej wkrótce – Hold...”.

Najlepszym podsumowaniem niech będzie odpowiedź jednego z użytkowników Twittera na ten wpis: „I have pytanie Mr Max. Co tu się happened?”.

Szef „#R Revolution” przygotował petycję wzywającą prezydenta USA Donalda Trumpa, by nie przyjeżdżał do Polski przed wyborami

grosza do jakiegokolwiek zbiórki, my za wszystko płaciliśmy, to jeszcze chciał od nas brać pieniądze! To było kuriozum. Tak samo z tymi koszulkami i ze wszystkimi innymi gadżetami. Wszystko musiało być kupowane w jego sklepie i przez niego miało być załatwiane” – mówił w rozmowie z portalem Natemat.pl wolontariusz.

W ubiegłym tygodniu do Internetu wyciekło pismo sygnowane przez Mateusza Piepiórka, pełnomocnika wyborczego KWW Patriotyczna Rewolucja, w którym apelował on do sympatyków „#R Revolution” o wpłaty. Argumentował, że sytuacja finansowa komitetu wygląda dramatycznie – brakuje pieniędzy na kancelarię prawną, działania promocyjne, paliwo, stoliki do zbierania podpisów. A to nie wszystko. – Pod znakiem zapytania jest jeszcze kwestia 10 tys. dol., którą wymienił mi pan Mariusz, i mam nadzieję, że nie będziemy musieli płacić w związku z używaniem jego znaku #R, koszulek, jego prywatnej strony r-us.com jako Komitet Wyborczy Wyborców Patriotyczna Rewolucja Maxa Kolonki.

W czwartek po południu prawnik Tomasz Chudziński z Ordo Iuris poinformował na Twitterze, że w imieniu Maxa Kolonki wystosował do Piepiórki wezwanie do „zaniechania naruszania dóbr osobistych”. Twierdzi w nim, że informacje zarówno o poniesionych kosztach komitetu, jak i o rzekomym finansowym żądaniu Maxa Kolonki są nieprawdziwe. – Kwestia finansowania naszej inicjatywy dotąd była w rękach prywatnych. Pan Mariusz

wykorzystując zarówno umiejętności dziennikarskie, jak i sprzyjające okoliczności społeczne oraz polityczne.

Przygodę z dziennikarstwem zaczął jeszcze w latach 80. jako student. Był wówczas jednym z prowadzących audycję „Zapraszamy do Trójki”. Później pracował jako amerykański korespondent TVP i TVN. W 2001 r. stworzył swoją pierwszą serię reportaży dla TVP „Odkrywanie Ameryki”. Był też m.in. komentatorem wyborów prezydenckich w 2012 r. w USA dla portalu Onet.pl i telewizji Superstacja.

W 2001 r. otrzymał nagrodę Wiktor dla najlepszego dziennikarza roku. Głośniej jednak było wówczas o zachowaniu dziennikarza, który po otrzymaniu statuetki i kwiatów podbiegł do siedzącej wówczas na widowni pierwszej damy Jolanty Kwaśniewskiej, ukleknął przed nią i wręczył jej kwiaty.

Z kolei w 2012 r. wywołał dyskusję o poziomie dziennikarstwa w Polsce po wywiadzie dla Onetu „Jakiś gówniarz mówi mi, jak żyć”. Debata niczego go nie nauczyła. W tym roku, gdy jeden z internautów zwrócił mu uwagę, że jego ruch zaczął zbierać podpisy, zanim zarejestrowano komitet, Kolonko odpowiedział: „Idź się je...ć”.

Prawdziwą gwiazdą, zwłaszcza w młodym pokoleniu Polaków, stał się jednak dopiero późną jesienią 2012 r., gdy w serwisie YouTube uruchomił kanał Max Kolonko – MaxTV. Tam w programie „Mówię, jak jest” z amerykańskim akcentem komentował bieżące wydarzenia polityczne i kulturowe.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW DO NAGRODY

PRZEŚLIJ DO 30 WRZEŚNIA 2019 r.

NA ADRES REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY”

LUB E-MAIL: STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNERZY:





Ze Stanisławem Karczewskim, marszałkiem Senatu
rozmawia Maciej Pieczyński

Zapracowaliśmy na wiarygodność



MACIEJ PIECZYŃSKI: Donald Trump spotkał się z Andrzejem Dudą. Polska i Stany Zjednoczone uzgodniły lokalizację dla zwiększonej obecności amerykańskich wojsk w Polsce – głosi deklaracja podpisana przez prezydentów obu państw. Czyli dyplomatyczne skutki huraganu Dorian zostały zażegnane, a PiS jednak zdoła jeszcze wykorzystać dobre relacje z Trumpem na potrzeby bieżącej kampanii wyborczej?

STANISŁAW KARCZEWSKI: Zwiększenie bezpieczeństwa Polski i Europy to kwestie o charakterze fundamentalnym i nie należy na nie patrzeć przez pryzmat kampanii wyborczej. Prezydenci Andrzej Duda i Donald Trump podpisali deklarację, która została przygotowana wcześniej. Ich spotkanie nie ma nic wspólnego z wyborami. ONZ nie ustala terminu swoich sesji pod kątem kalendarza wyborczego w Polsce. Wzmocnienie flanki wschodniej NATO ma zasadnicze znaczenie dla bezpieczeństwa Polski i Europy. Rząd polski dążył do tego konsekwentnie. Cieszy nas, że stało się to faktem. To dobra wiadomość nie tylko dla Polski, to także bardzo ważne dla bezpieczeństwa całej Europy. Bez amerykańskiej obecności w Europie, bez NATO nie jest możliwy porządek międzynarodowy, w którym mniejsi i słabsi nie muszą obawiać się większych i silniejszych, a wolność i suwerenność mogą z powodzeniem opierać się imperializmowi i autorytaryzmowi. Jesteśmy więc zadowoleni ze zwiększenia amerykańskiej obecności wojskowej w Polsce. Dodatkowym efektem tego spotkania jest, oczekiwana przez Polaków, deklaracja zniesienia wiz do USA. Spełniliśmy amerykańskie wymogi, by podróżować swobodnie do Stanów Zjednoczonych. To cieszy, bo obecnie na ulicach Warszawy jeszcze z poprzedniego systemu widzę dwie kolejki – jedną do lekarzy specjalistów, drugą do ambasady USA. Ta druga już niebawem przestanie się ustawiać, zaś tę pierwszą skracamy.

„Dziennik Gazeta Prawna” informuje, że ma dojść do zmian w rządzie, jeśli oczywiście PiS ponownie wygra wybory. Stanowisko miałby stracić Jacek Czaputowicz. Co pan o tym wie i jak to świadczy o polskiej polityce zagranicznej?

Trwa kampania wyborcza. Do jej ostatniego dnia będziemy przekonywać Polaków do naszego programu i zabiegać o ich poparcie. Jeśli 13 października wyborcy powierzą nam sprawowanie władzy na kolejne cztery lata, to przyjdzie czas na decyzje o kształcie rządu. Rządy w Polsce mogą się zmieniać, ale fundamenty

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

polskiej polityki zagranicznej powinny zostać niezmiennie. Wyniki spotkania Dudy z Trumpem przekonują, że polska polityka zagraniczna skutecznie realizuje nasze interesy narodowe.

Podczas ostatniej konwencji pojawiły się propozycje dla przedsiębiorców. Niektórzy analitycy zastanawiają się, czy można dogodzić wszystkim – zarówno pracownikom, jak i pracodawcom. Wydaje się, że i tak raczej ci pierwsi chętniej głosują na PiS niż ci drudzy...

Polityka naszego rządu sprzyjająca zwiększaniu dochodów obywateli nie jest rozdawnictwem, tylko dobrą inwestycją w Polskę i inwestycją w przyszłość. Naszym programowym celem, który spotkał się z poparciem milionów Polaków, były inwestycje w polskie rodziny po to, by złagodzić ekonomiczne koszty rodzicielstwa. Również trendy demograficzne przekonują, że było to działanie potrzebne. Natomiast wzrost płac, któremu służą działania naszego rządu, powinien zmienić model gospodarki w taki sposób, by jej konkurencyjność nie opierała się na taniej sile roboczej, a na postępie technologicznym i innowacyjności. Procesy te będą przebiegać stopniowo. Działania na rzecz podniesienia dzietności oraz na rzecz podniesienia dochodów z pracy służą rozwojowi gospodarcemu Polski. Nie można więc twierdzić, że podejmując je, działamy na szkodę przedsiębiorców. To inwestycja w pracowników i przedsiębiorców.

Opozycja próbuje pokazać, że ceny rosną. Z waszej winy, rzecz jasna.

Według danych GUS ceny wzrosły minimalnie – o ok. 5 proc. Mamy gospodarkę rynkową i rząd nie dyktuje cen, tak jak robił to w systemie komunistycznym.

Niektórzy komentatorzy twierdzą, że wzrost płacy minimalnej zaszkodzi przedsiębiorcom.

Jak już powiedziałem, polityka rządu sprzyjać powinna rozwojowi polskiej gospodarki w taki sposób, żeby jej konkurencyjność nie opierała się przede wszystkim na niskich kosztach pracy. Dążyć powinniśmy do tego, by konkurencyjność polskiej gospodarki opierała się na nowych technologiach i innowacyjności. To, co różni nas od naszych przeciwników, jeśli chodzi o politykę gospodarczą, to przekonanie, że działania rządu powinny aktywnie wspierać modernizację polskiej gospodarki. Nie możemy czekać,

aż załatwi to za nas rynek, bo rynek tego za nas nie załatwi. Ekonomiści to dobrze rozumieją, dlatego nie obawiamy się, że zaszkodzi nam defetystyczna retoryka wyborcza Koalicji Obywatelskiej. Nie zapominajmy, że są to ci sami ludzie, którzy przekonywali, że nie stać nas na program „500+”, że nasze reformy doprowadzą do załamania systemu emerytalnego, zaś przyzwoite płace zrujną polską przedsiębiorczość. Jednocześnie ta sama Koalicja Obywatelska deklaruje, że to, co zostało dane, nie zostanie odebrane. Niech się więc państwo w KO zdecydują, o co im chodzi. Dzisiaj zamiast walki na argumenty i propozycje programowe nasi oponenci polityczni wolą wzbudzać negatywne emocje.

Rzeczywiście, hejt chyba powinien zostać wybrany słowem roku w polskiej polityce. Najpierw mówiło się o „fabryce trolli” w Ministerstwie Sprawiedliwości, później w inowrocławskim ratuszu. Obecnie zaś rozwijowa jest sprawa hejterskiego fanpage’u „Sok z Buraka”, za którymi mają stać ludzie Platformy.

Hejt kierowany wobec nas, jako partii i naszych wyborców, ze strony PO nie zaczął się w tym roku. Donald Tusk nazywał naszych wyborców „moherami”. W PO byli tacy politycy jak Janusz Palikot czy Stefan Niesiołowski. Palikot wygłaszał obrzydliwe insynuacje pod adresem śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Dlatego nikogo nie powinno dziwić to, że na listach wyborczych KO jest pani Klaudia Jachira, która wręcz specjalizuje się w publicznym szarganiu narodowych świętości oraz obrażaniu pamięci ofiar katastrofy smoleńskiej. Grzegorz Schetyna, zapraszając Klaudię Jachirę na listy wyborcze Koalicji Obywatelskiej, usiłuje zalegalizować hejt w życiu politycznym. Jeśli jest inaczej – to powinien zaapelować o jej rezygnację z udziału w wyborach, a jeśli dostanie się do parlamentu – to zadeklarować, że nie będzie członkiem klubu PO.

Dzięki sprawie „Soku z Buraka” i Klaudii Jachiry już mało kto pamięta o aferze z „małą Emi”. Wydaje się, że Koalicja Obywatelska przebiła was.

Ważne jest to, że po ujawnieniu zdarzenia, której bohaterką była „mała Emi”, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro zareagował natychmiast – sędzia Piebiak stracił stanowisko. PiS reaguje szybko i w sposób zdecydowany na przypadki nieetycznego zachowania. Ze strony PO brak odpowiedniej reakcji na zachowania hejterskie.

Jednak przecież Małgorzata Kidawa-Błońska zareagowała na zachowanie Jachiry. „Ta sytuacja jest nie do zaakceptowania. Władze powinny zareagować. Taka sytuacja nie powinna mieć miejsca. Bardzo mi się to nie podobało. Nie można w czasie kampanii i w ogóle w życiu tak się zachowywać. Mamy się szanować, szanować uczucia innych. Cały czas mówię o tym w kampanii. Jest to dla mnie sytuacja nie do zaakceptowania” – powiedziała kandydatka KO na premiera.

Taki komentarz nie wystarczy. Jeśli pani Kidawie-Błońskiej zależy na tym, byśmy szanowali się nawzajem, to powinna zaapelować do pani Jachiry o rezygnację.

Dążyć powinniśmy do tego, by konkurencyjność polskiej gospodarki opierała się na nowych technologiach i innowacyjności

W takim razie, która twarz PO jest prawdziwa: łagodna, pokojowa twarz Małgorzaty Kidawy-Błońskiej czy ta stojąca za nią, jak to powiedział dowcipnie Jarosław Kaczyński, „kłapiąca zębami wilka” Grzegorza Schetyny, a może hejterska twarz Klaudii Jachiry?

Prawdziwą twarzą Platformy jest oczywiście Grzegorz Schetyna. To on prezentuje program, z którego zapamiętaniem inni politycy Koalicji Obywatelskiej mają kłopoty.

W takim razie, która z tak skrajnie różnych masek, przywdziewanych przez PO, więcej ma wspólnego z prawdziwą twarzą tej partii?

Już na to pytanie odpowiedziałem. Natomiast z naszego punktu widzenia istotne jest to, że PO nie ma spójnego przekazu. Jej konserwatywne skrzydło wydaje się coraz słabsze, a nawoływania do obyczajowej rewolucji przesuwają ją w stronę lewicy, zaś jej gospodarczy liberalizm jest anachroniczny. Na ten programowy chaos niewiele może pomóc łagodna twarz pani Kidawy-Błońskiej. Tym bardziej że wciąż

z za tej łagodności wychylają się osoby pokroju pani Jachiry.

Jednak PiS powinien się cieszyć z tego typu kontrowersyjnych kandydatur na listach opozycji. Koalicja Obywatelska sama prosi się o uzasadnioną krytykę. Więcej Jachiry, mniej Kidawy-Błońskiej i wygracie w cuglach.

To nie jest kwestia politycznych kalkulacji. Dla hejterów nie powinno być miejsca w polskim parlamencie i polskim życiu politycznym. Nikogo nie może cieszyć obniżenie poziomu debaty publicznej.

Podczas konwencji KO Grzegorz Schetyna mówił o wyborach, które odbędą się... 13 grudnia. Niektórzy komentatorzy odczytali to jako pomyłkę freudowską. Według tej żartobliwej interpretacji Schetyna pomylił październik z grudniem, ponieważ w grudniu odbędą się wybory przewodniczącego Platformy Obywatelskiej. Jeśli w walce o parlament PO spektakularnie polegnie, to lider partii może się obawiać o swoją pozycję.

Ja jestem politykiem Prawa i Sprawiedliwości. Nie interesują mnie polityczne rozgrywki Platformy Obywatelskiej. Każdy widzi, jakich przywódców ma Platforma Obywatelska. Mnie, jako polityka PiS, interesuje głównie nasza drużyna. Mamy lidera, który wyraźnie formułuje i prezentuje wizję Polski odpowiadającą na rzeczywiste potrzeby i aspiracje Polaków. Potrafi też dobrać zespół, który tę wizję skutecznie realizuje. Zaraz po naszej rozmowie jadę do Elbląga, gdzie będę wspierał naszych kandydatów do parlamentu. W kampanii wyborczej chcemy rozmawiać z Polakami o ich potrzebach, problemach, a nie o kłopotach konkurencji politycznej. Przy czym, oprócz wyniku wyborów, równie ważna jest frekwencja. Dlatego też apelujemy do Polaków o to, by 13 października poszli do wyborów.

No właśnie, a jak podobala się panu akcja „Nie świruj, idź na wybory”?

Wprost nie mogłem uwierzyć, że można przygotować coś równie żenującego.

Czy ta akcja obraża osoby niepełnosprawne, czy jest po prostu głupia i niepotrzebna?

Nie wolno drwić z osób niepełnosprawnych i psychicznie chorych. Akcja była pogardliwa dla tych osób, a więc ze wszech miar naganna.

Mimo wszystko nie jest to oficjalny spot wyborczy żadnej z partii opozycyjnych, a jedynie oddolna inicjatywa aktorów wspierających ideę „odsunięcia PiS od władzy”.

13 października przekonamy się, czy rzeczywiście pomogła ona opozycji.

„Proszę pani, barierki [wokół Sejmu – przyp. red.] są, żeby świru się tam nie dostawały i nie szkodziły”. Wie pan, kto to powiedział?

Wiem. Stanisław Karczewski. Powiedziałem to jednak w bardzo konkretnym kontekście. Użyłem tego kolokwialnego określenia w odniesieniu do nieodpowiedzialnych ludzi, którzy wjeżdżali na teren Sejmu w bagażniku samochodu.

Jednak czy nie obraził pan w ten sposób osób chorych psychicznie?

W spocie przygotowanym przez artystów skandaliczne nie było samo użycie słowa „świr”, tylko parodiowanie zachowań osób chorych psychicznie.

Mamy spójny program modernizacji Polski, wzmocnienia narodowej wspólnoty, wzmocnienia rodzin i wzmocnienia międzynarodowej pozycji Polski

Ja nie parodiowałem osób niepełnosprawnych intelektualnie czy chorych psychicznie. Słowo „świr” w danym kontekście to nie było porównanie do osób psychicznie chorych, tylko do osób nie zrównoważonych emocjonalnie. To jest zupełnie coś innego. Ale też wówczas przeprosiłem osoby, które mogły poczuć się słusznie urażone. Gdyby pan Pszoniak usiadł przy stole z poważną miną, nie udając osoby nie zrównoważonej, i zwyczajnie by powiedział: „Nie świruj, idź na wybory”, to nie byłoby w tym nic złego. Natomiast parodiowanie osób psychicznie chorych jest niedopuszczalne. Jako lekarz doskonale rozumiem, że takim ludziom potrzebna jest przede wszystkim empatia i szacunek. Jestem co prawda chirurgiem, ale z osobami chorymi psychicznie miałem wielokrotnie do czynienia. Dlatego wiem, jaką trzeba mieć wrażliwość, żeby umiejętnie im pomagać. Akcja „Nie świruj, idź na wybory” to bezduszne, polityczne wykorzystanie osób chorych psychicznie. Stygmatyzowanie, obrażanie, kpina, brak empatii i akceptacji, lekceważenie – to wszystko zawarte jest w tym skandalicznym klipie rzekomo profrekwencyjnym.

PiS, chwając się dokonaniem, przez wszystkie przypadki odmienia słowo klucz „wiarygodność”. Nawet niechętni wam komentatorzy przyznają, że spełniamie obietnice. A jak wygląda wiarygodność partii opozycyjnych? Mamy szeroki, sięgający od lewicy do prawicy, front ideowy Koalicji Obywatelskiej, w miarę spójny sojusz trzech lewicowych partii, wreszcie – egzotyczny, wydawałoby się, sojusz antysystemowego Kukiza z systemowym PSL...

PiS zapracował na swoją wiarygodność. Mamy spójny program modernizacji Polski, wzmocnienia narodowej wspólnoty, wzmocnienia rodzin i wzmocnienia międzynarodowej pozycji Polski. Mamy drużynę, której efektywność działania została sprawdzona. Mamy więc konkretne osiągnięcia. Dlatego jesteśmy wiarygodni nawet w oczach naszych politycznych oponentów. Można powiedzieć, że w dzisiejszym świecie PiS jest formacją wyjątkową – realizujemy nasze wybor-

cze obietnice. Natomiast programem naszych przeciwników politycznych jest w gruncie rzeczy anty-PiS – odsunięcie Prawa i Sprawiedliwości od władzy. Im chodzi o polityczną taktykę. Nie mają natomiast Polakom nic konkretnego do zaoferowania.

W zeszłym tygodniu wybuchła afera wokół szefa NIK. W należącej do Mariana Banasia, kamienicy, według doniesień medialnych, miała być prowadzona agencja towarzyska. Szef NIK zaprzecza, ale udał się na bezpłatny urlop do czasu wyjaśnienia sprawy. Pan nazwał Mariana Banasia kryształowym człowiekiem... Podtrzymuje pan tę opinię?

To moja ocena jego działalności publicznej. Znam Mariana Banasia – preza NIK, wcześniej ministra, wiceministra, twórcę i szefa Krajowej Administracji Skarbowej, człowieka, który przyczynił się do zwalczania VAT-owskiej mafii, a więc znam go jako urzędnika oddanego służbie publicznej. I na tej podstawie wysoko oceniam jego kwalifikacje i dokonania. Natomiast trudno mi komentować sprawy, które bada CBA. Poczekajmy na wyniki tego postępowania.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa: **101 FM, DAB+**

Ostrołęka: **100,8 FM**

Płock: **101,9 FM**

Ostrów Maz.: **87,6 FM**

Radom: **89,1 FM**

Siedlce: **103,4 FM**



www.rdc.pl



facebook.com/radiordc



instagram.com/radiodlaciebie



twitter.com/rdcpolskieradio

Posłuchaj nas: **101 FM**

www.rdc.pl/rdcplayer

Aplikacja **Radio RDC**





Rafał A. Ziemkiewicz

Efekt czteroletnich rządów PiS jest paradoksalny. Sądy, oświata, służba zdrowia jeszcze kuleją, ale gospodarka rośnie w siłę

Gdy w roku 2015 kilka szczęśliwych dla PiS zbiegów okoliczności sprawiło, że wynik 37,5 proc. głosów przełożył się na samodzielną większość sejmową, większość ostrożnych zwolenników tej partii (czy może raczej – tych, którzy wiedzieli, że niszczące Polskę rządy siły PO-PSL trzeba przerwać za każdą cenę) mówiła sobie: gospodarkę to pewnie zarzną, a w każdym razie nie naprawią, ale przynajmniej pogonią wreszcie komuchów.

Po czterech latach tego „gonienia” komuchy mają się świetnie i panoszą się bardziej niż cztery lata temu: w sądach, w środowiskach naukowych, artystycznych mamy wręcz do czynienia z „polowaniem” na „PiS-owców”, sekowaniem ich i zaszczuwaniem w poczuciu butnej bezkarności. I dzieje się to z wykorzystaniem narzędzi, które włożył werbalnie zwalczanym „elitom” do rąk sam PiS. Antypisowscy sędziowie chętnie i zrzęcznie wykorzystują przeciwko swym ofiarom proceduralne nowinki wprowadzone przez Ziobrę, prof. Nałaskowski mógł zostać odsunięty od dydaktyki dzięki „ustawie Gowina”, artyści demonstracyjnie poniżający władzę i wyszydzający wartości są promowani w „PiS-owskiej” telewizji, a liderzy antypisowskiego hejtu w środowiskach akademickich mogą być spokojni o granty udzielane im przez obecną władzę równie hojnie jak przez poprzednią.

Natomiast tam, gdzie sukcesu nikt się nie spodziewał, ten sukces rzeczywiście jest. Słowa byłego ministra Rostowskiego: „Pieniądzy nie ma i nie będzie” weszły do polszczyzny na podobnych prawach jak: „Silni, zwarcie i gotowi”, pomimo bezprecedensowej skali wydatków socjalnych wyniki makroekonomiczne są bardzo dobre i nawet po raz pierwszy w dziejach III RP przygotowany został projekt – ambitny, ale realistyczny – zrównoważonego budżetu.

Odpowiedź może dotknąć niejednego, ale tajemnicą sukcesu gospodarki

jest to, że zarówno Jarosław Kaczyński, jak i jego dwór mało się na niej znają, uważają ją za dziedzinę drugorzędną, w związku z czym nie próbowali tu ingerencji ani ręcznego sterowania.

PRAGMATYCZY

Kiedy Filip Staniłko na łamach „Arcanów” ogłosił przed laty „koniec polityki inteligenckiej” – pośpieszył się. Polityczne ojcostwo dokonane przez „liberałów” Tuska na prof. Geremku

inteligencji. Tyle że tym razem tej w wydaniu Żeromskiego, a nie „Wiadomości Literackich”.

To, co Staniłko nazwał „polityką inteligencką”, było wielokrotnie charakteryzowane. Na użytek tego tekstu przypomnę tylko, że jedną z charakterystycznych cech inteligenta jest lekceważący stosunek do dóbr materialnych, a wręcz wrogi – do zysku jako takiego. Jest to część dziedzictwa szlacheckiego, z której to warstwy po masowej dekla-



i zmarginalizowanie salonu dawnej Unii Demokratycznej przy „pragmatykach” skupionych na samym sprawowaniu władzy oraz czerpaniu z niej zysków nie zrodziły skutków nieodwracalnych. A to dlatego, że po przeciwniej stronie sceny politycznej nic podobnego nie nastąpiło. Przeciwnie – na wyraźny, mówiąc uprzejmie, deficyt wartości, charakteryzujący rządy „pragmatyków”, odpowiedzią okazał się zwrot ku

sacji (w dawnej Rzeczypospolitej szlachta stanowiła ok. 10 proc. społeczeństwa, z czego pod zaborami zachowała ten status mniej więcej jedna dziesiąta) wyrosła inteligencja. Zainteresowanym problemem „szlacheckiego obciążenia” współczesnej Polski polecam zresztą niedawne teksty Bartłomieja Radziewskiego. Wspomina on m.in. o fenomenie polskiego „handlu” zbożem, polegającego na oddawaniu holender-

skim i niemieckim kupcom plonów za drobną część ich prawdziwej wartości, po tych samych „od zawsze” cenach, bo „panom braciom” było poniżej godności ich klejnotu targować się czy sprawdzać sytuację na światowych rynkach.

W ślad za szlachtą, której schadenfreude z powodu, że jakiś Zabłocki stracił na próbie hańbiącego handlu mydłem, aż weszła do polszczyzny – także inteligencja nie zachwycała się, delikatnie mówiąc, przedsiębiorczością. Jako modelowego

w ogóle nie stworzyła. Przeciwnie: bohater „Ziemi obiecanej”, w samej powieści pozytywny, za sprawą sławnej ekranizacji Wajdy stał się zwykłą chciwą świnią.

Nie dziwny się więc, że gdy żoliborski do szpiku kości prezes PiS daje się wmanewrować w rozmowę o przedsiębiorcach, wychodzi z niego głębokie przekonanie, że każdy „prywaciarz” to wyzyskiwacz, który tylko kombinuje, jak by tu nie zapłacić swojemu pracownikowi i państwu tego, co im się należy. Wzorem Komendanta głosi to przekonanie cała jego „pierwsza brygada” – tak jak Marek Suski, uzasadniający w wywiadzie dla TVP pomysł podnoszenia „płacy minimalnej” twierdzeniem, że państwo ma obowiązek zmusić przedsiębiorców, aby podzielili się zyskiem z „ludźmi pracy”, zamiast przeznaczać go na pławienie się w luksusach.

POCZUCIE DOSTATKU I BEZPIECZEŃSTWA

Na szczęście to tylko kampanijna retoryka. W istocie, jako się rzekło, polityka inteligencka przedsiębiorczości sprzyja – aczkolwiek przewrotnie, ponieważ generalna pogarda dla dorabiania się pieniędzy skutkuje lekceważeniem tej sfery życia publicznego. Bynajmniej nie jest to cecha „PiS-owska”. Michnikowszczyzna przez całe lata 90. szydziła z „ludzi, którzy noszą białe skarpety do czarnych mokasynów”, handlujących na ulicznych „szczekawkach” – ale dzięki temu lekceważeniu nie przeszkadzała im.

Dla polityka-inteligenta ważne są wolność słowa, administracja i wszystko inne, gospodarkę natomiast postrzega on mniej więcej tak, jak się postrzega w domu armaturę i kanalizację. To znaczy – ma ona działać. A jak? A kto by tam głowił się nad ułożeniem rurek i kurków? Wzywa się hydraulika i niech on to robi. Dopóki woda płynie z kranów, a szambo nie wybija – czytaj, dopóki wystarczy na „reformy”, czy, obecnie, na „500+”, dopóty temat nie istnieje.

„Hydraulikowi”, w przeciwieństwie do ludzi przeznaczonych do zadań ważnych, nie stawia się przesadnych wymagań moralnych. Dlatego Komendant mógł powierzyć rurki i kurki „banksterowi”, który w dodatku zasiadał w jakiejś radzie u Tuska i jadł z jego ludźmi ośmiorniczki – a nie komuś ze sprawdzonych patriotów z „zakonu PC”. I tak wzbudziła ta jego decyzja pewne wzburzenie w szeregach, ale w innych resortach byłaby w ogóle nie do pomyślenia.

Ważniejsze jest co innego. Polityka inteligencka płynie z przekonania, że drogą do sukcesu jest poddanie sprawy nadzorowi właściwego – czytaj: sprawdzonego, uczciwego – człowieka. Inteligent wierzy w ludzi, nie w procedury, dąży do spersonalizowania problemów, nie do budowania systemów. Dlatego PiS był w stanie dać wolną rękę technokratom w gospodarce – a że akurat trafili się hydraulicy nie najgorsi i postawili system całkiem sensownie, skutki okazały się błogosławione, także dla samego PiS, który dzięki poczuciu dostatku i bezpieczeństwa znacznie powiększył swą popularność.

Kontrapunktem dla skutecznego usprawnienia gospodarki jest katastrofa reformy wymiaru sprawiedliwości. Tam pierwotny projekt, zakładający zmianę systemową, przejść po prostu nie mógł. Zamiast naprawić system wyłaniania KRS i wierzyć, że 10 tys. polskich sędziów nie wybierze do niej ludzi pokroju sędziego Żurka czy „Janka” Burego, a wystarczającą siłą dla oczyszczenia będzie dążenie młodych prawników do usunięcia starych „złogów” blokujących im kariery – Komendant postawił na kontrolę. Przeciwno sitwie sędziów złych, z „układu”, trzeba znaleźć „swoich”, uczciwych, którzy będą realizować właściwą, słuszną politykę. Nawet bolesna lekcja z poprzednich rządów, którą dali Komendantowi panowie Kapusta, Kaczmarek, Kornatowski czy Netzl, poszła w tej sytuacji na marne.

Mówiąc krótko: tam, gdzie polityka inteligencka każe uznać sprawę za ważną, tam posyła ona ludzi sprawdzonych. Tyle że sprawdzonych w czym innym – zgodnie z niedoścignionym wzorem Piłsudskiego, który prezesami banków i spółek oraz ministrami robił zastrużonych w legionowych bojach generałów i pułkowników niemających co prawda o meritum błędnego pojęcia, ale niekwestionowanych patriotów. Kiedy więc propaganda opozycji straszy przedsiębiorców słowami Komendanta o tym, że kto nie umie wywiązać się z nakładanych nań przez państwo kontrybucji, ten widocznie się nie nadaje do biznesu – to oni sami powinni się raczej z tego cieszyć. Powodem do strachu byłoby raczej, gdyby Komendant uznał, że gospodarka narodowa to zasadnicze pole walki o lepsze jutro i trzeba ją poddać nadzorowi najlepszych kadr.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



przedsiębiorcę do dziś przywołuje ona bohatera „Lalki”, Wokulskiego – niezrealizowanego naukowca, który, kapitulując przed okolicznościami, wyszedł za bogatą, starą wdowę, pomnożył spadek po niej hazardowymi spekulacjami na dostawach wojennych, a potem już tylko bezsensownie trwonił majątek na próby wkupienia się w próżniaczą arystokrację. Wzorzec słaby, ale innego pozytywnego wizerunku przedsiębiorcy polska kultura

CEZARY GMYZ: Jak wygląda praca służb po czterech latach rządów PiS?

MACIEJ WĄSIK: Z każdym tygodniem, z każdym miesiącem jesteśmy coraz bardziej zadowoleni z działalności służb, choć nie oznacza to, że nie widzimy potrzeby pewnych zmian. Obecnie służby rozumieją priorytety formułowane przez premiera czy ministra koordynatora. Za rządów naszych poprzedników służby działały siłą inercji i niestety były bierne, zaś rutyna zabijała inwencję funkcjonariuszy.



Z Maciejem Wąsikiem, sekretarzem stanu w KPRM i zastępcą koordynatora służb specjalnych rozmawia Cezary Gmyz

W służbach w zasadzie nie ma już esbeków

Inna sprawa, że stanowiły one swoistego rodzaju państwo w państwie. Było nawet gorzej – to państwo było dla służb, a nie służby dla państwa. Zmieniliśmy to i w tej chwili służby są zadaniowane przez państwo i na rzecz państwa działają. Ograniczyliśmy rutynę w służbie. Chociaż pewna jej doza jest potrzebna do rzetelnego wypełniania obowiązków, jednak obecnie służby działają w sposób, który określiłbym jako ofensywny, innowacyjny. To zwiększyło dynamikę działania.

Jeśli zaś chodzi o reformę, to ona cały czas ma miejsce, choć w kończącej się kadencji miała charakter ewolucyjny. Przede wszystkim zmieniły się zasady naboru, co pozwala wyszukiwać ludzi gotowych się zmierzyć z wyrafinowanymi wyzwaniami współczesnego bezpieczeństwa. Samo tylko CBA zyskało 400 nowych funkcjonariuszy. Pozbyliśmy się i pozbywamy ludzi, którzy nie mają predyspozycji, by pracować w CBA. W tej chwili w służbach w zasadzie już nie ma funkcjonariuszy, którzy pracowali w komunistycznej bezpie. A w ABW za czasów Krzysztofa Bondaryka czy jego następcy Dariusza Łuczaka byli esbecy stanowili całkiem pokaźne grono. I to na szczytach. Przypo-

mnijmy, że wiceszefem ABW był esbek Zdzisław S., który został niedawno zatrzymany i postawiono mu zarzuty wystawiania fikcyjnych faktur VAT.

Ocena poprzedniego szefa CBA była surowa do tego stopnia, że pozbawiono go dostępu do informacji niejawnych. Jednak, jak się wydaje, proces rozliczania nieprawidłowości w służbach nie został zakończony.

Ze strony służb to proces zakończony. Tam, gdzie były nieprawidłowości, skierowano zawiadomienia do prokuratury.

odwołano nas za wykrycie afery hazardowej. To sprawiło, że po naszym odejściu sprawy dotyczące szczytów władzy właściwie nie były realizowane. Chociaż informacje były zbierane, tak jak w przypadku m.in. sekretarza generalnego Platformy Stanisława Gawłowskiego, to nie było woli, by te sprawy kończyć. Gnuśność, strach i marazm w służbach należą do przeszłości.

Nie unikacie jednak błędów, że wymienię niedawne zatrzymanie byłego szefa delegatury CBA w Lublinie czy sprawę przyjęcia do służby Wojciecha Janika, który w mojej opinii nie miał kwalifikacji na funkcjonariusza.

Nie zgodzę się. Przykład byłego szefa delegatury lubelskiej świadczy o CBA pozytywnie. Pion bezpieczeństwa wewnętrznego zadziałał prawidłowo. Udało się go pociągnąć do odpowiedzialności dzięki własnym działaniom CBA. Podobnie było w sprawie Janika. Po weryfikacji przekazywanych przez niego informacji stwierdziliśmy, że jest on niewiarygodny i znalazł się poza służbą. Jego obecne działania

noszą znamiona zemsty. Oczywiście wolałbym, żeby ci ludzie nigdy w służbach się nie znaleźli. Jednak nie popełnia błędów tylko ten, kto nic nie robi. Ważne jest, by je eliminować, wyciągać wnioski i starać się, by się nie powtórzyły. W tych przypadkach mechanizmy kontrolne zadziałały. W odróżnieniu od poprzedniego okresu nie zamiatano ich pod dywan, że przypomnę sprawę tuszowania działań wpływowego funkcjonariusza, który zniweczył akcję CBA, bo się upił.

Mariusz Kamiński, jeszcze jako szef CBA, stwierdził, że korupcja nie ma barw politycznych. CBA pod nowym szefem zatrzymuje jak leci, nie oglądając się na polityczne sympatie, że przypomnę sprawy Bartłomieja Misiewicza i Stanisława Koguta, ale też wpływowych polityków opozycji, czyli Gawłowskiego, Pinióra czy Niesiołowskiego. Te

Te śledztwa są prowadzone. Niestety, są sprawy, w których ciężko jest stawiać zarzuty karne. Jednym z największych grzechów służb za poprzedniej władzy było zaś lenistwo i zaniechania oraz zachowawczość.

Za rządów PO-PSL służby otrzymały ogromną liczbę sygnałów od polityków, że lepiej siedzieć cicho i nie przysparzać problemów rządzącym. A przestroga miała być los Mariusza Kamińskiego, a także mój. Postawiono nas przed sądem i skazano za zwalczanie przestępców z całą determinacją. Przypomnę, że



FOT. ANNA ARNDT/STEF NEWS

sprawy wloką się niechętnie i nie widać ich sądowego finału.

Rzeczywiście nie patrzymy na barwy polityczne. Dla nas łapówkarz czy złodziej to po prostu przestępca. Jednak sprawy korupcyjne są sprawami trudnymi i wielowątkowymi. Tak jak np. sprawa Stanisława Gawłowskiego. Akta tej sprawy mają olbrzymią objętość. Ja też chciałbym, żeby te sprawy były szybko osądzone, ale nie działamy w próżni. Opór wobec reformy sądownictwa jest ogromny, choć wszyscy wiedzą, że sprawy wloką się niechętnie.

Pożądane byłoby wzmocnienie prokuratury, by te często niezmiernie skomplikowane sprawy badały zespoły prokuratorów, a nie pojedynczy referenci. Dla nas priorytetem jest to, by zgromadzić takie dowody, które obronią się przed sądem. Chciałbym, żeby młyny sprawiedliwości miały szybciej, ale nie mniej dokładnie.

Korupcja to domena tych, którzy mają władzę. Czy obóz władzy ma w swoich szeregach wiele czarnych owiec?

Oczywiście i do tej władzy, jak do każdej innej, lgną ludzie, którzy w trakcie jej sprawowania okazują się nieodporni na pokusy. Również w naszym obozie znalazły się czarne owce. Jednak za naszej władzy przyzwolenia na korupcję nie ma. Różnica w stosunku do naszych poprzedników polega na tym, że wówczas panowała zasada – jeśli już kradniesz, to nie daj się złapać. Dobrze to było widać na przykładzie afery hazardowej. Zdaje się, że Zbigniew Chlebowski wyleciał nie dlatego, że wdał się w naganne kontakty z lobbystami, lecz dlatego, że pogrążył swój obóz polityczny na konferencji prasowej, zalewając się strugami potu. Zdajemy sobie sprawę, że i u nas mogą się zdarzyć aferzyści. Jednak zapewniam – nie mogą oni spać spokojnie.

Wszystkie proponowane przez was rozwiązania w dziedzinie bezpieczeństwa spotykają się z zarzutami o budowanie państwa policyjnego. Tak było przy okazji np. ustawy antyterrorystycznej.

Nie tak dawno brałem udział w dyskusji w komisji ds. służb. Członkowie komisji, eksperci i funkcjonariusze dokonali podsumowania działania tej ustawy. Oczywiście są jeszcze drobne błędy, które należałoby skorygować. Jednak w powszechnej opinii ustawa antyterrorystyczna okazała się kapitalnym rozwiązaniem dla służb i policji. Przypomnę również, że to właśnie polska ustawa została dobrze ocenio-

na przez Europejskie Centrum Doskonalenia przeciwno Zagrożeniom Hybrydowym w Helsinkach (Hybrid CoE). Dyrektor ds. Odporności Hybrid CoE uznał przepisy polskiej ustawy antyterrorystycznej za przykład „najlepszych praktyk”, które mogą służyć za wzór w tworzeniu prawa przez inne państwa UE i NATO.

Specjaliści zwracają jednak uwagę, że nasze rozwiązania w dziedzinie szpiegostwa nie są w pełni skuteczne. Mam na myśli niskie, jak na tę zbrodnię, zagrożenie karą. Ciężko też ścigać pewne działania, które nie są ujęte w kodeksie karnym, takie jak np. agentura wpływu czy wspomniane zagrożenia hybrydowe.

Zgadzam się, że tutaj potrzebne są zmiany. Zapisy w kodeksie karnym odnoszą się do czasów minionych, do zimnej wojny. Nie uwzględniają wyzwania współczesności.

W Estonii, która padła ofiarą rosyjskiego cyberataku i innych działań również o charakterze hybrydowym, przy zgodzie opinii publicznej i głównych sił politycznych wprowadzono rozwiązania, które rzeczywiście są bardzo nowoczesne. My również dorobiliśmy się narzędzi do walki z cyberatakami. Jednak u nas wpływowe środowiska podnoszą alarm, że chcemy wprowadzić dyktaturę, kiedy zwiększymy bezpieczeństwo Polaków.

Odnoszę czasem wrażenie, że środowiska te niekoniecznie kierują się troską o wolność i bezpieczeństwo Polski i Polaków, a czasem działają wręcz na ich niekorzyść. PiS jest formacją wyrosłą z wielkiego ruchu Solidarności. Wolności i swobody obywatelskie są dla nas święte. Jednak aby były one nienaruszalne, musimy dbać też o bezpieczeństwo. Oczywiście wszystko musi być pod kontrolą i w ramach prawa. Mogę też zapewnić, że choć pewne rzeczy, takie jak agentura wpływu, rzeczywiście nie są określone w kodeksie karnym, to mamy instrumenty pozwalające je zwalczać. I to robimy.

Położenie Polski się nie zmieniło i się nie zmieni. Ktoś kiedyś nazwał to strefą zgnięcia.

Jesteśmy w najsukcesyjniejszym chyba w historii sojuszu, którym jest NATO. Mamy jednak świadomość, że sojusze to nie wszystko, a także że musimy budować własny potencjał obronny oraz odstraszania. Rozbudowujemy armię i ją systematycznie unowocześniamy. Budujemy też Wojska Obrony Terytorialnej. Terytorialsi w warunkach, kiedy nie ma powszechnego poboru, zwiększają nasz potencjał

obronny. A są to ochotnicy o bardzo wysokim morale. Tak budujemy nasz system bezpieczeństwa, by zagrożenie Polski było nieopłacalne. I nie mówimy tutaj tylko o tradycyjnej armii. Rozbudowujemy kontrwywiad, ale też wyspecjalizowane struktury do walki z cyberatakami.

A bezpieczeństwo ekologiczne? Nie udało się zapobiec gigantycznej awarii oczyszczalni Czajka, przez co do Wisły spłynęły ekskrementy.

Dla mnie jest to osobista tragedia, bo najpiękniejszy odcinek Wisły płynie przez mój okręg wyborczy. Rozmawiam z samorządowcami z północnego Mazowsza, którzy są załamani, bo przez, łagodnie rzecz mówiąc, niefrasobliwość władz Warszawy wszelka turystyka w tych pięknych miejscach zamarła. Ta tragedia jest jednak symbolem rządów PO nie tylko w Warszawie. Ogromna inwestycja za ogromne pieniądze, a wszystko okazuje się fuszerką, przez którą cierpi nie tylko Warszawa. Prokuratura powinna tę sprawę wyjaśnić od podszewki i ludzi odpowiedzialnych za tę katastrofę postawić przed sądem. I tutaj kolejny raz się okazało, że kto potrafi działać skutecznie. Znow musieliśmy sprzątać po Platformie. Tylko dzięki naszej sprawnej akcji udało ograniczyć skutki tej katastrofy.

Jestem wielkim fanem Wisły i swoją tratwę przemierzałem również pański okręg wyborczy. Jednak nie czarujmy – mimo gigantycznego potencjału północnego Mazowsza jest on niewykorzystany.

Zgadzam się. I nawet nie wie pan, jak żałuję, że w 2018 r. zabrakło nam jednego mandatu, by przejąć władzę nad Mazowszem. Wiem, że takie miejscowości jak Czerwińsk czy Wyszogród mają potencjał zbliżony do Kazimierza Dolnego. Ścieżka rowerowa wzdłuż Wisły do Płocka, przystanie i maryny na pewno ożywiłyby region. Jednak pieniądze na Mazowszu rozdają Platforma i PSL, które traktują ten region po macoszemu. To, co się mieści w zadaniach administracji centralnej, jest na Mazowszu realizowane i nie ukrywam, że mam swój udział w tym dobrze rozumianym lobbingu na rzecz regionu. Mogą o tym zaświadczyć samorządowcy. Dodam, że warto poważnie rozważyć utworzenie osobnego województwa bez Warszawy. W Niemczech Berlin jest enklawą i dzięki temu otaczająca go Brandenburgia może korzystać z większych środków unijnych.



Kamila Baranowska

Gdyby Sylwia Spurek nie istniała, prawica musiałaby ją sobie wymyślić. A europosłanka Wiosny dopiero się rozkręca

Sylwia Spurek jak w soczewce skupia w sobie wszystko to, za co prawica od lat wyśmiewa lewicowy ekstremizm. Przy czym ona sama swoją działalność traktuje niezwykle poważnie, co tylko potęguje efekt groteski, który towarzyszy jej najbardziej dziwnym akcjom.

Europosłanka Spurek swoją polityczną działalność w Parlamencie Europejskim zaczęła z przytupem. Od rozkręcenia afery w sprawie jedzenia serwowanego w bufecie Parlamentu Europejskiego w Brukseli.

PRAWO NA STOŁÓWCE

Na swoim Facebooku poskarżyła się na zbyt ubogą ofertę posiłków wegańskich, prezentując zdjęcie swojego obiadu: frytek z ketchupem i warzyw. Pokusiła się także o głębszą analizę tego zjawiska i wyciągnęła sporo wniosków z tej, jakby się wydawało, prozaicznej sytuacji. „Jak na miejsce, które powinno skutecznie walczyć o prawa człowieka, prawa zwierząt i przeciwdziałać zmianom klimatycznym, to trochę obciach. Widać, że w wielu sprawach PE przespał sporo czasu. Czas na przebudzenie i zmiany!” – ogłosiła.

Tamta sprawa doczekała się kontynuacji. Kilka dni temu przypomniała ją sama poseł Spurek, informując, że postanowiła zawalczyć o interesy wegan u sekretarza generalnego Parlamentu Europejskiego Klausa Wellego. „Zarzucali mi, że zajmuję się w PE jedzeniem, bo zapomnieli lub nie zdają sobie sprawy, że to, co uprawiamy, hodujemy, produkujemy, zjadamy, nie jest naszą prywatną sprawą” – oznajmiła na Twitterze, wywołując konsternację i kpiny sporej części obserwujących ją osób.

Od stwierdzenia, że to, co jemy, nie jest naszą prywatną sprawą, do przekonania, że ktoś (pokroju pani Spurek na przykład) ma prawo decydować o tym, co jeść nam wolno, a czego nie, jest bowiem niebezpiecznie blisko. O tym, że nie jest to wcale stwierdzenie na wyrost, świadczą inne

FOT. THIERRY KOUSSÉ/REPORTER

Spurek odsłonięta

wypowiedzi Spurek, jak choćby ta, że mięso powinno być droższe, niż jest obecnie. „Musimy doprowadzić do zmian instytucjonalnych, na przykład poprzez tworzenie nowych praw [...]. Musimy sprawić, by produkcja wyrobów odzwierzęcych była trudniejsza i droższa” – stwierdziła niedawno, powołując się na książkę „Jak stworzyć wegański świat” Tobiasza Leenaerta. Jak widać, tolerancja i lewicowa wrażliwość kończą się tam, gdzie na talerzu pojawia się mięso.

Sprawa jedzenia mięsa pochłania (nomen omen) dużo czasu i energii, jeśli chodzi o aktywność polityczną nowej pani europoseł. Zresztą ona sama nie kryje, że tym, co ją określa – i jako polityka, i jako człowieka – jest weganizm.

„Jestem weganką ze względów etycznych. To jest część mojego światopoglądu. Trudno byłoby mi być z kimś, kto nie jest przeciwny wykorzystywaniu zwierząt” – mówiła w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”. „Nie jem niczego, co pochodzi od zwierząt, również miodu. Uważam, że zwierząt nie można wykorzystywać ani do badań, ani dla rozrywki, ani do celów spożywczych” – precyzowała w rozmowie z „Głosem Wielkopolskim”. Po czym nieoczekiwanie przyznała, że ma akurat na sobie skórzane buty. „Co prawda, mam na sobie dzisiaj buty ze skóry kupione, zanim zostałam weganką, ale nowych ze skóry już nie kupię. Odkąd zostałam weganką, nie kupuję też produktów z jedwabiu, z wełny. Weganizm u mnie ewoluował, najpierw byłam wegetarianką” – wyjaśniała. Na Twitterze doprecyzowała zaś, że weganką jest od lipca 2015 r., sugerując, że od tego czasu można ją z jej weganizmu rozliczać. A przynajmniej od tego czasu to ona może rozliczać innych z tego, jak dbają o prawa zwierząt.

CIEMIĘŻONE KROWY

Walkę o lepsze traktowanie zwierząt stawia wśród priorytetów swojej politycznej działalności. Sam postulat, choć słuszny, w wykonaniu poseł Spurek przybiera formy dość karykaturalne. I tak europosłanka postanowiła niedawno stanąć w obronie ciemiężonych krow. Z okazji Światowego Dnia Mleka Roślinnego (podobno jest obchodzony 22 sierpnia) zamieściła w Internecie filmik, na którym zaapelowała o „mleko wolne od cierpienia i krzywdy milionów krow hodowanych w niehumanitarnych, okropnych warunkach”. Chwilę później w następnym nagraniu znów wróciła do tematu. Tym razem w kontekście

płciowości krow. – Kiedy w Parlamencie Europejskim mówię o wegańskim jedzeniu, to tak naprawdę nie mówię o jedzeniu. Mówię o wartościach, mówię o empatii jednych zwierząt: ludzi, do innych, mówię o katastrofie klimatycznej. Kiedy mówię o feminizmie, to mówię o szacunku dla zwierząt, których los, np. los krow mlecznych, jest zdeterminowany przez ich płęć – stwierdziła. Do dziś dziennikarze, komentatorzy, politycy i internauci zastanawiają się, co mogła mieć na myśli. W Polsat News zapytano nawet o to lidera Wiosny Roberta Biedronia. Początkowo nawet próbował coś wymyślić, ale ostatecznie poległ. – Nie bardzo rozumiem, ale domyślam się, że chodzi o to, że są różne rodzaje krow, które są... no nie wiem. Musiałby pan panią europoseł zapytać. Ona jest ekspertką od tych spraw – odpowiedział.

Sylvia Spurek uważa, że krowy są wykorzystywane – są gwałcone, żeby mogły urodzić, żeby mogły dawać mleko

Temat krowiego losu, zdeterminowanego przez płęć, zaintrygował także twórce prześmiewczego kanału Pyta.pl na YouTube. Mikołaj „Jaok” Janusz postanowił dopytać europosłankę, co konkretnie miała na myśli. Spurek tłumaczyła, że przecież krowy, aby dawać mleko, są... gwałcone. – Z mlekiem nie jest jak z moczem, nie daje się bez przyczyny. Krowy są gwałcone, żeby zostać zapłodnione, żeby mogły urodzić, żeby mogły dawać mleko. Żadna krowa, tak jak żadna kobieta, nie daje mleka po prostu – powiedziała.

Wszyscy obserwujący krótką, acz intensywną polityczną karierę Sylwii Spurek zachodzą w głowę, jak to możliwe, że przez lata pełniła ważne funkcje choćby u boku rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara (do niedawna była jego zastępcą) czy wcześniej zasiadając w zespole do spraw Europejskiego Trybunału Praw Człowieka przy MSZ.

Spurek jest też doktorem nauk prawnych. Ostatnio wykładała m.in. na gender studies na UW oraz w Polskiej Akademii Nauk na podyplomowych studiach gender mainstreamingu. Ze swoich radykalnych poglądów w węższym gronie najbliższych współpracowników jest znana nie od dziś.

Teraz dostała okazję, by prezentować je szerszej opinii publicznej. Doktor Marcin Warchoł, obecny wiceminister sprawiedliwości, który wcześniej pracował w biurze RPO, wspomina, że poglądy Spurek były tam wszystkim znane. – Najłagodniej mówiąc, jej zachowania i poglądy nie idą w parze ze zdrowym rozsądkiem, co powoduje, że trudno odnosić się do nich poważnie. Dotychczas były znane wąskiemu gronu jej współpracowników, teraz poznała je cała Polska – mówi „Do Rzeczy”. – Nie była osobą najłatwiejszą we współpracy, ale cieszyła się zaufaniem rzecznika Bodnara. Nie zapamiętałem jej z jakichś konkretnych, merytorycznych działań – dodaje.

Sam rzecznik bardzo chwalił dr Spurek za jej pracę, gdy ta żegnała się z biurem RPO. – Stała się pani jedną z najważniejszych postaci w środowisku obrońców praw człowieka, i to w obszarach wyjątkowo drażliwych. W naszym kraju ma to szczególnie walor, a także szczególną cenę – mówił.

Sama Spurek uważa, że z jej apeli podśmiewają się ci, którzy się boją zmian prawa i niewiele wiedzą. – Zachowania, o które pani pyta, są faktycznie bardzo emocjonalne i przypominają histerię. Najczęściej to ci sami panowie, ci sami publicyści w podobny sposób reagują, kiedy mówię o przemocy wobec kobiet i przemocy domowej i kiedy mówię o cierpieniu zwierząt – mówi „Do Rzeczy” europosłanka. – Te reakcje to najczęściej efekt braku wiedzy. Od 20 lat działam na rzecz praw człowieka i w tym obszarze dość często spotykałam się z takimi zachowaniami wąskiej grupy osób, która nie chce zmian i ich się boi. Jestem radczynią prawną i legislatorką, i weszłam do polityki, bo tu mam realny wpływ na kształt prawa i na wprowadzanie zmian, które są konieczne – zaznacza.

Do Parlamentu Europejskiego Sylwia Spurek weszła z list Wiosny. Wzbudziło to pewne kontrowersje na lewicy, bo jej życiowy partner, Marcin Anaszewicz, był wówczas wiceprezesem partii i jednym z architektów powstania tej formacji. A Spurek dostała jedynkę w Wielkopolsce, gdzie prawdopodobieństwo zdobycia mandatu było duże. Sam Biedroń, przedstawiając jej kandydaturę, mówił: „Mam nadzieję, że to także przyszła gwiazda naszego rządu, pani minister Sylwia Spurek”. Przedwyborcze sondaże wskazują, że Wiośnie tworzenie rządu na razie nie grozi. A zatem pani Spurek może bez reszty poświęcić się swojej działalności w Brukseli. Może to i lepiej.

W 2025 r. ma w Polsce obowiązywać ustawa „o równości małżeńskiej”, czyli prawo zezwalające parom homoseksualnym na zawieranie „małżeństw”. Będzie ich wtedy, w relacji do ogółu małżeństw, półtora procent. Skąd to wiemy? Ze szczegółowej strategii działania, którą stworzyło stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza – jedna z prominentnych organizacji środowisk LGBT.

Jeżeli komuś się zdaje, że nagły wysyp Parad Równości w ciągu ostatnich kilkudziesięciu miesięcy to przypadek, to powinien koniecznie sięgnąć po „Strategię wprowadzenia równości małżeńskiej w Polsce na lata 2016–2025”. Dokument został stworzony w 2016 r. w ramach programu „Obywatele dla Demokracji”. Widnieją na nim logo Fundacji Batorego, Europejskiego Obszaru Gospodarczego (to z nim związane są tzw. fundusze norweskie, choć w rzeczywistości darczyńcami są tu trzy kraje należące do EOG: Norwegia, Islandia i Liechtenstein) oraz Polskiej Fundacji Dzieci i Młodzieży. Zaskakiwać może zwłaszcza ten ostatni partner projektu. To fundacja powołana w 1992 r., która wspólnie z Fundacją Batorego była operatorem programu „Obywatele dla Demokracji”.

Ten program z budżetem w wysokości 150 mln zł, trwający od 2013 do 2016 r., miał typowe dla programów finansowanych z „funduszy norweskich” lewicowe skrzywienie. Wśród wspieranych działań miały być m.in. „zwalczanie ksenofobii, homofobii, rasizmu, antysemityzmu i wszelkich form dyskryminacji” oraz „zwiększenie zakresu i form wsparcia dla grup narażonych na ryzyko wykluczenia społecznego”. Przekładając z języka NGO na polski – program miał wspierać również typowe lewicowe inicjatywy, poszukujące wroga w każdym, kto krytykuje „postęp” i opowiada się za konserwatywnym modelem społecznym.

Podsumowując w 2017 r. wykonanie programu, prezes Fundacji Batorego prof. Aleksander Smolar mówił: „Program trafił w potrzeby chwili: promował tolerancję, przekonywał do demokracji i ochrony praw obywatelskich, uczył szacunku dla innych i akceptacji dla odmienności w czasie, gdy coraz częściej do głosu dochodzi populizm i demagogia, nienawiść i wrogość do innych”.

Z kolei portal NGO.pl tak relacjonował realizację programu w sferze „walki z dyskryminacją”: „W wyniku interwencji obywatelskich usunięto ok. 300 stron

Plany LGBT wobec Polski



Łukasz Warzecha

**Dotarliśmy do „Strategii wprowadzenia równości małżeńskiej w Polsce na lata 2016–2025”.
Oto co nas czeka**

internetowych oraz ponad 11 tys. nienawistnych wpisów w sieci, zamalowano nienawistne hasła w przestrzeni publicznej. Interweniowano w 2770 przypadkach dyskryminacji i ataków motywowanych nienawiścią. Bezpośrednią pomocą objęto 4989 osób doświadczających dyskryminacji lub na nią narażonych. Antydyskryminacyjne kampanie medialne osiągnęły zasięg 15 mln odbiorców.

PRZYGOTOWANIE SPOŁECZNOŚCI

Jesienią 2015 r., w odpowiedzi na kryzys uchodźczy w Europie i zapowiedź przyjęcia przez Polskę kilku tysięcy uciekinierów z rejonów objętych konfliktem na Bliskim Wschodzie, zorganizowany został konkurs dotacyjny na przygotowanie społeczności polskiej na ich przyjęcie”.

Interesująco brzmi zwłaszcza ten ostatni punkt, skoro żadne masowe przyjęcie imigrantów szczęśliwie nie nastąpiło. Jednak co się wydało „na przygotowanie społeczności”, to się wydało.

Projekt stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza był jednym z bardzo wielu obsłużonych w ramach programu i mógł umknąć uwadze. A niesłusznie.

Trudno orzec, czy jego realizacja była wynikiem lekkomyślności ze strony autorów, czy też po prostu NGO z kręgów LGBT musiało „przepalić” pieniądze z grantu i dlatego było zmuszone upublicznić – jakkolwiek dyskretnie – rezultat swoich prac. Dość, że w ich wyniku powstał dokument, który zaprzecza zasadzie nieujawniania strategii środowisk homoseksualnych.





Aby te cele osiągnąć, trzeba działać sprytnie, szczególnie w społeczeństwach z natury konserwatywnych. Choć lobby LGBT może być przekonane, że nie jest to żadna przeszkoda – wszak w przypadku Irlandii odnieśli całkowite niemal zwycięstwo, i to w ciągu mniej niż dekady.

Jednym ze sposobów maskowania się jest nadawanie swoim inicjatywom nazw noszących pozór niewinności, otwartości i tolerancji dla innych poglądów, podczas gdy w rzeczywistości środowiska LGBT należą do najmniej tolerancyjnych. Na tej zasadzie stowarzyszenie, będące autorem strategii, przyjęło nazwę „Miłość Nie Wyklucza”, zaś swój główny cel nazywa doprowadzeniem do „równości małżeńskiej”. Owa „równość małżeńska” ma, rzecz jasna, polegać na nieuprawnionym poszerzeniu pojęcia małżeństwa na pary tej samej płci. Co z prawdziwą równością małżeńską nie ma nic wspólnego.

Projekt stworzenia strategii zaowocował powołaniem rady programowej, w której składzie znajdziemy doskonale znane i rozpoznawalne osoby, takie jak prof. Monika Płatek, prof. Ireneusz Krzemiński, Anna Grodzka (czyli wcześniej Krzysztof Begowski), Krystian Legierski czy Jacek Żakowski. Wśród wspomagających projekt prawników znalazł się partner Roberta Biedronia, Krzysztof Śmiszek. Na liście osób, które ostatecznie zredagowały strategię, nie ma znanych nazwisk, jest za to pocieszne „neutralne płciowo” sformułowanie: „Duży wkład merytoryczny i organizacyjny do strategii wniosły również **osoby członkowskie** Stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza” [podkreślenie Ł.W.].

ZMIANA PRAWNA I SPOŁECZNA

Sama strategia liczy sobie raptem 21 stron (w tym okładki, przypisy, spis treści) i jest precyzyjnym rozpisaniem procesu osławiania społeczeństwa z postulatami środowisk LGBT oraz doprowadzenia do przegłosowania w Sejmie odpowiednich rozwiązań prawnych.

We wprowadzeniu do strategii czytamy: „Z perspektywy legislacyjnej równość małżeńska to prawo do zawarcia małżeństwa przez dwie osoby, niezależnie od ich płci prawnej. W wymiarze społecznym jest to zarazem akt afirmacji związków jednopłciowych – uznanie ich za równie wartościowe, akceptowane i pożądane, jak związki osób różnej płci. Postulat wprowadzenia równości małżeńskiej obejmuje zatem dwa rodzaje zmiany: prawną i społeczną”.

Założenie jest takie, że ludziom łatwiej będzie się pogodzić ze stopniowymi zmianami, do których będą mieli się czas przyzwyczaić, a których ostatecznego celu nie będą dostrzegać. I jest to założenie słuszne, bo tak zadziałało to wszędzie tam, gdzie lobby LGBT udało się rozbić tradycyjny ład społeczny i zrealizować swoje najdalej nawet idące postulaty. Często też te środowiska wykorzystywały efekt wahadła: czas spełnienia ich żądań nadchodził po okresie rządów konserwatystów, gdy do głosu dochodziła lewica. Tak się stało choćby w Hiszpanii, gdy władzę po Partii Ludowej z José Marią Aznarem przejęła Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza z José Luisem Rodríguezem Zapatero. Zapatero spełnił najdalej idące lewicowe postulaty, czego

późniejsze rządy Mariano Rajoya z Partii Ludowej już nie odwróciły. Ciekawe, czy politycy PiS kiedykolwiek przestudiowali ten przypadek.

Za ostateczny cel można uznać dwie kwestie. Pierwsza to umożliwienie adopcji dzieci homoseksualnym „małżeństwom” (oczywiście po wcześniejszym doprowadzeniu do całkowitego zrównania w prawach związków kobiety i mężczyzny ze związkami homo). Druga to wprowadzenie ostrych i bezwzględnych kar za wszelką krytykę środowisk LGBT, ich sposobu działania i postulatów wraz z połączoną z tym zmianą świadomości, tak aby kary zawarte w prawie były jedynie potwierdzeniem powszechnego odczucia, że krytykowanie sposobu działania aktywistów LGBT jest czymś nagannym.

■ Mamy tu dwie ważne kwestie. Pierwsza to sformułowanie „płeć prawna”, które podkreśla, że płeć zawarta w dokumentach może nie mieć nic wspólnego z płcią biologiczną – której istnienie zresztą środowiska LGBT wydają się w ogóle kontestować. Druga to postulat „afirmacji” homo-związków, czyli – ni mniej, ni więcej – ale doprowadzenia do społecznego przewartościowania, tak aby pojęcie małżeństwa przestało być jednoznacznie kojarzone ze związkiem kobiety i mężczyzny.

LITYGACJA STRATEGICZNA

Na początku autorzy strategii diagnozują aktualną sytuację i konstatują, że zakładanych celów nie uda się osiągnąć w obecnej kadencji Sejmu, ale...

„Istnieje realna szansa uregulowania sytuacji prawnej par jedнопłciowych w przyszłej kadencji Sejmu (2019–2023), poprzez wprowadzenie związków partnerskich, a nawet – przy wzroście poparcia społecznego – równości małżeńskiej. Konieczne są jednak do tego: osłabienie Prawa i Sprawiedliwości i innych partii skrajnie konserwatywnych oraz wzrost poparcia społecznego dla regulacji równościowych. To właśnie od poparcia społeczeństwa będzie bowiem w dużej mierze zależała postawa rządzących i ich decyzja o zatrzymaniu się na związkach partnerskich lub poparciu rozwiązań idących dalej. Szansą może być zmiana nastrojów społecznych – w wyniku oporu społeczeństwa wobec konserwatywnej władzy, możliwa jest liberalizacja poglądów, podobnie jak miało to miejsce w latach 2005–2007”.

Rozwój sytuacji politycznej musi być na razie dla autorów strategii gorzkim rozczarowaniem. Warto przy tym zauważyć, że wprowadzenie związków partnerskich – o czym przebąkują nawet niektórzy politycy Zjednoczonej Prawicy – nie jest przez strategów LGBT traktowane nawet jako cel minimum. To sprawa w ogóle poniżej pułapu ich zainteresowania.

Następnie strategia referuje czynniki, które mogą zadziałać na jej korzyść. Jednym z nich jest wprowadzenie „małżeństw” homo w dużej liczbie krajów UE i pojawiająca się w związku z tym możliwość „litygacji strategicznej”. Cóż to takie? „Litygacja strategiczna polega w tym wypadku na próbie zawarcia małżeństwa w Polsce przez pary jedнопłciowe, a następnie zaskarżeniu odmowy urzędu stanu cywilnego do sądów coraz wyższych instancji. Wyczerpanie możliwości prawnych w Polsce umożliwi skierowanie sprawy do

Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, którego wyrok może okazać się kluczowy dla zmiany ustawodawstwa polskiego (więcej informacji w załączniku 1 do strategii – ścieżka litygacji strategicznej)”. Takiego przypadku jeszcze w Polsce nie było, były już jednak sprawy, gdy pary, które zawarły homozwiązek poza Polską, domagały się uznania w naszym kraju wynikających z tego praw.

Jeszcze w czerwcu ubiegłego roku w TSUE zapadł wyrok, którego źródłem była sprawa tocząca się przed rumuńskim trybunałem konstytucyjnym. Z wyroku wynika, że jeśli w jakimś kraju UE dwie osoby tej samej płci zawarły „małżeństwo”, to inne państwa – w tym Polska – muszą je za takie uznawać. Prezes Ordo Iuris mec. Jerzy Kwaśniewski komentował wówczas, że jest to ewidentne przekroczenie przez trybunał jego kompetencji, i pytał o reakcję polskie MSZ. Reakcji jednak nie było.

W Polsce toczy się już sprawa oparta na orzeczeniu TSUE. Uznania swojego homomałżeństwa, zawartego w Berlinie, domaga się Agata Kowalska, zaciekle działaczka środowisk LGBT, a zarazem dziennikarka TOK FM. Urząd stanu cywilnego odmówił wpisania „małżeństwa” do akt, 18 września wojewódzki sąd administracyjny przyznał w tej sprawie rację wojewodzie. Kowalska zapowiada, że gdy wyczerpie się polska ścieżka sądowa, sprawa trafi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Trzeba jednak przypomnieć, że ETPC nie jest organem UE, ale Rady Europy – odrębnej organizacji.

Zainteresowani tłumaczą, że chodzi tylko o wyklarowanie sytuacji prawnej, a nie o ofensywę ideologiczną, ale obserwując działania i postawę Kowalskiej, trudno w to uwierzyć. Jej poczynania wpisują się idealnie w strategię „równości małżeńskiej”.

STRATEGIA SALAMI

W dokumencie jest tabelka, w której wymieniono trzy daty: 2016 r. (moment sporządzenia dokumentu) oraz lata 2020 i 2025. Według autorów strategii w 2020 r. subwencje mają uzyskiwać trzy ugrupowania, wpisujące postulat „równości małżeńskiej” do programu. Dzisiaj wiemy, że jedna taka będzie w Sejmie niemal na pewno – lewicowy sojusz z SLD na czele. Trudno powiedzieć, jakie jest tu stanowisko PO poza tym, że jest niejasne, ale to ugrupowanie wspiera przynajmniej związki partnerskie. Pozostałe ogólnopolskie komitety są przeciw, więc ta rachuba

nie całkiem się sprawdzi. W następnej kadencji, w 2025 r., takie ugrupowania mają być już cztery. Do strategii wpisano też liczbę parlamentarzystów (posłów i senatorów), którzy mają wspierać ten postulat: 200 w 2020 r. i 400 w 2025 r. Jest także założenie, że już w kolejnej kadencji prezydent będzie podzielał takie stanowisko. Wziąwszy pod uwagę, że wygrana Andrzeja Dudy jest najbardziej prawdopodobna, może to być prognoza na wyrost. Jednak w roku 2025? Kto wie?

Są też rozpisane na lata cele poparcia dla „równości małżeńskiej” wśród Polaków. W 2020 r. ma to być 39 proc. Jak to wygląda dzisiaj? Spójrzmy na świeży sondaż Eurobarometru. Diabeł tkwi oczywiście w szczegółach, czyli w pytaniu. Można założyć, że sformułowanie „równe prawa” w kontekście osób LGBT jest różnie rozumiane w różnych krajach. W Polsce za jest 49 proc. badanych, przeciw – 45 proc. Średnia to 76 proc.

Padło też pytanie o „równość małżeńską”. Tutaj średnia poparcia to 69 proc. przy 26 proc. przeciwko. W Polsce to odpowiednio 45 i 50 proc. Jak widać, jeśli Eurobarometr jest rzetelny, to cel postawiony w strategii został już przekroczony, i to przy bardzo dynamicznym wzroście poparcia – o 17 pkt wobec 2015 r. 45 do 50 proc. to niemal pół na pół.

W strategii zawarto też graficzny schemat wzajemnego oddziaływania na siebie poszczególnych czynników. Istotną rolę przyznaje się tam zwiększonemu oddziaływaniu na opinię publiczną dzięki większej liczbie organizacji LGBT i intensywnemu lobbingsowi. Opinia publiczna zaś ma skłaniać polityków do daleko idących działań.

To nie są jakieś amatorskie rojenia – to bardzo przemyślany plan wprowadzenia w życie najdalej idących postulatów środowisk homoseksualnych. Jego istotną, być może najważniejszą częścią, jest powolne osvajanie ludzi z żądaniami, zachowaniami, manifestacyjnym, osten-tacyjnym obnoszeniem się ze swoimi skłonnościami. Sprzężenie pomiędzy nstawieniem opinii publicznej a działaniami władzy jest głównym mechanizmem, którym chcą się posługiwać projektodawcy strategii.

Strategia salami się sprawdza. Najtrudniej przeciwdziałać zmianom, które następują powoli i bardzo stopniowo, będąc zarazem częścią dobrze przemyślanego planu. A to jest właśnie taki przypadek.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI



Wakacje dla wszystkich



Łukasz Zboralski

Coraz więcej Polaków wyjeżdża na urlop. Przybywa rodzin, w których wszystkie dzieci jadą na odpoczynek. Po 30 latach od transformacji ustrojowej wakacje stały się normą, a nie marzeniem



Jacek z Warszawy właśnie wrócił z wrześniego urlopu w Egipcie. – Byłem tam na kursie nurkowania. Instruktor, gdy tylko zorientował się, że jestem Polakiem, zapytał mnie: Podobno teraz macie takie władze, co każdemu dają 500 zł, żeby mógł pojechać sobie na urlop? – relacjonuje polski urlopowicz. Dodaje, że na wakacjach spotkał wielu rodaków. – Zresztą od kilku lat w zagranicznych kurortach jest naprawdę wielu Polaków – mówi.

Rzeczywiście, wprawdzie rodacy najchętniej za granicę wyjeżdżają wciąż do krajów europejskich (Chorwacja, Włochy, Grecja, Hiszpania), jednak zaraz za nimi najczęściej odwiedzane są Egipt, Turcja i Tunezja.

Czasem jednak za granicę Polacy musieli wyjechać dlatego, że podczas tegorocznego sezonu brakowało już miejsc w kraju. – W tym roku musiałem przesunąć wakacyjny wyjazd z rodziną, bo opady deszczu przedłużyły mi zaplanowane żniwa – opowiada Marek Kosiedowski, rolnik z Kęsowa w Kujawsko-Pomorskiem. – Ostatecznie musieliśmy z żoną szukać rezerwacji dwa dni przed rozpoczynającym się najdłuższym weekendem

wakacji. Chcieliśmy jechać do Szklarskiej Poręby. Pół wieczoru dzwoniłem w poszukiwaniu kwatery i nie znalazłem. Na nic zdały się też wszystkie portale do rezerwacji internetowej. Nie znalazłem ani jednego miejsca. Ostatecznie zarezerwowaliśmy nocleg w czeskich Rokytnice nad Jizerou i do polskich gór dojeżdżaliśmy stamtąd samochodem. Na szczęście było blisko – relacjonuje.

Tatrzański Park Narodowy w te wakacje odnotował rekordową liczbę 1,7 mln turystów. Góry przyciągnęły wiele rodzin – z karty dużej rodziny uprawniającej do darmowego wejścia do TPN skorzystało w te wakacje ponad 70 tys. osób.

A góry to i tak nie był najpopularniejszy kierunek wyjazdów urlopowych. Jak wynika z badań deklaracji przed wakacjami – Polacy częściej celowali w wypoczynek nad Bałtykiem niż w górach czy nad jeziorami.

DZIECI WRESZCIE JEJDĄ

Jak wynikało z badania firmy Mondial Assistance, na wakacje w tym roku zamierzało wyjechać ok. 20,5 mln Polaków. W porównaniu z poprzednim sezonem na urlop wybierało się więc o 2 mln osób

więcej. Połowa z nich zamierzała wyjechać za granicę, druga połowa planowała spędzić urlop w kraju.

W 2018 r. odnotowano najciekawszy rekord wakacyjny, który mówi wiele o zmianie standardu życia Polaków. Czwarty rok z rzędu rósł odsetek rodzin, w których wszystkie dzieci wyjechały przynajmniej na tygodniowy wypoczynek. Jak podkreślono w badaniu CBOS (Letnie wyjazdy wypoczynkowe uczniów 2018) takich rodzin było aż 65 proc., to o dziewięć punktów procentowych więcej niż rok wcześniej i najwyższy odsetek od 1993 r., gdy sondażownia zaczęła pytać o tę sprawę.

Danych za 2019 r. CBOS jeszcze nie opublikował. – Mogę powiedzieć, że odsetek rodzin, w których wszystkie dzieci wyjeżdżają na wakacje co najmniej na tydzień, wrócił do poziomu z 2017 r. – ujawnia „Do Rzeczy” autorka raportu CBOS Barbara Badora. – Widać za to, że wzrósł odsetek dzieci wyjeżdżających co najmniej na dwa tygodnie – dodaje. Zdaniem ekspertki może to świadczyć o stabilizacji trendu zauważalnego od 2016 r.

Gdy zająrzeć głębiej w dane z 2018 r., widać jeszcze lepiej, jak ostatnimi laty

zyskali najmłodszy Polacy. Na co najmniej tygodniowy wypoczynek poza miejscem zamieszkania wyjechali w sumie uczniowie z 74 proc. gospodarstw domowych, w których są dzieci w wieku szkolnym. Odnotowano znacznie mniej rodzin, w których na wakacje nie wyjechało żadne dziecko. W ubiegłym roku było ich 26 proc., w 2017 r. – 31 proc., a jeszcze w 2013 r. prawie połowa polskich rodzin nie wysyłała dzieci na wakacje. Wówczas w 47 proc. rodzin nie wyjeżdżało żadne dziecko. Można powiedzieć, że połowa rodzin z dziećmi nie wysyłała malców na wakacje co najmniej od 1993 r. I ten trend zaczął się przełamywać dopiero od roku 2015.

Dlaczego tak się stało? To oczywiste – chodzi o pieniądze. „Upowszechnienie się co najmniej tygodniowych letnich wyjazdów wypoczynkowych dzieci i młodzieży w wieku szkolnym jest zapewne efektem poprawy sytuacji materialnej gospodarstw domowych, w których są dzieci, co należy wiązać ze świadczeniem z programu »Rodzina 500 plus«” – napisała Barbara Badora. Jej zdaniem widać to jeszcze lepiej wśród dzieci mieszkających na wsi, gdyż w gminach wiejskich aż 63 proc. dzieci otrzymywało to świadczenie.

Potwierdzeniem takiej tezy mogą być odpowiedzi rodziców, w których podawali powody tego, że dzieci na wakacje nie wysłali. Od lat zdecydowana większość rodziców najliczniej wskazywała po prostu na brak pieniędzy. W 2013 r. aż 73 proc. rodziców twierdziło, że nie stać ich na wysłanie dzieci na wakacje. Odsetek zbyt biednych, by zapewnić dzieciom odpoczynek, malał od tego roku, ale w 2016 r. taką deklarację składała jeszcze prawie połowa rodzin. Tąpnięcie nastąpiło w roku ubiegłym. Wówczas na wakacje dla dzieci nie było stać 26 proc. rodziców. Biorąc pod uwagę wcześniejszą sytuację – to zaskakująco mały odsetek, choć warto też wciąż pamiętać, że spośród niewysyłających dzieci na wypoczynek poza dom rodzin aż jedna czwarta robi to z powodu trudności finansowych.

NOWE SPOJRZENIE RODZICÓW

Warto też odnotować inną, jeszcze większą zmianę – w postrzeganiu przez rodziców dziecięcych wyjazdów na wakacje poza rodzinny dom. Wcześniej niewysyłający dzieci na wakacje dopiero na trzecim miejscu pod względem

częstotliwości odpowiedzi twierdzili, że uczniowie „nie muszą wyjeżdżać na wakacje, mogą wypoczywać w domu”. Znacznie częściej tłumaczyli, że nie było możliwości zorganizowania dzieciom wypoczynku lub że dzieci nie chciały nigdzie jechać.

I znów, gdy przez lata ubywało tych, którzy po prostu nie mieli pieniędzy, rósł odsetek tych, którzy nie wysyłali dzieci na wakacje, bo uznawali, że to niepotrzebne. To dość proste do wytłumaczenia. Ci, których blokowały jedynie zasoby finansowe, mogli wreszcie zadbać o dzieci tak, jak marzyli. Jednak ci, którzy nie robili tego z powodu własnych przekonań, nadal uznawali wakacje dzieci poza domem za coś zbędnego. Ale i to w ubiegłym roku właśnie się przełamało. Jeszcze w 2017 r. 44 proc. pytanym rodziców uważało wakacje za zbętek. Tymczasem rok temu taką odpowiedź podało zaledwie 8 proc. z badanych. Dlaczego?

– Ci, którzy nie wysyłali dzieci na wakacje poza dom, bo nie uważali, że to potrzebne, to byli głównie mieszkańcy wsi – tłumaczy prof. Janusz Czapiński, psycholog społeczny, kierownik badania „Diagnoza społeczna” analizującego od lat warunki i jakość życia Polaków. – Przez wiele lat podczas wykonywania co dwa lata „Diagnozy społecznej” to była dominująca grupa takich respondentów. Dlaczego tak uważali? Bo dzieci w okresie żniw są na wsi potrzebne. Tymczasem po raz pierwszy w ubiegłym roku

odwrócił się trend demograficzny. I więcej dzieci w przeliczeniu na liczbę osób rodzi się w miastach, a nie na wsiach. Dzietność na wsi spadła w stosunku do miast. Zatem coraz mniej jest dzieci na wsiach i także coraz mniej rolników, bo zaledwie 6 proc. osób mieszkających na wsi utrzymuje się wyłącznie z produkcji rolnej. Nie potrzeba więc już tylu rąk do pracy. A jeśli też są w tych gospodarstwach domowych pieniądze, a zdecydowanie dzięki „500+” są, to można dzieci wysłać na wakacje.

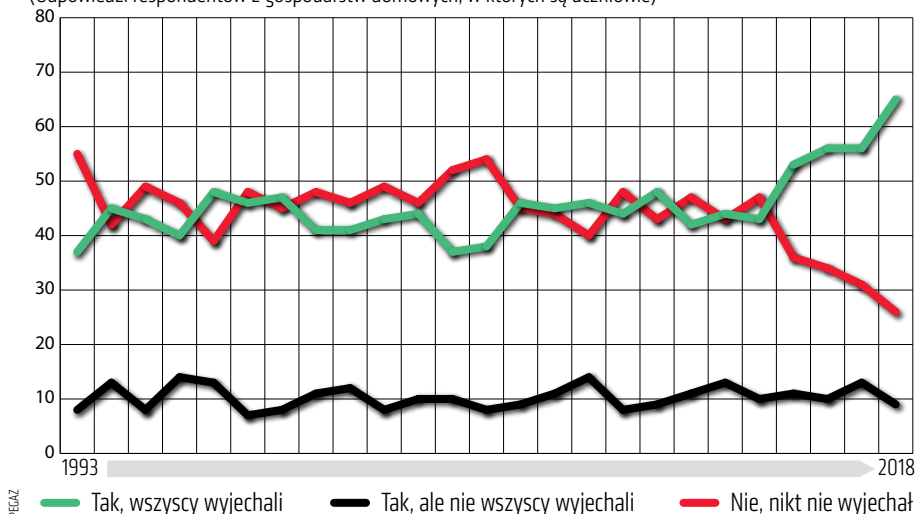
To, o czym mówi prof. Czapiński, widać też w danych. W latach 2017–2018 to na wsi najbardziej skoczyła liczba wszystkich dzieci wysyłanych na wakacje – z 38 proc. rodzin do 54 proc. W tym czasie w rodzinach miejskich był to wzrost tylko o 3 pkt procentowe – do 73 proc.

Od czterech lat nie tylko więcej polskich dzieci wyjeżdża na wakacje, lecz także coraz więcej z nich poznaje zagraniczne kraje. W ubiegłym roku dzieci z 23 proc. rodzin wyjechały na wakacje za granicę. Najbardziej zwiększa się odsetek tych, które spędzają wakacje częściowo w kraju, częściowo za granicą. – Od kilku lat widzę to w mojej szkole – potwierdza Elżbieta, nauczycielka z podwarszawskiej podstawówki. – Jeszcze w pierwszych tygodniach września uczniowie znikają na tydzień, bo jadą z rodzicami na zagraniczne wakacje, które wtedy są dużo tańsze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Czy podczas tegorocznych wakacji uczniowie z pana (pani) gospodarstwa domowego wyjechali co najmniej na tygodniowy wypoczynek poza miejsce zamieszkania?

(Odpowiedzi respondentów z gospodarstw domowych, w których są uczniowie)





Piotr T. Nowakowski

Pigułka gwałtu przestała być środkiem służącym do seksualnego wykorzystania ofiar. To także nowoczesne narzędzie ułatwiające rabunek

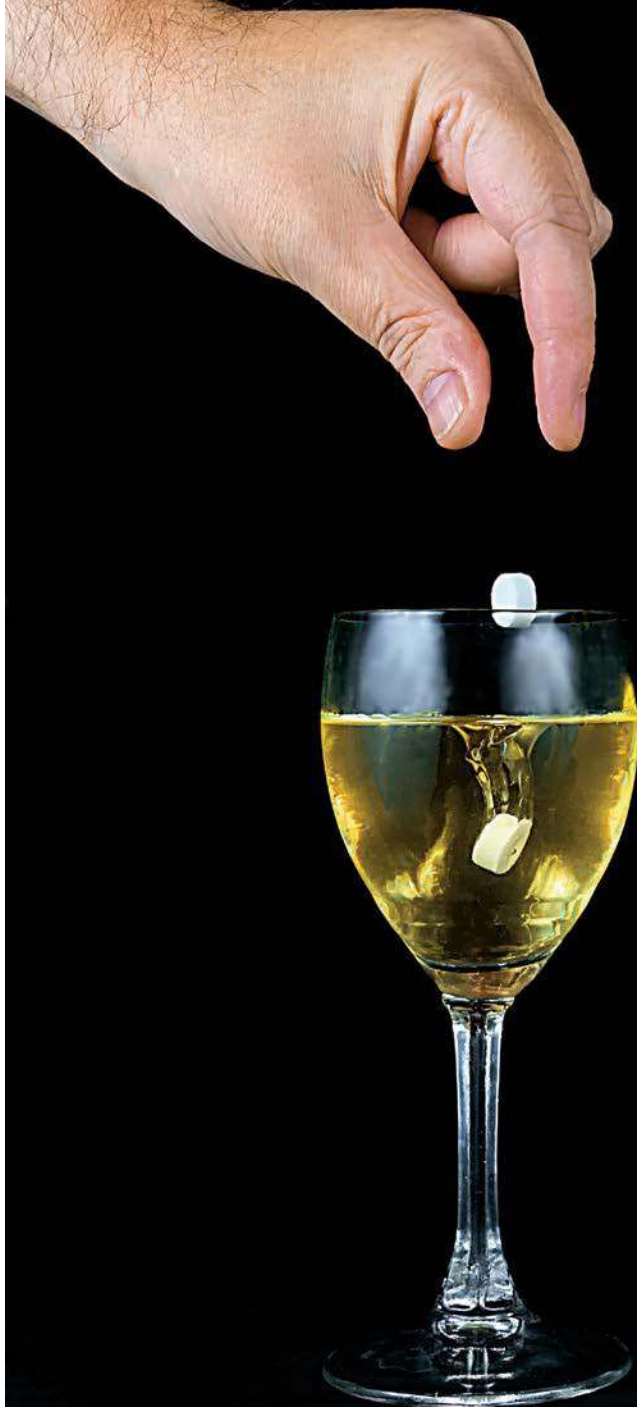
W klubie nocnym w centrum Wrocławia pewien Koreańczyk został pozbawiony dużej kwoty pieniędzy. Wydruk z jego rachunku wskazuje, że miał w ciągu kilku godzin płacić kartą ponad 70 razy. Mężczyzna ma z feralnej wizyty jedynie strzępy wspomnień. „Po wypiciu koktajlu straciłem przytomność. Następnego ranka zobaczyłem, że z konta zniknęło 30 tys. zł” – mówił we wrześniu telewizyjnej „Panoramie”. Ponoć trzy kobiety obserwowały, jak wprowadza PIN do karty podczas pierwszej transakcji. Co się działo dalej, nie pamiętał.

Pod koniec sierpnia krakowska policja zatrzymała na gorącym uczynku parę okradającą samotnie podróżujących obcokrajowców. Dziewiętnastolatka zachęcała do wypicia drinka, a jej 33-letni partner, korzystając ze sposobności, dosypywał delikwentowi do napoju środki psychotropowe. Gdy ten źle się poczuł, dziewczyna prowadziła go do taksówki, za której kierownicą siedział jej współpracownik. Był agresywny, używał gazu łzawiącego i zarzucał uśmierzanie gwałtu na 19-latkę. Następnie wywożono nieszczęśnika za miasto, okradano i tam zostawiano. Ofiarą pary padali turyści m.in. z Francji, Arabii Saudyjskiej, Ukrainy i USA.

„USYPIACZE” Z PROWINCJI

Takie zajścia to nie domena wielkich miast, dochodzi do nich także na prowincji. W maju 2009 r. media informowały o zatrzymaniu przez policję 34-latkę, która przy użyciu fortelu (np. „Nie pamiętasz mnie? Przecież spędziliśmy w barze cały wieczór!”) dostawała się do mieszkań mężczyzn w Żorach, usypiała ich i okradała. Jej ofiarami padło co najmniej dwóch samotnych panów.

Trzy lata wcześniej do aresztu trafił 23-letni częstochowianin, który za pomocą środków psychoaktywnych uspił



Złodziejska pigułka

FOT. ANDRZEJ STYCKI

i okradł znajomego. Obaj mężczyźni wybrali się do piwiarni. W trakcie opróżniania kolejnego kufła współbiednik znalazł na jego dnie białą tabletkę i schował ją do kieszeni. Po opuszczeniu lokalu mężczyzna stracił świadomość. Ocknął się na ulicy bez skórzanej kurtki i portfela. Śledczym pokazał, co znalazł w piwie. Analiza wykazała, że tabletkę zawiera substancję określaną jako pigułka gwałtu.

Doktor Jarosław Korczak z Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie wyróżnia cztery postaci, pod którymi może występować pigułka gwałtu: płyn, proszek, granulatu lub tabletki. Paradoksalnie użycie tej ostatniej jest z perspektywy przestępcy najtrudniejsze. – Jej rozpuszczenie w napoju wymaga więcej czasu, co wiąże się z ryzykiem, że upatrzona przez sprawcę ofiara nie spożyje wystarczającej ilości substancji albo zorientuje się, że na dnie szklanki coś podejrzanego pływa i odstawi napój – tłumaczy.

TRUDNO UDOWODNIĆ

Czy pieniądze utracone w taki sposób da się odzyskać? Tylko wtedy, jeśli będą dowody, że doszło do oszustwa. Wedle art. 286 Kodeksu karnego karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do ośmiu lat podlega ten, kto „w celu osiągnięcia korzyści majątkowej doprowadza inną osobę do niekorzystnego rozporządzenia własnym lub cudzym mieniem za pomocą wprowadzenia jej w błąd albo wyzyskania błędu lub niezdolności do należytego pojmowania przedsiębranego działania”.

Profesor Filip Cieplý, karnista z KUL, uważa, że polskie prawo wystarczająco dobrze reguluje kwestię odpowiedzialności karnej za produkcję, obrót i posiadanie pigułek gwałtu, tak jak i za samo jej użycie przeciw drugiej osobie. Problemem są kwestie dowodowe. Ofiara nie pamięta, co się z nią działo, a taki środek jak GHB szybko rozpada się w organizmie na wodę i dwutlenek węgla. – Substancję tę można wykryć we krwi w ciągu pierwszych ośmiu godzin od spożycia, w moczu – do 12 godzin. Po upływie dłuższego czasu od zdarzenia włosy są jedynym materiałem zdatnym do badań toksykologicznych. Jeżeli to możliwe, należy także zabezpieczyć naczynia, których ofiara mogła używać – stwierdza prof. Cieplý.

Możliwość udowodnienia przestępstwa komplikuje to, że niejedni klient

klubu nocnego nie zgłasza takiej sprawy organom ścigania – wstydzi się przyznać, że był w takim miejscu.

ZLIKWIDOWANY KANAŁ PRZERZUTU

Przypadki przestępczego użycia pigułek gwałtu nie są odnotowywane bardzo często. Jednak skalę problemu może obrazować akcja połączonych sił policji i skarbowki, które w połowie wakacji zlikwidowały kanał przerzutu psychoaktywnej substancji GBL, będącej prekursorem do produkcji GHB i jego substytutem. Kontrabanda trafiała z Chin na Litwę, a następnie przez Polskę transportowano ją głównie do państw Europy Zachodniej. Oficjalnie rozprowadzano środki czyszczące.

Czy pieniądze utracone w taki sposób da się odzyskać? Tylko wtedy, jeśli będą dowody, że doszło do oszustwa

– Łącznie zabezpieczono 1,2 tys. kg GBL, co daje prawie 2,5 mln sztuk handlowych narkotyku. GBL znajdowało się w przesyłkach nadawanych przez firmy kurierskie – mówił oficer operacyjny CBŚP w Rzeszowie. Z ustaleń śledczych wynika, że zrealizowanych zostało ok. 13 tys. transportów o łącznej wielkości 335 ton i wartości blisko 20 mln euro.

Należy dodać, że GHB jest też popularnym narkotykiem klubowym, co zwiększa jego popyt.

GADŻET BEZWARTOŚCIOWY

Ostatnio głośno się zrobiło o papierowej opasce LimeBands, zawierającej test na pigułkę gwałtu. Ma ona dwa pola testowe umożliwiające sprawdzenie dwóch drinków. Wystarczy nałożyć palcem kroplę napoju i poczekać 2 min. Jeśli pole zabarwi się na niebiesko, to znak, że ciecz zawiera aktywny składnik pigułka gwałtu. Na stronie focus.pl zachwalano wynalazek: „Prosty gadżet, którego działanie trudno przecenić. Wystarczy kropla napoju i kilka chwil, by mieć pewność, czy nikt nie dosypał nam czegoś do drinka”.

Problem w tym, że opaska nie spełnia przypisywanej jej funkcji, bo pozwala na

wykrycie tylko jednej (tj. GHB) spośród kilkudziesięciu substancji określanych jako pigułka gwałtu. Wprowadzone przed laty Drink Testy, trzykrotnie tańsze, były bardziej wydajne, bo umożliwiały rozpoznanie dwóch substancji (GHB i ketaminy), niemniej również wobec nich formułowano zastrzeżenia, że uzyskanie ujemnego wyniku może dawać potencjalnej ofierze fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Tym bardziej że z badań Instytutu Ekspertyz Sądowych wynika, iż w Polsce ze względu na dostępność najczęściej wykorzystywane są leki z grupy pochodnych benzodiazepiny.

Co więcej, testy mają pewne ograniczenia – chodzi choćby o trudności z prawidłowym badaniem napojów o ciemnych barwach i powstałych na bazie niektórych soków. Trudno też odczytać prawidłowy wynik testów, bo w warunkach klubowych (niedostateczne oświetlenie) spostrzeganie odpowiedniego zabarwienia jest trudne.

ZDROWY ROZSĄDEK

W tym świetle najlepszym środkiem profilaktycznym pozostaje zdrowy rozsądek. Na imprezy najlepiej chodzić w zaufanym towarzystwie i pilnować napojów. Nie należy pić niczego oferowanego przez obce osoby i niczego, co nie zostało otwarte na naszych oczach. To znacznie skuteczniejsza metoda niż test, którego trafność przypomina grę w rosyjską ruletkę.

Poza tym trzeba pamiętać nie tylko o ryzyku „ochrzczenia” spożywanego napoju narkotykami, lecz także o samym alkoholu w nim zawartym. Jak dotąd bowiem alkohol jest wciąż numerem jeden wśród środków określanych mianem pigułka gwałtu. Może o tym zaświadczyć każdy, komu kiedykolwiek „urwał się film”. Tak jak 33-letni Brytyjczyk Jordan Adams, który udał się do Niemiec na spotkanie ze znajomymi. Po paru godzinach zakrapianej zabawy w jednym z klubów mężczyzna postanowił wrócić do hotelu. W taksówce jednak nie umiał przypomnieć sobie jego adresu. Następnie wsiadł do łuku bagażowego stojącego nieopodal autokaru z nadzieją, że ten zawiezie go do miejsca docelowego. Po pięciu godzinach podróży obudził się w... Szwajcarii. Bez dokumentów, pieniędzy i telefonu. Jego historia miała jednak dobre zakończenie: zagubione przedmioty odnalazły się w pokoju hotelowym.

„Szekspir malarstwa”

[W 350. ROCZNICĘ
ŚMIERCI REMBRANDTA]



Autoportrety Rembrandta: za młodu w pracowni (1629) i przedśmiertny (1668)

Holenderskie małżeństwo Jan i Anna Romeinowie (autorzy „Twórców kultury holenderskiej”): „*Rembrandt van Rijn był największym z ludzi XVII w., geniuszem o dwa stulecia wyprzedzającym swoją epokę*” (1940)

Belgijski historyk sztuki Roger Avermaete: „*Rembrandt to jeden ze szczytów ludzkości*” (1952)



Waldemar Łysiak

Dla Włochów rok bieżący jest „rokiem Leonarda” (bo geniusz Renesansu zmarł 500 lat temu, 2 maja 1519), z czym cały świat się zgodził, czcząc tę rocznicę szumnie i wielorako, a dla Holendrów to przede wszystkim „rok Rembrandta” (bo 63-letni geniusz Baroku zmarł 350 lat temu, 4 października 1669), co cały świat też „klepnął”, piejąc hymny pochwalne dla „Szekspira malarstwa” należącego do ekstraklasy mistrzów pędzla. Przez cały rok we wszystkich dużych miastach holenderskich (Amsterdam, Rotterdam, Haga, Lejda, Delfty, Dordrecht, Haarlem, Leeuwarden) trwają imponujące rocznicowe wystawy dzieł Rembrandta (ekspozycje „olejów” i grafik), mające nie tylko czcić/uhonorowywać, lecz i ściągać rzesze turystów z całej kuli ziemskiej. A to pewnie cieszy twórcę przebywającego gdzieś na Olimpie czy Parnasie bogów sztuki, zacierając traumatyczne wspomnienia sprzed 350 lat, gdyż zmarł w nędzy (Laura Cumming: „... ponieważ szorstka magia jego pędzla wyszła z mody”) i został ciśnięty do zbiorowego grobu dla biedaków (niczym później muzyczny geniusz, Mozart). „*Sic transit gloria mundi*”. Bywa jednak, że przemijająca chwała wraca przy grzmocie triumfalnych surm.

Z NIEBA DO PIEKŁA

Rembrandt jest dzisiaj „everybody's darling” — ulubieńcem wszystkich. Nawet ci, którzy się kompletnie na malarstwie nie znają lub malarstwem nie interesują — czapkują Rembrandtowi, hołdują go, komplementują, bo tak wypada. Tymczasem jeszcze niedawno, sto kilkadziesiąt lat temu (1851), wielki francuski Romantyk, Eugeniusz Delacroix, chwalał Rembrandta i równając go z Raffaelem, przestraszył się własnej odwagi, nazwał ją więc bluźnierczą herezją, gdyż Rafael był wtedy bogiem, a Rembrandt należał do upadłych aniołów.

Spadł z dużej wysokości. Miał 25 lat kiedy Constantijn Huygens postawił go bez cienia wahań na samym wierzchołku malarstwa holenderskiego, pisząc: „*Oto*

jeden Holender przenosi całą wielką sławę Grecji tudzież Włoch do Holandii! Cześć ci, Rembrantiusie!” (1631). Już trzy lata wcześniej liczba zamówień kazała 22-letniemu Rembrandtowi przyjąć pierwszego „ucznia” (pomagiera), a później, w erze prosperity, amsterdamska pracownia mistrza zatrudniała około 20 współpracowników, była więc swoistą fabryką, co prawda mniejszą niż fabryka malowideł Flamanda Rubensa, ale jednak wypuszczającą produkty wedle tej samej zasady: szef na początku szkicuje kompozycję i na końcu szlifuje ujęcie, lecz większą część roboty odwała załoga, grupa kooperujących „uczniów”. Owa hossa (czyli liczne zamówienia wymuszające produkcję taśmową), plus szczęśliwe spekulacje giełdowe, plus posag żony (Saskii van Uylenburgh) — zrobiły Rembrandta bogaczem. Kupił luksusową, piekielnie drogą kamienicę, wydawał krocie na aukcjach dzieł sztuki i rzemiosła artystycznego, płacił się w fortunie i zamożności, żył ponad stan, czego finałem musiało być bankructwo (1656). Do tego, kiedy już „wyszedł z mody”, uderzyły go klęski rodzinne (przeżył śmierć Saskii, dwóch swoich córek i dwóch synów, wreszcie nawet zgon konkubiny Hendrickje Stoffels, zaś inna konkubina, Geertje Dirckx, dręczyła go żenującymi procesami o alimenty). Cały majątek Rembrandta uległ zlicytowaniu (1657–1660). Los dał mu przykrą starość, chorowitą i samotną, bez bliskich i bez wzięcia rynkowego, a także paskudną śmierć, wśród nędzarzy z przedmieścia. Zostało po nim łóżko, dwie kołdry, kilka wyszmelcowanych ubrań i przybory malarskie. Tylko nie zaczniście płakać! Rembrandt był sukinsynem, nie stronił od wrednych czynów; jego biograf, Gary Schwartz, konkluduje: „*Podsumowując należy stwierdzić, że ten twórczy geniusz miał jako człowiek złą skłonność i charakter niegodny zaufania*” (1984).

Los zrekompensował mu upadek i lichy finał żywota adoracją ze strony potomnych. Współczesny Rembrandtowi poeta Jeremias Decher machnął pieśń ku jego czci, głosząc, że „*imię mistrza biegnie daleko — wszędzie tam, gdzie pływały okręty Holandii Wolnej*”, lecz przy końcu XVII wieku ta gloria była już tylko słabutkim echem, a wiek XVIII prawie zupełnie go zapomniał (prawie, bo handlowano niektórymi arcydziełami Rembrandta i miał wielbicieli takich jak świetny francuski malarz Hyacinthe Rigaud). „Odkryje” zapoznanego geniusza francuski Romanizm pierwszej połowy XIX wieku — ma-

larze (Delacroix), pisarze (Gautier) i poeci (Baudelaire: „... ta kanalia Rembrandt, mocarny indywidualista”, 1846). W drugiej połowie tegoż stulecia sawanci zaczęli scjentycznie uzasadniać Rembrandtowską perfekcyjność (rozprawy E. Kolloffa 1854, C. Vosmaera 1868, i in.). Stąd w pierwszej połowie stulecia XX literatura naukowa tudzież popularyzatorska o holenderskim mistrzu będzie już tworzyć rozległą bibliotekę. Lecz prawdziwy boom Rembrandtowski na arenie publicznej przyniesie druga połowa tego wieku, dzięki głośnym monograficznym wystawom (1956 — Amsterdam, Rotterdam, Lejda), jak również dzięki hagiograficznym peanom serwowanym publiczności przez media całego globu. Swoje zrobił też fakt, iż wielbiło Rembrandta mnóstwo XX-wiecznych Modernistów (hołdowali go van Gogh, Picasso, Chagall, e tutti quanti). Wszyscy oni byli identycznego zdania co Jackie Wullschlagern: „*Rembrandt wyznaczył wzorzec tego, czym może być malarstwo, w jaki sposób proste czynności nakładania poszczególnych warstw farby, zdrapywania i pokrywania werniksem, potrafią stworzyć obraz, który oddaje duchowe rozterki człowieka wobec tragedii albo śmierci*” (2005).

RZEŻ MNIEMANYCH „REMBRANDTÓW”

Ile obrazów namalował Rembrandt Harmenszoon van Rijn? Dużo mniej niż sądzono sto lat temu — plus minus jedną czwartą ówczesnych notowań. W początkach wieku XX „*oeuvre*” Rembrandta szacowano — nie licząc rysunków i sztychów — na prawie 1000 „*desek*” i „*plócien*” (ściśle: 988). Około połowy tamtego stulecia liczba ta zmalała do nie więcej niż 600 (bo pod wpływem krytyki przesiały swoje „*rembrandty*” wielkie muzea, m.in. Luwr). Gdy w roku 1969 włoska oficyna Rizzoli wydała katalog dzieł Holendra — za „*niewątpliwie «rembrandty»*” katalog ten uznawał 451 prac. Co i tak było szacunkiem nazbyt optymistycznym, bo już od dwóch lat (od 1967 roku) działała złożona z branżowych „detektywów” (dociekliwych historyków sztuki) instytucja o wielce szlachetnej nazwie Rembrandt Research Project (RRP), dokonująca istnej rzezi wśród mniemanych dzieł mistrza, vulgo: odsiewająca te, które wbrew werdyktom renomowanych ekspertów nie były jego produktami, tylko robótkami jego „*uczniów*”, współpracowników, epigonów i naśladowców manie-

ry geniusza, twórców znanych/uznanych, takich jak Lievens, Hoogstraten, Maes, Drost, Dou, Fabritius czy Flinck. To ich dzieła swego czasu przypisywano fałszywie Rembrandtowi, czego symbolicznym przykładem jest sławny „**Lisowczyk**” vel „**Polski jeździec**”, długo uchodzący za jedno z największych arcydzieł Rembrandta (dzisiaj wiemy, że to praca Willema Drosta), bądź nie mniej chwalony „**Mężczyzna w złotym hełmie**” (przez całe dekady oba te dzieła nieomal rutynowo wstawiano na okładki lub obwoluty monografii i biografii Rembrandta!). RRP nie miała litości, kompromitując najszaconiejsze placówki sztuki oraz ekspozycje — w 1991 zakwestionowała połowę „rembrandtów” z wielkiej wystawy objazdowej (Amsterdam, Londyn, Berlin); w 1993 spośród 13 „rembrandtów” londyńskiej Wallace Collection wykosiła 12; w 1994 z 42 rzekomych „autentyków” nowojorskiego Metropolitan Museum of Art ułaskawiła tylko 18; etc., etc. Podawane tego roku rocznicowo przez nasze media szacunki („**Rzeczpospolita**” — 350, „**Forum**” — 300, itd., itp.) są bzdurne, czerpane ze źródeł archaicznych, gdyż dzisiaj za autentyki Rembrandta bierze się niespełna 250 obrazów.

Wśród nich najsławniejsze są autoportrety Rembrandta i cztery duże płótna: „**Wymarsz strzelców**”, „**Lekcja anatomii doktora Tulpa**”, „**Żydowska narzeczoną**” oraz „**Powrót syna marnotrawnego**” (specjaliści cmokają też przy „**Sprzysiężeniu Claudiusa Civilisa**” i paru innych). Mniej się podobają publice akty malowane ręką Holendra („**Zuzanna i starcy**”, „**Betszeba**”, „**Danae**”), gdyż też jego gołe, prze pocone, nieświeże brzydule są wyzbyte jakiegokolwiek poezji, bez poezji zaś akt



„Lisowczyk” (~1655)

staje się wulgarny. Winien tu był barokowy naturalizm, czyli werystyczne odtwarzanie pędzlem anatomii modelek zamiast wcześniejszego (renesansowego) idealizowania, czyli naginania realiów do antycznych kodeksów piękności — Rembrandt był wrogiem klasycyzmu akademickiego. Tworzył w duchu jednego z bohaterów Szekspira: „— *Nature! thou are my goddess!*” („— *Naturo, jesteś moim bóstwem!*”). Co przysporzyło mu sporych kłopotów gdy A.D. 1642 trzasnął swój malarski hit (tak jest traktowane dzisiaj to gigantyczne „płótno”: niegdyś 440 × 560 cm, obecnie 363 × 437 cm) — „**Wymarsz strzelców**” (Rijksmuseum, Amsterdam):

„WYMARSZ STRZELCÓW”

Niderlandczycy tamtej epoki uwielbiali „portrety zbiorowe”. Zamawiały je wszelkie bractwa, stowarzyszenia, cechy rzemieślnicze, gildie handlowe i gwardie miejskie, kompanie łuczników, strażników, etc. Mistrzem tych przedstawień był Frans Hals; Rembrandta też ceniono. „**Wymarszem strzelców**” (niegdyś długo

zwanym błędnie „**Nocną strażą**”, bo oryginalne werniksy ściemniały) zaprezentował kompanię kapitana Banninga Cocqa, nie wiedząc, że tworzy swój późniejszy szyld, równy szyldom Leonarda („**Mona Lisa**”) czy van Gogha („**Śłoneczniki**”). Nie wiedział również, że klienci (członkowie kompanii) od razu dadzą mu baty za to dzieło, większość bowiem uważała, że ich twarze nie wyeksponowano godziewie, lub zostały częściowo przesłonięte, lub sprofilowane, lub zaciemnione, lub znaturalizowane (zbyt uszczegółowione brodawkami, zmarszczkami, wrzodami, przebarwieniami, etc.), a w ogóle dynamizm mobilnie ujętej sceny zwracał uwagę widzów bardziej niż fizjonomie, które miały być, psiakrew, solidnymi (upiększonymi) konterfektami, nie zaś gmatwaniną trudno rozpoznawalnych głów! Oczekiwali „fotografii” ceremonialnej, by mogli się sobą delektować, i żeby ich kobiety mogły podziwiać szpanerski strój i paraoficerski status swoich samców, a ten beczelny malarzyna, co wziął suty grosz, ukazał chaos wymarszu i ciemnowy zgiełk! Prócz kapitana Cocqa i porucznika Ruytenburcha, najlepiej widoczne jest jakieś małe dziewczynisko z kurą u pasa (w istocie: figura alegoryczna), czy to kpiny?!...

Rozmiar furii nabywców przełożył się na rozmiar powszechnego krytykowania Rembrandta, właśnie wtedy jego interesy zaczęły iść kiepsko. Swoistą fizyczną klamrą tej niechęci wobec obrazu stały się trzy ataki na malowidło (dwa razy nożem, raz kwasem) w wieku XX, kiedy już piano hymny ku czci arcydzieła (Richard Hamann: „*Jest to niezrównany czyn artystyczny, zachwycający pod każdym względem — kompozycji, barwy, światłocienia, ruchu, wszystkiego*”, 1932). Dziś podkreśla



„Betszeba” (1654)



„Sprzysiężenie Claudiusa Civilisa” (1662)



„Wymarsz strzelców” (1642)

się też odwagę Rembrandta, który gwoździ wielkiego malarstwa odrzucił, wbrew chęciom strzelców, tradycyjną idealizującą pompę i statyczną namaszczeniowość martwych zbiorowych portretów, dając pulsującą scenę teatralną, lub nawet więcej: kinową, całkowicie dramaturgicznie usprawiedliwioną (spowodowany alarmem lub sygnałem bojowym wymarsz zawsze tworzy harmider).

„ŻYDOWSKA NARZECZONA”

Że jest świetnym dramaturgiem udowodnił też innymi „płótnami”. Vide: „Rodzina”, „Żydowska narzeczona” czy „Syn marnotrawny”. Najmodniejsza jest dziś (najkrzykliwiej lansowana, z oczywistych lobbystycznych przyczyn) „Żydowska narzeczona” (1665/1668, Rijksmuseum), ale trzeba powiedzieć, że artystycznie zasługuje na wszelkie „ochy” i „achy” — to piktoralne „nec plus

ultra” europejskiej „sztuki pędzla”, nie bez przyczyny van Gogh twierdził, że oddałby dziesięć lat życia za możliwość spędzenia dwóch tygodni sam na sam z tym obrazem, którym wedle fachowców Rembrandt „osiągnął szczyt kunsztu malarstwa”. Pokazał tu zakochaną żydowską parę, którą identyfikowano przez kolejne stulecia kluczami biblijnymi (Izaak i Rebeka), historycznymi (Cyrus i Aspazja), nawet mitologicznymi — łącznie wysunięto ponad dwadzieścia hipotez — lecz przeważa teza Charlesa de Tolnaya z 1934 roku, że dzieło jest emblematem „concordia maritalis” (związku małżeńskiego) wykonanym wedle XVII-wiecznej „ikonologii” Cesare Ripy, gdzie mąż i żona składają dłonie na sercu kobiety, co stanowi symbol małżeńskiego ślubowania. Przy konserwacji obrazu (1993) rentgen i podczerwień ujawniły, że pierwotne ujęcie sceny miało bardziej erotyczny charakter (niewiasta siedziała mężczyźnie na kolanach), mocniej symbolizując głód

seksu, Rembrandt wszakże postanowił zagrać metaforą subtelniejszą i przemałował scenę, dając erotyczną wymowę intymnie czulej „mimice dłoni” (pisze się, że palce lewej dłoni kobiety są rozsunięte niby gołe kończyny dolne).

Tym, co w „Żydowskiej narzeczonej” zachwyca fachowców z piktoralnego punktu widzenia, jest chromatyczny koncert późnego Rembrandta: szkarłatno-bursztynowa symfonia kolorów, gdzie harmonia czerwieni, żółci, złota i ciepłych brązów to prawdziwe czarodziejstwo. Wibrujące modulacje chromu czerwonego kulminuje suknia kobiety, a złotego rękaw mężczyzny trząsnięty grubymi impastami (szpachlę lub nożem, których artysta używał równie często co pędzla). Razem jest to legendarny Rembrandtowski „gloed” (po holendersku: żar), gdyż współgrające szkarłat i złoto dają chromatykę rozżarzonego kruszcu lub płonących bursztynów. Całą tę niepowtarzalną fosforescencję chromatyczną, przywodzącą

„Żydowska narieczona”
(1665/1668)



kluczowym staje się w z r u s z e n i e — wzruszenie aktorów dramatu i wzruszenie admiratorów obrazu. Rembrandt namalował wieczność. Stworzył wizję tak silną, że odtąd „powrót syna marnotrawnego” kojarzy się ludziom wizualnie z tym właśnie arcydziełem.

Arcydziełem nie tylko paraSzekspirowskim, również pikturalnym, technicznym, gdyż ta zjawiskowa scena, wyczarowana późną nonszalancką techniką Rembrandta (brawurowe impasty walone nożem, smugi rozcierane paluchami, cała „trójwymiarowość/reliefowość” „mięsistej faktury” obrazu) tudzież ciepłą gamą żółci, ochry, ugru i szkarłatu (Hippolyte Adolphe Taine: „Rembrandt rozumiał, że dla oka nie ma nic ważniejszego od barwnej plamy”, 1868) — to warsztatowe „opus magnum” malarstwa barokowego. Na drugim tego malarstwa biegunie stał Rubens ze swą erotyczną apologią wy-

■ na myśl promieniowanie gorejących egzotycznych bóstw, magicznych ołtarzy i posągów, światło czarodziejskich grot, aurę żółtawych upiorów i luminescencyjną metafizykę dalekowschodnich lamów (jak ów Budda, którego statuetkę Rembrandt zachował nawet wtedy, gdy musiał wyprzedać wszystko) — widzimy również w innych „gloedowych” arcydziełach Holendra, exemplum „Ahaswer, Haman i Estera” (z 1660 roku) czy jeszcze późniejszy (1668/1669), przedśmiertny (stąd zwany „testamentem Rembrandta”) „Powrót syna marnotrawnego”.

„SYN MARNOTRAWNY”

Biblijna przypowieść o marnotrawnym synu była popularnym tematem wśród malarzy europejskich stulecia XVI i XVII, jednak maestria Rembrandta wyeksponowała ujęcia kolegów na śmietnik. Oni dynamizowali akcję (ojciec biegnie ku synowi, by go przytulić), tymczasem on wstrzymał ją, malując całkowity bezruch. Od zewnątrz przeniósł scenę do wewnątrz — do dwóch serc całujących się i bijących jednym rytmem. Mrok. Światło wyrwa z ciemności figurę lekko pochyłego starca i figurę klęczącego syna, który tuli ogoloną jak u katorżników czaszkę do łona ojcowskiego. Łachmany żebraka i jego gołe pomarszczone stopy przyciągają wzrok równie silnie co purpurowy ojcowski strój. Obaj tworzą jedność, szmaty ożeniły się ze złotogłowiem, złali się — można rzec, iż postać syna została wpisana pędzlem w figurę ojca. To zmierzch bólu i świt szczęścia rodzinnego, a słowem

„Powrót syna marnotrawnego”
(1668/1669)



bującej cielesności, stąd Holendra zwano „malarzem duszy”, zaś Flamanda „malarzem ciała”. Techniki obu były fenomenalne, lecz różne. Maniery także.

SEKRETY PALETY I ŚWIATŁA

Maniera (stylistyka) Rembrandta ulegała ewolucji. Można ją podzielić na kilka kolejnych etapów, lecz by nie znużać Czytelników „dzieleniem włosów na czworo” (w końcu ten esej to nie akademicki wykład) — przyjmijmy generalny podział na wczesną i późną. Jeśli idzie o paletę, to koloryt wczesnego Rembrandta jest zimniejszy niż dojrzałego, bardziej bogaty, pełen soczystych, potem u niego rzadko spotykanych barw (niebieski, zieleń, fiolet, itp.), z czasem jednak ta kolorystyka monochromatyczniej, gubiąc dawną wielobarwność, królują wspomniane wyżej „gloedowe”, cudownie zorkiestrowane czerwień i złoto. Jeśli idzie o technikę — wczesną staranność operowania pędzlem i „wylizaną gładkość faktur” (exemplum pierwszy jego „portret zbiorowy”, **Lekcja anatomii doktora Tulpa**, 1632) zastępuje późna spontaniczność, brak hamulców, brak pracownianych rygorów, faktury obrazów stają się „grube” (impastowe) i „chropawe”, co sam dowcipnie tłumaczył: „— Jestem malarzem, a nie farbiarzem!”. Współczesny mu Arnold Houbraken: „Mówią, iż kiedyś stworzył portret tak grubo farbą packany, że można było ten obraz podnieść z ziemi za nos” (1718). I wreszcie ewolucja Rembrandtowskiego światłocienia:

Debiutując stosował modny wówczas w Europie ultrakontrastowy światłocien włoskiego geniusza „tenebryzmu”, Caravaggia, a chociaż potem okresowo ów „caravaggionizm” wracał doń niby czkawka — stopniowo zaczął Rembrandt odcho-



„Ahasfer, Haman i Estera”
(1659/1660)

dzić od „twardego rysowania światłem”, jego światła poczęły łagodzić kontury, stapać bryły i przestrzeń, migotać, miętko pulsować, co było ukłonem wobec lokalnej specyfiki światła słonecznego (w Holandii nie znano równie ostrego słońca jak w Italii, a małe szybki okienne filtrowały i rozpraszały światło, nie tworząc głębokich kontrastów). Generalizując można mówić, iż wczesny Rembrandt stosował „światło zewnętrzne”, wzorem wszelkich „caravaggionistów”, natomiast dojrzały i zwłaszcza późny Rembrandt przeciwnie: „światło wewnętrzne”, czyniąc swe figury „żarówkami”. Światło ostatnich arcydzieł Holendra jest światłem nieobiektywnym/nierzeczywistym, wymyślonym przezeń światłem bardziej irrealnym niż u jakiegokolwiek szurniętego luministy wcześniejszych bądź późniejszych czasów. Ten rodzaj światła Wolfgang Schöne nazywa (1954) „Leuchtlicht” — światłem

świecącym (w przeciwieństwie do oświetlającego). Co znaczy, że figury i przedmioty późnego Rembrandta nie tyle absorbują światło, ile same promieniują nim jakby były lampami. Konsekwencją tej irrealności światła musiała być irrealność cieni, co razem dawało magiczność, cudowność, nadprzyrodzoność przedstawień. Takie właśnie „chiaroscuro” (światłocien), osiągnięte „gloedową” chromatyką, stanowiło główne medium Rembrandta zwalającego z nóg ówczesnych i dzisiejszych chwalców jego sztuki.

Ono też uczyniło zeń mistrza zgłębiania psychiki ludzkiej i przyniosło mu miano „malarza duszy” dzięki finezji tworzonych przezeń portretów. Portret był dla Rembrandta nie tylko profesją, również pasją, inaczej nie namalowałaby kilkudziesięciu autoportretów (rzekomo ponad 90!), choć i to prawda, że część z nich robił do sprzedaży jako „charaktery” (dzieła



„Pejzaż z kamiennym mostem”
(1637/1638)



„Lekcja anatomii doktora Tulpa”
(1631/1632)

o tematyce religijnej, mitologicznej lub historycznej zwano wówczas „historiami”, zaś portrety wyobrażane jako typy ludzkie — alegoryczne, historyczne, literackie, biblijne etc. — „charakterami”; Rembrandt wyobraził siebie m.in. jako apostoła Pawła. Eugène Fromentin: „Rembrandt, człowiek, który na pozór maluje swój czas, swój kraj, swoich przyjaciół i siebie samego, ale w gruncie rzeczy — maluje tylko pewien sekretny zakątek duszy człowieka” (1876). Jedynie o Goyi można analogicznie mówić. Zaż prawie każdy model Rembrandta mógłby powiedzieć o swym konterfekcie te słowa, jakie papież Innocenty X burknął o zrobionym mu przez Velázquezę wizerunku: „— *Tropo vero!*” („— Zbyt prawdziwy!”). Zbyt prawdziwy, gdyż wywlekający duszę na zewnątrz — na płótno lub deskę. Houbraken: „Zdarzało się mu, że szkicował jakąś twarz dziesięcioma ujęciami, nim ją przeniósł na deskę”. To było drażnienie psychiki, analizowanie jaźni modelu. Kiedy współczesny Leonardowi poeta, Bernardo Bellincioni, pisze: „Niby wyborny malarz ci ukazuje, co się we wnętrzu człowieka skrywa” — myśli o detektywistycznym pędzlu Rembrandtów. Rembrandt ma gdzieś idealizację — kocha demaskatorstwo. Od harmonii ducha helleńskiego woli tajemną dziedzicę nieświadomych stanów duszy. Szuka ludzkich tajemnic, portretuje ludzkie tajemnice i zostawia tajemniczość. Tadeusz Makowski, który uważał Rembrandta za malarza najdoskonalszego, bo warsztatowo najkompletniejszego, pisał w „Pamiętnikach”: „Wszystko zaś owiane czarem jakiejś tajemniczości minionego życia, w którym każdy człowiek znajduje coś z siebie — jak u Szekspira”. Słowa te dotyczą zarówno scen biblijnych, mitologicznych, historycznych Rembrandta, co portretów. Stąd — o ile Rubensa zwano „Homerem malarstwa” (gdyż daje ludziom wymiary boskie, a bogom wymiar człowieczy) — Rembrandt zyskał miano „Szekspira malarstwa”, gdyż niczym Stratfordczyk draży naturę człowieczą, rozgrzebuje duszę ludzką, przenika jej zakamarki pędzlem, a swymi „historiami” dostarcza widzom emocji i walorów estetycznych oraz intelektualnych równych Szekspirowskim dramatom.

METAFIZYKA GENIUSZU

Według szeregowego wielbiciela sztuk pięknych Rembrandt uprawiał „malarstwo realistyczne”. Konterfekty spod jego pędzla zdają się potwierdzać taki sąd. Ów realizm portretowy Rembrandta doczekał się anegdoty o jego gadatliwej służącej,



która lubiła prowadzić z sąsiadami długie pogawarki przez okno. Rembrandt zrobił jej konterfekt i ustawił go na parapecie kiedy była nieobecna w mieszkaniu. Sąsiedzi rozgadali się do niej, lecz po pewnym czasie zdumiało ich, że trajkotka daje im tyle gadać, a sama nie otwiera ust. Przyjrzerli się uważniej i spostrzegli, że gadali do portretu.

Sam jednak realizm nie zezwoliłby Rembrandtowi zostać nadczasowym królem portretu psychologicznego, portretowanie bowiem uprawiały tysiące malarzy, w tym dziesiątki wybitnych, zatem szukając wyjaśnienia dla korony Holendra trzeba przyjmować inne kryteria, dużo chyba bardziej metafizyczne aniżeli techniczne. U Szekspira jest przecież tak samo — boski dar, wynoszący nad konkurentów, zezwalający osiągać rezultaty przyciągające, i to z mocną siłą, najbardziej wymagających odbiorców. Weźmy krytykowane już wyżej przeze

mnie akty, które tworzył Rembrandt. Chłostało je wielu, exemplum głośny XVIII-wieczny francuski marszałek Joseph Gersaint („Koneser nie może aprobować brzydkich golasek Rembrandta”, 1751), czy głośny angielski malarz Joshua Reynolds („Dziwne, że człowiek zadaje sobie tyle trudu, by namalować figurę tak brzydką i tak wyzbytą wdzięku jak praczki mitologizowane tytułaturami przez Rembrandta”, 1771), a jednak głośny francuski pisarz Anatole France oglądając reprodukcję albumową Rembrandtowskiej „Danae” tak się zakochał, że odbył kolejną długą podróż do Ermitażu, siedział kilka godzin przed „Danae” (nie zaszczycił wzrokiem niczego innego) i wrócił na dworzec, by złapać pociąg paryski. Jego równie głośny rodak Joris-Karl Huysmans, oświecony tym samym uwielbieniem dla „brzuchaty kumoszek Rembrandta, których grube kości uwydatniają się pod wiotką i porowatą skórą”, konkludował pełen zachwytu: „Jedynie Rembrandt umiał malować kobietę nagość” (1881). Oto dowód, że metafizyczna magia sztuki wykracza poza tuzinkową estetykę.

Na koniec refleksja geriatryczna: dlaczego tylu tytanów pędzla (Tycjan, Velázquez, Rembrandt, Goya i in.) swoje najodważniejsze, technicznie ultraawangardowe dzieła (stąd dziś uważane przez wielu za najlepsze) stworzyło sącząc sędziwą starość, tuż przed zgonem? Nowoczesność tych starczych produktów często budziła u współczesnych im komentatorów sarkanie i tłumaczenie „upadku mistrza” sklerozą lub dziadowską aberracją. My tłumaczymy to seniorską kulminacją geniuszu. ©©





FOT. JAKUB WULASEK/REPORTER

Dzicy z natury

Ponad 400 tys. wyświetleń w trzy tygodnie. Singiel „LASS”, zapowiadający nową płytę Łąki Łan (premiera na jesieni), nie zawodzi fanów zespołu, który wypracował sobie opinię jednej z najbardziej energetycznych grup koncertowych nad Wisłą. Tych, którzy o Łąki Łan nie słyszeli, w specyficzny klimat niech wprowadzi cytaty opisujące najnowszy singiel:

„LASS – baśniowy przyjaciel, strażnik korzeni, duchowy inspirator, pokorny inhalator. Troszczy się o nas od prawników. Czas zatroszczyć się o niego. Łąki Łan składa hołd i zaprasza do odnowienia radości, głębokiej, czystej relacji z Żywym Leśnym Królestwem, z którym wszyscy jesteśmy nierozdzielnie połączeni. Czas do Lasu iść znów!”

Odniesień do lasu, natury, środowiska w tekstach wyrzucanych z ust frontmana zespołu „Paprodziada” z szybkością karabinu maszynowego jest bardzo dużo. „Wszyscy jesteśmy jednym organizmem” – podkreśla w wywiadach. Pewna doza absurdu w tekstach, całkiem spora na koncertach – muzycy potrafią wyjść na

scenę np. z przyczepionymi skrzydłami motyla czy z czułkami na głowie – dopełniają obrazu specyficznej, freakowej grupy. I o ile ich wariactwa na początku mogą niektórych do Łąki Łan zniechęcać, o tyle warto nie poddać się uprzedzeniom i przesłuchać ich nagrania, zwłaszcza te najnowsze.

Łąki Łan to grupa, która może pochwalić się występem przed 400-tysięcznym tłumem. Fakt, że było to na Przystanku Woodstock, kiedy zespół zagrał tuż po The Prodigy i oczywiście to brytyjska grupa ściągnęła pod scenę taki tłum, ale prawdą jest też to, że „Paprodziad” i reszta musieli wtedy sprostać nie lada wyzwaniu. Ostatnio Łąki Łan rozstał się z wytwórnią Warner, z którą współpracował od dekady. Nowy materiał wydaje przy wsparciu hiphopowej stajni Asfalt Records. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Wspaniały koniec

Ostatni nagrany, choć opublikowany jako przedostatni, album Beatlesów jest diamentem w ich koronie. Jubileuszowe wydanie w najbogatszej wersji zawiera nowy stereofoniczny miks, wersję w formacie dźwiękowym surround, 23 nagrania z sesji oraz stustronicową książkę.

Chociaż na płycie są wielkie przeboje („Come Together”, „Something”, „Here Comes the Sun”), to album robi przede wszystkim wielkie wrażenie jako całość. To najbardziej dopracowana płyta w katalogu zespołu. Producentem był George Martin, który zrealizował po raz pierwszy album Beatlesów wyłącznie w stereo. Szczególne wrażenie robi dziś 16-minutowa suita złożona z ośmiu krótkich piosenek. To spektakularny finał

kariery wielkiej czwórki. Przepełniony melodiami, humorem, harmoniami, dźwiękowymi innowacjami i zapowiedziami kierunków muzycznych, które będą dominowały w latach 70. (hard rock, FM rock, rock progresywny). Na okładce album kończy się utworem o adekwatnym tytule „The End”. Na płycie jest jeszcze 23-sekundowa miniatura McCartnaya „Her Majesty”, która znalazła się w wyniku pewnej „pomyłki”.

No i jest jeszcze okładka. Zdjęcie przechodzących przez Abbey Road muzyków jest jednym z ikonicznych symboli popkultury. Dodam, że jest to najdłuższa pojedyncza płyta Beatlesów (47 min) oraz najpopularniejsza z głównego katalogu grupy (31 mln sprzedanych egzemplarzy). ©©



★★★★★
THE BEATLES
„**ABBEY ROAD**
(50TH ANNIVERSARY EDITION)”
UNIVERSAL



★★★★★
ADAM PALMA
„**ADAM PALMA**
MEETS CHOPIN”
MTJ

Pierwsza płyta z muzyką Chopina na gitarę akustyczną. Wirtuozeria Palmy wraz z jego wrażliwością i oryginalnym podejściem do rytmiki sprawiają, że zapominamy o mistrzu i zostajemy obezwładnieni przez gitarę. W „Walcu h-moll” gościnnie zagrał Leszek Możdżer.



★★★★★
ANDRZEJ KORZYŃSKI
„**MOWA PTAKÓW**”
GAD

„Dziewczyna zła”, główny temat soundtracku (siedem wersji), Andrzej Korzyński i Andrzej Żuławski napisali w połowie lat 60. Pozostałe utwory rozciągają się od impresji fortepianowych przez gotycką elektronikę do electro metal. Liryzm i ekstaza w jednym. ©©



Z Wojciechem Tomczykiem,
dramaturgiem i scenarzystą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Złe rozdanie kart historii

ZBIGNIEW ZAPERT: Przesłanie „Imperium” zdaje się mówić, że brakowało ok. 15 lat, by II Rzeczpospolita stała się podmiotem polityki światowej...

WOJCIECH TOMCZYK: Plan modernizacji kraju, opracowany pod kierunkiem wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, zakładał nadrobienie zaległości cywilizacyjnych Polski w ciągu dwóch dekad. Tutaj trzeba wyjaśnić, że zacofanie kraju w głównej mierze wynikało ze 123-letniej niewoli. Nasi zaborcy traktowali Polskę niczym swe kolonie. Kolej transsyberyjską czy Prater w znacznym stopniu „ufundowali” Polacy.

Mówiąc nawiasem, irytuje mnie kult, którym niemało rodaków otacza cesarza Franciszka Józefa. Owszem, traktował nas łagodniej od rosyjskich carów czy kanclerza Bismarcka, ale dobrotliwym władcą był jedynie dla Austriaków! Tymczasem niekiedy w Małopolsce – bo termin „Galicja” został nam narzucony, ale silnie zakorzenił się w naszej mentalności – wciąż wiszą jego konterfekty.

Wdrażanie programu Kwiatkowskiego rozpoczęto jednak dopiero po śmierci Józefa Piłsudskiego.

Kwiatkowski jako znakomity ekonomista, wizjoner, organizator i państwowiec dał się poznać już w latach 20., doprowadzając do powstania miasta z morza, czyli Gdyni. Naszego okna na świat, jak głosił ówczesny slogan, skądinąd słusznie. Warto przypomnieć, że budowa Gdyni napotkała niemały opór. Argumentowano, że projekt jest nieopłacalny, ponieważ Bałtyk jest w tym miejscu zbyt płytki i nie da się tam stworzyć toru wodnego dla dużych statków. Sugerowano, aby zamiast wyrzucać pieniądze w morze, korzystać z pośrodictwa portu Wolnego Miasta Gdańska.

Podobne opinie słyszymy dziś w kwestii przekopu Mierzei Wiślanej czy Centralnego Portu Komunikacyjnego.

U progu lat 30. Kwiatkowski w nie do końca klarownych okolicznościach przestał pełnić funkcje rządowe. Polska bardzo mocno odczuła wtedy skutki wielkiego kryzysu. Możemy spekulować, czy minister tudzież wicepremier Kwiatkowski byłby w stanie zapobiec efektowi krachu na Wall Street. Niewątpliwie w drodze do modernizacji straciliśmy pięć lat.

A gdy projekt ruszył z kopyta, zatrzymał go nieoczekiwany obrót koła historii.

Tak czarnego scenariusza nie przewidywano. Co prawda, zdawano sobie sprawę z fatalistycznego położenia geograficznego, lecz współpraca nazizmu z bolszewizmem wydawała się niemożliwa. Obydwa reżimy były przecież silnie zantagonizowane. Dopiero z perspektywy dostrzegamy podobieństwa tych ideologii. Smutne pocieszenie stanowi to, że dzieje potoczyłyby się zapewne inaczej, gdyby po dojściu do władzy Adolfa Hitlera Wielka Brytania i Francja przystały na projekt wojny prewencyjnej z Niemcami, zaproponowany przez Piłsudskiego. Kolejny raz dał wyraz swojej dalekowzroczności.

Akcja „Imperium” toczy się już po zgonie Marszałka, a jego drugim bohaterem jest Melchior Wańkowicz.

Krytyka wprowadzie go nie doceniała, gdyż uprawiana przezeń proza non-fiction zyskała należną sobie rangę dopiero kilka dekad później. W międzywojniu funkcjonował na literackim marginesie, chociaż był nie tylko wziętym autorem, lecz także przedsiębiorczym edytorem –



Premiera spektaklu „Imperium” już 30 września w TVP1. Na zdjęciu: Mariusz Ostrowski (jako Eugeniusz Kwiatkowski) oraz Ireneusz Czop (jako Melchior Wańkowicz) FOT. MIROSLAWA ŁUKASZEK/TVP

Dla mnie prototypu literackiego produkcyjniaka.

Z pewnością nie jest to czołowa pozycja w dorobku autora „Hubalczyków”, znamionująca go stylistyka kresowej gawędy nie bardzo się sprawdziła w prozie państwowotwórczej, niemniej wiernie oddaje budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego. Usytuowanego na południu kraju, maksymalnie oddalonego od naszych granic zachodnich i wschodnich.

Produkcja powstających tam zakładów przemysłowych miała na celu rozwój industrializacji kraju, ale przede wszystkim uzbrojenie i unowocześnienie naszej armii. Zdawano już sobie wówczas sprawę z tego, że kawaleria, tak skuteczna jeszcze podczas wojny z bolszewikami, musi w końcu ustąpić pola jednostkom zmechanizowanym. Zabrakło jednak czasu, aby ów zamiar urzeczywistnić. Budowa COP zapewniła pracę setkom tysięcy ludzi. Przy fabrykach powstały wzorcowe osiedla robotnicze z wygodami, jak określano wtedy kanalizację, elektryfikację i gazociąg. Wyrazem potęgi tej największej inwestycji II RP, mającej pomóc wyciągnąć Polskę z zapaści cywilizacyjnej, spuścizny okresu zaborów, jest nazwa miasta powstałego na ugorze – Stalowa Wola. W domyśle ludu polskiego.

Epizodyczni bohaterowie pańskiej sztuki, bracia Kosieradzcy, istnieli naprawdę?

To postacie autentyczne, Władysław i Paweł, inżynierowie. Ich praca nad koncepcją COP jest faktem. Ojców projektu jest jednak znacznie więcej.

Modernizacja Polski nie kończyła się na COP...

Planowano wiele spektakularnych przedsięwzięć w Warszawie. W 1939 r., nieopodal placu Unii Lubelskiej, rozpoczęto wykopy pod przyszły kompleks gmachów telewizji, zaprojektowany przez Bohdana Pniewskiego.

Na rok 1946 zapowiadano uruchomienie w stolicy pierwszej linii metra – z placu Wilsona na plac Unii Lubelskiej. Dwa lata wcześniej prawobrzeżna część miasta miała gościć Wystawę Światową. Pozostało po niej geograficzne nazewnictwo ulic Saskiej Kępy. Polski Komitet Olimpijski rozważał starania o organizację letnich igrzysk olimpijskich. W roku 1948 albo cztery lata później. Złe rozdanie kart historii zniweczyło te śmiałe zamiary.

Podczas wizyty u Kwiatkowskiego towarzyszy Wańkowiczowi córka.

Starsza, Krystyna, chciała kontynuować pisarską drogę ojca. Wojna to zniweczyła. Zaangażowała się w konspirację. Podczas Powstania Warszawskiego była sanitariuszką batalionu „Parasol”, pseudonim Anna. Poległa 6 sierpnia w okolicach cmentarza kalwińskiego. Prowizorycznej mogiły nie odnaleziono. To właśnie jej poświęcił Wańkowicz „Ziele na kraterze”.

„Arcydzieło wciąż nieodkryte, choć powszechnie znane. Mistrzowski reportaż historyczny, saga rodzinna, epos powstania Warszawskiego, uwspółcześiona gawęda szlachecka, a przede wszystkim tren na śmierć córki. Gdyby szukać antenatów tego dzieła, byłiby nimi nasi najwięksi: Kochanowski i Mickiewicz” – napisał o tej książce redaktor Krzysztof Masłoń. Wojny nie przeżył także syn Kwiatkowskiego.

To wyjątkowo tragiczna historia. Jan Kwiatkowski poległ we wrześniu 1939 r. Od polskiej kuli! Powołany do służby wojskowej został zwiadowcą, gdyż umiał prowadzić motocykl. I powracając nocą z rekonesansu frontowego, został przez pomyłkę zastrzelony – wzięto go w ciemności za forpocztę wroga.

Końcowa scena przedstawienia rozgrywa się jesienią roku 1939 r. w Baile Herculane.

Zarówno Kwiatkowski, jak i Wańkowicz mają poczucie klęski, ale zarazem są świadomi niedotrzymania sojusznicznych zobowiązań wobec Polski. Nie tylko przez Brytyjczyków i Francuzów, lecz także Rumunię, która internowała polskie władze szukające tam schronienia po ucieczce z wziętej w dwa ognie ojczyzny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojciech Tomczyk „Imperium”, reż. Robert Talarczyk, obsada: Ireneusz Czop, Mariusz Ostrowski, Agnieszka Radzikowska, Helena Englert i inni. Premiera: 30 września, godz. 21, TVP1.



Wojciech Tomczyk – pisarz, dramaturg, absolwent PWST w Warszawie i PWSFTViT w Łodzi; autor wybitnych sztuk odwołujących się do naszych dziejów najnowszych: „Norymberga”, „Inka 1946”, „Zaręczyny”, „Marszałek”. Scenarzysta seriali: „Zaginiona”, „Oficer”, „Oficerowie”, „Sprawiedliwi”.

dowodem spektakularny sukces oficyny wydawniczej Rój, którą współtworzył. To właśnie tam ukazał się jeden z największych bestsellerów międzywojnia – „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy”. Autora powieści, Sergiusza Piaseckiego, zwolniono z więzienia za sprawą – jak byśmy dziś określili – lobbingu Wańkowicza w kołach sanacji. Dysponował „król Melchior” – jak go nazwał Adolf Nowaczyński – armią czytelników. Urzeczonych zwłaszcza świeżo wydany tom reportażu pt. „Na tropach Smełka”, owocem wakacyjnej eskapady kajakiem „Kuwaka” – odbytej w towarzystwie młodszej córki Marty, zwanej Tirliporkiem – śladami polskości Prus Wschodnich.

Zapewniła mu ona miejsce na liście lektur zakazanych w Niemczech, a minister propagandy III Rzeszy Joseph Goebbels miał rzec, że „Wańkowicz albo trzeba kupić, albo zabić”.

Zdając sobie sprawę z siły pióra reportera i chcąc do swojej idei przekonać jak najwięcej rodaków, Kwiatkowski wtajemniczył reportera w swe plany i zaproponował mu napisanie książki o narodzinach nowoczesnej Polski. Taka jest geneza „Sztafety”.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Brad znowu ratuje świat



★★★★★
REŻ. JAMES GRAY
„AD ASTRA”
USA 2019

wyst. Brad Pitt,
Tommy Lee Jones,
Donald Sutherland

Jak to będzie w przyszłości? Tak samo jak dziś, tylko bardziej. Dotrzemy na skraj heliosfery, ale inflacja mocno pójdzie w górę. W rakiecie lecącej na Księżyc za koc i poduszkę zapłacimy 120 dol. Nasz satelita, kompletnie skomercjalizowany, stanie się areną walki firm wydobywających spod jego powierzchni cenne surowce. Bez ochroniarzy lepiej nie urządzać sobie wycieczki na jego ciemną stronę.

Mars zostanie podzielony na strefy, tak jak Berlin po II wojnie światowej. Zaczną się eksperymenty z antymaterią, lecz kiedy trzeba pozamiatać, nic nie zastąpi starej, pocziwej bomby atomowej. Astronauci wciąż będą wzywać na pomoc Boga oraz św. Krzysztofa i ginąć w pożarowania godnych okolicznościach. Ziemię zaczną

zaś nękać zabójcze, nasilające się wyładowania elektryczne.

Zagrożona ludzkość wyciąga z rękawa asa, oczywiście Amerykani. Major Roy McBride na pierwszy i drugi rzut oka sprawia wrażenie zimnokrwistego introwertyka, lecz to tylko pozory. W głębi duszy ów niespotykane spokojny człowiek jest kłębkim nerwów i pielęgnuje kompleks tatusia – pioniera lotów kosmicznych, który chciał zostać nowym Kolumbem, lecz słuch o nim zaginął.

Brad Pitt ma wprawę w graniu farciarzy wychodzących cało z najgorszych tarapatów. Tutaj jednak od początku sprawia wrażenie zmęczonego i przygnębionego. Może zapatrzył się na Ryana Gosslinga z „Pierwszego człowieka”, w każdym razie na wizerunku wiecznego chłopca pojawiła się znacząca rysa.

W „Ad Astra” obowiązuje zresztą zasada, że w kosmos nie wysyła się młodych zapaleńców, lecz panów w sile wieku lub wręcz na progu emerytury.

Gray i spółka spłacają trybut należny kinu akcji, lecz widać, że bardziej kręci ich tworzenie tzw. nastroju. Muzyka, zdjęcia i monolog kosmicznego kowboja przywodzą na myśl „Blade Runnera 2049” i na tym tle „Ad Astra” wypada blado. To film z tej samej półki co amerykańska ekranizacja „Solaris” z Clooneyem w roli astronauty chorego na samotność. Z dopieszczonych kadrów wieje bowiem defetyzmem. Prawie 90 mln dol. wydano, by zanegować ideę, która ożywiła pokolenia odkrywców i konkwistadorów. Kosmos jest bezdenną otchłanią, w której prędkiej czy później zwiariujesz – przekonuje Gray. Porzućmy mrzonki o kontakcie z obcą cywilizacją, przestańmy szukać przeznaczenia w gwiazdach. Znajdziemy tam tylko własne demony. Zaczniemy wreszcie dbać o naszą piękną, błękitną planetę („mamy tylko siebie”). Jedyne, co się liczy w życiu, to kochać i być kochanym. Żegnaj więc niespokojny, zdobywco ducha, który przez tyle wieków pchał nas do przodu. Przechodzimy na autopilota? ©©

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „JOKER”

Złote Lwy na festiwalu filmowym w Wenecji dla nietypowego filmu o superbohaterze. „Joker” opowiada na nowo historię narodzin jednej z najbardziej złowrogich postaci uniwersum Batmana. Pod ręką Todda Phillipsa („Kac Vegas”) rzecz zamienia się nie w komiksową rozrywkę o gościach

w trykotach, lecz mroczną przypowieść o współczesnej metropolii zła, w duchu „Taksówkarza” Martina Scorsese. ©©

Piotr Gociek

• **reż. Todd Phillips, „Joker”,**
wyst. **Joaquin Phoenix, Robert De Niro,**
Zazie Beetz, USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- **„Był sobie pies 2” („A Dog's Journey”),**
reż. Gail Mancuso,
USA 2019
- **„Czarny Mercedes”,**
reż. Janusz Majewski,
Polska 2019
- **„Ostatnia góra”, reż. Dariusz Żakuski,**
Polska 2019



Polska do was przyszła!

Jeśli się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Czekając na filmowy fresk o narodzinach II RP, kontentujemy się szkicem do portretu jej akuszerki, który (uwaga, spoiler!) świętym nie był. Michałowi Rosie pomysłów i środków starczyło na środkowy fragment biografii Piłsudskiego – od ucieczki ze szpitala więziennego do proklamowania niepodległości Polski. Z olbrzymią dziurą w miejscu I wojny światowej. Zamiast płynnej fabuły dostaliśmy zbiór epizodów.

Na szczęście tak się składa, że owe epizody są zarazem kamieniami milowymi naszej historii. Demonstracja na placu Grzybowskim w Warszawie, napad na pociąg pod Bezdanami czy

wymarsz Pierwszej Kadrowej z krakowskich Oleandrów wypadły na dużym ekranie zaskakująco dobrze, podobnie jak Borys Szybc w roli tytułowej. Jego Piłsudski jest wiarygodny jako terrorysta, namiętny kochanek i zwierzę polityczne, gdy złorzeczy, paradytuje w kałesonach i zapowiada, że skończy z irredentą i poświęci się życiu rodzinnemu. Dla dobra sprawy gotów jest nawet podpisać cyrograf z diabłem w osobie oficera wywiadu austriackiego. Rodacy jednak wciąż nie dzielą



★★★★★
REŻ. MICHAŁ ROSA
„PIŁSUDSKI”
POLSKA 2019

wyst. Borys Szybc,
Magdalena Bocarska,
Jan Marczewski

jego zapału. „Polska do was przyszła!” – krzyczą strzelcy, zdziwieni brakiem entuzjazmu mieszkańców rosyjskiego zaboru. „A na długo?” – pyta rezolutny wieśniak. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZIOMEK NA TROPACH YETI

„Prziomek” to dzieło studia Laika, które zabłysnęło filmami „Koralina” (według prozy Neila Gaimana) czy „Kubo i dwie struny” (nominacja do Oscara).

Produkcja wizualnie zachwycająca, przypominająca, jakie cudenka mogą wyjść spod ręki mistrzów tradycyjnej animacji. Okazała się jednak kasową kląpą –

już wyjaśniam dlaczego. Oto pan Frost, poszukiwacz mitycznych stworzeń, odnalazłszy w dzicy Ameryki Północnej włochatego sasquatcha (tytułowy prziomek), pomaga mu w poszukiwaniu dalekich kuzynów z Azji, czyli yeti. Pomysł świetny, kpina z przygodowych powieści Verne’a oczywista (szczególnie z „W 80 dni dookoła świata”), jednak w scenariuszu zupełnie niepotrzebnie pojawia się łopatologiczna publicystyka. Łotrów rozpoznajemy po tym, że kwestionują ewolucję i są przeciwni prawom kobiet, a dobrych po tym, że wierzą w mit szlachetnego dzikusia. Film jest zbyt trudny dla dzieci, a zbyt irytujący dla dorosłych. Mimo wszystko warto, bo to ucztą dla oczu.



wyst. Zach Galifianakis, Hugh Jackman,
Zoe Saldana

★★★★★
REŻ. CHRIS BUTLER
„PRAZIOMEK”
(„MISSING LINK”)
USA 2019,
KINO ŚWIAT

TEN SŁOŃ JEDNAK NIE LATA

Wymarzony projekt Tima Burtona stał się rzeczywistością: całe życie marzył o nakręceniu nowej wersji „Dumbo”. Rezultat rozczarowuje – gdyby nie legenda animowanego oryginału z 1941 r., pewnie mało kto pofatygowalby się do kina. Historia jest bowiem tylko częściowo ta sama (Burton dołożył sporo od siebie),

w dodatku opowiedziana nudno i z płaskimi postaciami (choć tym razem nie jest to animacja). Widzowie nie dopisali, krytycy kręcili nosem, a jedyne, co pozostało po przedsięwzięciu, to poczucie, jak bardzo niepotrzebna była część remake’ów live-action disneyowskiej klasyki. Żeby skrytykować reguły rządzące show-biznesem, nie trzeba budżetu w wysokości 170 mln dol. (tyle kosztował nowy „Dumbo”). Odświeżona historia latającego słonia okazuje się widowiskiem głośnym, lecz pustym, efektownym, lecz – w odróżnieniu od głównego bohatera – pozbawionym serca. ©© **recenzuje Piotr Gocięk**



wyst. Colin Farrell, Michael Keaton,
Danny DeVito

★★★★★
REŻ. TIM BURTON
„DUMBO”
USA 2019,
GALAPAGOS

GRA TYGODNIA: „BORDERLANDS 3”

Seria „Borderlands” to jedna z tych gier, w której uniwersum wsiąka się na dobre, kupuje świat przedstawiony w całości i zaczyna ze znajomymi przedzierać się przez hordy wrogów w poszukiwaniu lepszego uzbrojenia albo... No właśnie. Co miałoby skłonić kogoś, kto nigdy wcześniej nie grał

w tego kolorowego i szalonego FPS-a, aby rozpoczął swoją przygodę z „looter shooterem” od trzeciej części? Moim zdaniem niewiele. Gra studia Gearbox jest bowiem kontynuacją „dwójki”, która daje frajdę zwłaszcza graczom zaznajomionym wcześniej z bohaterami. Reszta? Znajdźcie tu



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

killkadesięt godzin nieśpiesznie, choć wtórnie rozrywkę. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** FPS
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Gearbox Software/2K Games
- **Kwalifikacja PEGI:** 18+

MOJA PÓŁKA

Spisane będą czyny i rozmowy

KRZYSZTOF
MAŚŁONEK

Trudno o mocniejszy tytuł od tego, który nadał swej najnowszej pracy prof. Wojciech Roszkowski. Brzmi on: „Kierunek Targowica. Polska 2005–2015” i przypomina tak niedawne przecież lata, w których pod rządami Platformy Obywatelskiej wspomaganą przez PSL zmierzaliśmy prosto do zapaści: państwowej, gospodarczej, a także moralnej. Czy się na nas sprzysięgły wówczas złe moce? Pewnie tak, a na pewno źli ludzie.

Początek tej fatalnej dekady był zaś całkiem obiecujący. Postkomuchy dostały tomot w wyborach 2005 r. i do władzy szykował się PiS pospołu z Platformą. Prawo i Sprawiedliwość bowiem nieoczekiwanie raczej wygrało wybory z niewielką, ale zawsze 22-mandatową przewagą nad PO. Na premiera PiS desygnował – o Matko Boska – Kazimierza Marcinkiewicza i rzeczywiście objął on ster rządu po tym, jak fiasko zakończyły się rozmowy potencjalnych koalicjantów i Jan Rokita – o czym przypomina prof. Roszkowski – musiał obejść się smakiem, pozostając „premierem z Krakowa”, naturalnie ujętym w cudzysłów.

Aleksander Kwaśniewski tak wtedy zachachmęcił, że jedne wybory goniły drugie, zaraz bowiem, dokładnie po dwu tygodniach, nastąpiły wybory prezydenckie. I oto w drugiej turze Lech Kaczyński pokonał Donalda Tuska. W Platformie wynik ten wywołał – czytamy – „szok i agresję”, które – jak się zdaje – trwają do dziś. Natomiast dla PiS przymusowi koalicjanci, czyli Samoobrona i Liga Polskich Rodzin, stawiali się coraz bardziej kłopotliwi. Seksafery goniły naśladujące nazistowskie zachowania wybrzyki Młodzieży Wszechpolskiej, do tego Kościół poróżnił się na tle lustracji, gorsząc wiernych takimi scenami jak te, które rozegrały się np. przed



FOT. ANDRZEJ HULINIA/FOTUM

niedoszłym do skutku ingresem bp. Wielgusa na metropolitę warszawskiego. W efekcie w połowie grudnia 2006 r. premier Jarosław Kaczyński, który w międzyczasie wymienił nieszczęsnego Marcinkiewicza, stwierdził samokrytycznie: „Oczyszczanie państwa idzie bardzo ciężko”.

Bo też realizacja projektu IV RP przy pomocy Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin stała się zadaniem karkołomnym, a nawet – jak się wydaje – niewykonalnym. Platforma oskarżała rząd, a zwłaszcza prezesa Rady Ministrów, już o wszystko, a były prezydent Kwaśniewski suflował Niemcom, że gdyby PiS miał utrzymać się u władzy, „Berlin musi zastanowić się, czy warto nadal zachowywać powściągliwość wobec Polski”. „Wypowiedź ta – czytamy – zbulwersowała większość polityków i osłabiła szanse LiD, podobnie jak występ byłego prezydenta po pijanemu na uniwersytecie w Kijowie. O zagrożeniu demokracji w Polsce wypowiedział się także były prezydent Czech Václav Havel, który w kuriozalnym wywiadzie zaproponował, by nowym wyborem przyjrzeni się obserwatorzy z Unii Europejskiej i OBWE”. A te nowe wybory po samorozwiązaniu się Sejmu 7 września 2007 r. wyznaczono na 21 października tegoż roku.

To w tamtej kampanii wyborczej, która do władzy przywiodła Tuska i jego ludzi, powodując fatalną kohabitację z prezydentem i całą serią skandali po tragicznej katastrofie w Smoleńsku, Władysław Bartoszewski nazwał polityków PiS „dyplomatofkami” i „dewiantami”, a sam Tusk oświadczył, że gdy widzi dziś Jarosława Kaczyńskiego, to jakby widział Jerzego Urbana w 1981 r.

Po śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego nie ustawała nagonka na brata zmarłego. Wyróżni się w niej na szczególne nieobecny dziś w polityce, choć Bóg raczy wiedzieć, na jak długo – Janusz Palikot. To on po tym, jak w Łodzi platformerski fanatyk zabił Marka Rosia-ka, asystenta europosła Janusza Wojciechowskiego, kandydującego obecnie na stanowisko unijnego komisarza do spraw rolnictwa, orzekł: „Jeden szalony, który zabił, i drugi szalony, który śmiercią chce osiągnąć polityczną korzyść”, pouczając przy okazji Jarosława Kaczyńskiego: „Opamiętaj się, nie podburzaj do nienawiści”.

Sympatii swej dla Palikota nie krył prezydent RP Bronisław Komorowski, który – co wypomni mu Jarosław Kaczyński – jeszcze w 2009 r. powiedział miał o zmarłym prezydencie, że „będzie gdzieś leciał i wszystko się zmieni”.

W 2016 r. udało się powiedzieć „stop” dalszej deprawacji i grabieży Rzeczypospolitej. „Państwo teoretyczne”, przynajmniej w swej dawnej formie, przestało istnieć. Jednak – przestrzega autor – zło nie śpi! Nie brakuje chętnych do budowania państwa silnego wobec słabych i słabego wobec silnych, przeżartego korupcją i nieradzącego sobie na arenie międzynarodowej. I pomyśleć, że w takiej Rzeczypospolitej żyliśmy wszyscy tak niedawno jeszcze. ©



★★★★★

**WOJCIECH
ROSZKOWSKI**
„KIERUNEK
TARGOWICA.
POLSKA
2005–2015”
BIAŁY KRUK 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pożegnanie króla

Maciej Parowski żegna się z czytelnikami we wspaniałym stylu. Dwutomowy „chronologiczny alfabet moich autorów” to książka niezwykła z wielu powodów, ale dwa są najważniejsze. Jak celnie zauważył Łukasz Orbitowski w prowadzonym wspólnie ze mną programie radiowym „Posłowie” (zapraszamy do słuchania w czwartkowe wieczory, Polskie Radio 24), choć niby o innych, to tak naprawdę jest to autobiografia Maćka. Najważniejsze postaci polskiej literatury popularnej ostatniego półwiecza. Parowski odkrywał, redagował, inspirował, spierał się, pomógł zaistnieć setkom autorów. Z jego zapisków możemy się dowiedzieć nie tylko tego, co w nich widział i za co ich cenił, lecz także zrozumieć jego samego. Cóż bowiem lepiej może nas wprowadzić w tajniki czyjejś duszy, jeśli nie opowieść o tym, jakich spraw chciał bronić, a jakim się sprzeciwiał – i z jakich pobudek.

Cieężko recenzować książkę, przy okazji której tak naprawdę trzeba by wymienić wszystkich jej bohaterów i ich dzieła (co zajęłoby dużo więcej miejsca niż ten tekst). Będzie czytana przez lata i przez dziesięciolecia, tego jestem pewien. Na wyrwy-

ki, jak czytamy słowniki czy encyklopedie, w całości, bo to wielowątkowa wieloodcinkowa pasjonująca opowieść. Będą wracać do niej fani i zawodowcy, piszący historię polskiej fantastyki i – szerzej – literatury popularnej, komiksu, kina. Tak jak do jego poprzednich książek krytycznych – wielotomowych „Małp Pana Boga” czy jeszcze wcześniejszego „Czasu fantastyki”.

„Maciej Parowski był dobrym i skromnym człowiekiem, a niniejsze książki niech będą nie tylko ukoronowaniem, ale i uhonorowaniem jego wielkiego dzieła” – pisze we wstępie do „Wasz cyrk, moje małpy” założyciel wydawnictwa SQN, Przemysław Romański. Tak, bez wątpienia, bo powstała książka bezcenna, wzruszająca, ocala-

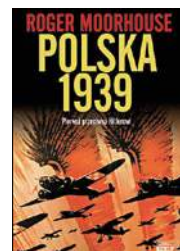
ją kawał naszego wspólnego świata. Dowiedzie się z niej mnóstwo o pisarzach, którzy dziś są na topie, i o tych trochę zapomnianych. O tym, jak zmieniła się Polska od chwili, gdy Parowski objął stery działu prozy polskiej w miesięczniku „Fantastyka” (a było to w roku 1982). O tym, jak wiele zyskała dzięki Maćkowi polska kultura. I przede wszystkim o tym, dlaczego chyba każdy bohater tego leksykonu zawdzięcza mu więcej, niż może nieraz sam przyznawał lub przypuszczał. © ©



★★★★★
MACIEJ PAROWSKI
„WASZ CYRK, MOJE MAŁPY”,
TOM 1 I 2
SGN

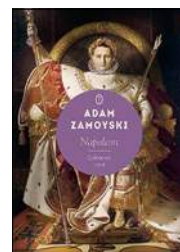
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pierwsi przeciw Hitlerowi. Brytyjski historyk przypomina światu o tym, gdzie zaczęła się wojna i jak Polacy stawiali opór hitlerowskiej maszynie wojennej. Odpowiednio wiele uwagi poświęca też zdradzieckiemu atakowi ZSRS.



ROGER MOORHOUSE
„POLSKA 1939”
ZNAK

Barwnie napisana biografia cesarza – obszerna, ale inna być nie mogła. Zdaniem Zamoyskiego Bonaparte to postać wyjątkowo niejednoznaczna. Niecierpliwie czekam na recenzję pióra naszego autora, Waldemara Łysiaka.



ADAM ZAMOYSKI
„NAPOLÉON. CZŁOWIEK I MIT”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Mało znane dzieje polskiej emigracji w Portugalii lat II wojny światowej. A także opowieść o wysiłkach rządu emigracyjnego, który próbował stworzyć nowe kanały ewakuacji dla uciekinierów z terenów okupowanych przez Niemcy.



ADAM GRZYBOWSKI, JACEK TEBINKA
„NA WOLNOŚĆ PRZESZLI”
IPN

Uciskani przez zmodyfikowaną genetycznie kastę mieszkańcy Ziemi szukają nadziei u samowznieszonego mesjaszy, który oferuje pomoc obcej cywilizacji. Jedna z ciekawszych powieści Dicka, geniusza fantastyki. © ©

poleca Piotr Gociek



PHILIP K. DICK
„NASI PRZYJACIELE Z FROLIXA 8”
REBIS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- 1. Remigiusz Mróz „Wyrok” (Czwarta Strona) – 10. tom serii z Joanną Chyłką w roli głównej. Pokaz siły Mroza: przedsprzedaż, a już bestseller.**
- 2. Kelsey Miller „Przyjaciele” (SQN) – „o najlepszym serialu na świecie”, czyli rzecz o sitcomie „Friends” i jego wpływie na popkulturę.**
- 3. Stephen King „Instytut” (Albatros) – tajna placówka, obdarzone siłami parapsychicznymi dzieci i gliniarz z prowincji. Nowa powieść króla horroru.**
- 4. Christel Petittcollin „Jak mniej myśleć” (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych” – głosi podtytuł poradnika.**
- 5. David Lagercrantz „Ta, która musi umrzeć” (Czarna Owca) – zamknięcie serii „Millennium” Stiega Larssona, już bez Larssona. Tom szósty.**

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 9 do 22 września 2019 r.)

PIOTR GOCIEK: Oglądał pan „Legiony”? Jak się podobały?

PIOTR GLIŃSKI: Nie, jeszcze nie miałem okazji.

„Piłsudski”?

Nie widziałem. Tam, gdzie nie jestem niezbędny, to się nie pojawia. Ekonomia czasu. Pewnie bym wpadł na premierę „Legionów”, gdybym mógł. Nie mogłem, bo tego dnia otwieraliśmy oddział Instytutu Pileckiego w Berlinie. Będę oglądał oba te filmy w Łodzi na pokazach, które organizujemy w ramach kampanii wyborczej. Zapraszam!

Mam dobrą wiadomość. „Legiony” to udany film. Ale rozumiem decyzję. To, co wydarzyło się w Berlinie, to dla mnie wiadomość roku. Instytut Pileckiego ma być główną polską bronią w polskiej polityce historycznej poza granicami Polski?

Bardzo ważną, ale nie jedyną. Są przecież Instytuty Polskie podlegające resortowi spraw zagranicznych. Jest też Instytut im. Adama Mickiewicza. Tu był pewien problem, który udało nam się rozwiązać, chodziło o brak współpracy między różnymi instytucjami. Przełamujemy to. Po raz pierwszy, z ministrem Jackiem Czaputowiczem, podpisaliśmy porozumienie, którego celem jest większa spójność prowadzonych działań. I są już efekty. Pierwsza na amerykańskim rynku biografia rotmistrza Pileckiego, którą napisał Jack Fairweather, jest z jednej strony wspierana przez nas, z drugiej – wiceminister Szynkowski vel Sęk sprawił, że nasze placówki dyplomatyczne włączyły się w propagowanie tego tytułu i wykorzystują książkę w swoich działaniach.

Doczekamy takich czasów, by Instytut Mickiewicza był tak potężną instytucją jak niemiecki Instytut Goethego?

Potrzeba do tego budowy zagranicznych oddziałów i wielkich pieniędzy. Których zresztą wydajemy dużo więcej od poprzedników. Jednak np. w ramach programu „Niepodległa” udało się instytutowi zorganizować mnóstwo imprez na całym świecie. Z tak prestiżowym projektem jak wystawa prac Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego w paryskim Centrum Pompidou, najlepszym miejscu w Europie. Jest jeszcze Polska Fundacja Narodowa, która przeprowadza mnóstwo świetnych projektów za granicą. Z jak udanym skutkiem – proszę zapytać choćby pana byłego kolegę redakcyjnego, Marka Magierowskiego, dziś ambasa-

dora Polski w Izraelu. PFN finansowała na przykład polskie okładki w gazetach całego świata w rocznicę 1 września. Powołaliśmy również Instytut POLONIKA, który zajmuje się polskim dziedzictwem za granicą. To wszystko składa się na budowę wizerunku Polski w świecie.

Wracając do Instytutu Pileckiego: zapowiadacie powstanie nowych oddziałów w USA i w Izraelu. Kiedy?

To oczywiście zależy od Instytutu Pileckiego. Musimy jednak być obecni tam, gdzie trzeba prezentować naszą narrację historyczną. Przeznaczaliśmy duże środki na tę inicjatywę, zmieniliśmy Ośrodek Pileckiego w szybko rozwijający się instytut naukowy z prawdziwego zdarzenia, który prowadzi z jednej strony działalność badawczą, a z drugiej – dba o politykę wizerunkową i historyczną, jakże ważną dla polskiej racji stanu.

Rok temu wprowadzono mechanizm zwrotu części kosztów produkcji filmowej w Polsce dla producentów z zagranicy. Jakie są efekty? Ustawiają się kolejki do PISF?

Prezes PISF mówi, że jest tak wielu chętnych, że nie starczy mu pieniędzy w tym roku na wszystkie projekty. Świat filmowy wie już, że są takie zachęty w Polsce. Byliśmy chyba ostatnim krajem

w Europie, który nie miał takiego mechanizmu, przez co przegrywaliśmy konkurencję z Litwą, Czechami, Węgrami. To jedna z wielu rzeczy, której nasi poprzednicy nie zrobili. Z tysiąca rzeczy, których nie zrobili, także i tego nie zrobili. Może pan dać taki tytuł wywiadu: „Oni naprawdę niczego nie zrobili”. Prawie. My zwiększyliśmy polski rynek filmowy o ponad 100 mln zł. Nie tylko jeśli chodzi o produkcje historyczne. W ogóle. A mimo to kiedy ogłaszaliśmy nasze plany, to w środowisku filmowym widziałem skwaszone miny.

Te miny są nadal skwaszone.

Częściowo tak, bo otwarcie rynku filmowego w Polsce (poprzez zachęty) zwiększyło konkurencję z zagranicy i wielu się to nie podoba. Jest więcej pieniędzy na filmy, ale zdaniem niektórych to źle. W swym dotychczasowym ciepełku świetnie się bowiem czuli.

A niektórzy filmowcy wychodzą na scenę festiwalu w Gdyni i ogłaszają, że nie mogą się już doczekać końca rządów PiS albo że są przeciw cenzurze.

Po pierwsze, nie tylko w Gdyni i nie tylko teraz. Poprzednie festiwale się pod tym względem wiele nie różniły. Myśmy z tym zjawiskiem mieli do czynienia przez cztery lata, całą kadencję, od początku.

FOT. DANUTA MATOJCZYK/AGF





Z Piotrem Glińskim, wicepremierem,
ministrem kultury i dziedzictwa narodowego
rozmawia Piotr Gociek

To są wybory o Polskę

Jesteśmy regularnie tak traktowani. Co nie ma żadnego pokrycia w faktach. To czysta polityka, bo mamy w Polsce pełną wolność twórczą. Na 19 pokazywanych w Gdyni filmów 18 było wspieranych ze środków publicznych, bezpośrednio przez resort kultury lub przez nadzorowane przez nas instytucje. Polski Instytut Sztuki Filmowej powstał kiedyś dzięki PiS. Za były PiS i SLD. Platforma Obywatelska była przeciwna. Takie są fakty.

Więc nie czuje się pan naczelnym cenzorem III RP?

Nie mogę poważnie odpowiedzieć na takie pytanie, bo to jest komedia. W oświadczeniach protestujących nie ma przykładów, są opinie. Dodatkowo zmieniające prawdziwe znaczenie słów. Ponieważ ci, którzy podpisują różne oświadczenia, chyba nie pamiętają, co to była cenzura. Ja pamiętam. Moje prace naukowe były w PRL cenzurowane. Nie mogłem przez lata pracować, wydawać książek, doktoratu. Filmy też były cenzurowane, niektórzy więc powinni pamiętać. I nie mieszać normalnego mecenatu państwa z administracyjną blokadą na tworzenie, z cenzurą.

Jak nie cenzor, to dewastator, wołają pana przeciwnicy, bo likwiduje pan studia filmowe.

Ta decyzja była podjęta dawno temu, a ogłoszona w grudniu ubiegłego roku. Teraz nagle sobie niektórzy przypomineli, że dzieje się im krzywda. Nie pamiętając, że kiedyś w proteście przeciw systemowi zespołów filmowych (teraz to są studia filmowe) wystąpił ze stowarzyszenia filmowców np. Kazimierz Kutz. Myśmy też wiele razy tłumaczyli, skąd ta decyzja. Po pierwsze, z punktu widzenia biznesowego (choć akurat ten nie jest w kulturze najważniejszy) są nieefektywne. Po drugie, to nieuczciwa konkurencja, bo studia (są jeszcze tylko takie trzy) miały dostęp do środków publicznych prawem kaduka. Ich filmy powstawały poza procedurami PISF. Poza procedurami eksperckimi. Po trzecie, dysponując prawami autorskimi do filmów, które produkowały przez kilkadziesiąt lat z pieniędzy publicznych, robiły z nich – według mnie – nie zawsze właściwy użytek. Sprzedawały je np. podmiotom niepublicznym, czyli naszej „konkurencji”.

Jaki jest cel tych zmian?

Chcemy, żeby w Polsce powstało duże, nowoczesne studio filmowe z prawdziwego zdarzenia. Sprawne, efektywne. Mogące konkurować z zagranicą. A tu Krzysztof Zanussi nazywa ten projekt

„Mosfilmem”. To porównanie jest obraźliwe, całkowicie ahisteryczne i nie ma nic wspólnego z faktami. Żyjemy w wolnym kraju, a nie w komunizmie, to zmienia wszystko i czyni takie porównanie inwektywą.

Ten rząd wciąż słyszy o swych rzekomo „bolszewickich metodach”, o „totalitarnym państwie PiS”.

Ja usłyszałem, że przeprowadzam „stalinowskie czystki” w teatrach. W normalnym sądzie nigdy by się nie wybronił z takich sformułowań. Niestety, wciąż jednak nie mamy normalnych sądów, a ja nie mam czasu, żeby z takimi pozwami biegać. A to przecież jest obraźliwe nie tylko dla mnie, ale przede wszystkim dla ofiar systemu stalinowskiego. Hipokryzja i odwracanie znaczeń. Wszystko wpisane w walkę polityczną. Larum podnoszą filmowcy, a wspierają ich politycy, którzy, gdy rządili, nawet grosza nie dali na film paradokumentalny o Pileckim i setki innych projektów. Niech się wstydzą do końca życia.

„Legiony” już w kinach. A kiedy zapowiedane od początku kadencji wielkie produkcje zagraniczne?

Są realizowane dwa bardzo poważne projekty. Realizacja jednego już się rozpoczęła, pieniądze z PISF przekazano. To

■ amerykański film o rotmistrzu Pileckim, współprodukowany przez tę samą firmę, która produkowała ostatni film Agnieszki Holland. Hollywoodzka opowieść, którą twórcy sami odkryli, zdokumentowali, napisali scenariusz, zupełnie inny niż „Raport Pileckiego” realizowany już w Polsce przez Leszka Wosiewicza.

A drugi projekt?

To z kolei opowieść o Merianie C. Cooperze, amerykańskim ochotniku, który walczył przeciw bolszewikom w 1920 r. w eskadrze kościuszkowskiej, potem został wybitnym producentem filmowym w Hollywood. Scenariusz zamówiliśmy u jednego z amerykańskich oscarowych scenarzystów. Brakuje nam pokazywania polskiej historii z wykorzystaniem bohaterów z zagranicy, a to jedyna droga, by zainteresować światową publiczność. Stąd czekam też niecierpliwie na film „Jerusalem Boulevard” – na kanwie autentycznej historii Brytyjczyka z Powstania Warszawskiego. Scenariusz napisał z mojej inspiracji Jarosław Sokół, scenarzysta „Czasu honoru” i serialu „Ziuk. Młody Piłsudski”. Tytuł zaczerpnęto oczywiście ze słynnego przemówienia Donalda Trumpa na pl. Krasińskich przy pomniku Powstania Warszawskiego.

Pan tak się zapala do opowiadania o poszczególnych projektach, że może jednak powinien częściej czytać scenariusze i chodzić na filmowe premiery.

Ja nie jestem od tego, nie jestem też twórcą. Może na emeryturze – drżycie politycy, bo z autopsji poznałem kulisy władzy! Natomiast – poważnie mówiąc – mam teraz obowiązek tworzyć innym warunki do pracy i kibicować. Przede wszystkim walczę też o pieniądze na kulturę. Czasem włączamy się w promocję filmów, które powstały bez naszego udziału. Tak – mam nadzieję – zrobimy ze świetną fabułą, o której mało kto w Polsce wie. Film „Znajdę cię”, w oryginale „Music, War and Love”. Amerykańska reżyser Martha Coolidge, polski współproducent mieszkający za granicą, którego ojciec pomagał Żydom w łódzkiej getcie. Ostatnio współprodukował też nagrodzony w Wenecji film Romana Polańskiego. Dzieje miłości młodej żydowskiej skrzypaczki i polskiego chłopaka, utalentowanego wokalistę. Poznali się przed wojną. On trafia do AK, ona do Oświęcimia, do słynnej obozowej orkiestry. On próbuje ją ratować. Jest też

„dobry Niemiec”, wybitny śpiewak operowy, ale dość autentyczny, zamordowany w końcu przez swoich rodaków. Polsko-żydowska historia z czasów wojny, w której Polacy nie są antysemitami.

Wyobrażenia widzów o historii coraz częściej kształtują dziś seriale. Czy na tym polu ministerstwo nie powinno być bardziej aktywne?

Nasza współpraca z TVP układa się dobrze. Efektem jest m.in. serial „Ziuk. Młody Piłsudski”, który będzie miał premierę jeszcze w tym roku. Wspólnie szykujemy też serial „Dom pod Orłami” wybitnego reżysera Waldemara Krzystka. To opowieść o wielokulturowej historii Wrocławia – Lwów, Polacy, Niemcy.

Kiedy będzie gotowa nasza polska „wyspa muzeów”, czyli kompleks w warszawskiej Cytadeli, której głównym elementem ma być Muzeum Historii Polski?

Zgodnie z zapowiedziami w 2021 r. To nie jest łatwa sprawa, olbrzymi wysiłek inwestycyjny, wielkie wyzwania wykonawcze. Trzeba było od nowa przygotować projekty, przede wszystkim Muzeum Historii Polski, ale także Muzeum Wojska Polskiego, które tam się przeniesie. Ta budowa to szansa na mały cud. Proszę spojrzeć na wizualizacje. Niezwykły park muzealny, otwarty dla wszystkich, przepiękne miejsce, gdzie cały dzień będzie można spędzić z przyjaciółmi i rodziną, edukacja, pamięć, kultura. W sali audytorijnej będzie być może działał teatr; wiem, że Redbad Klynstra rozmawia już o tym z Robertem Kostro, dyrektorem MHP.

Tymczasem dusi się Muzeum Narodowe. Nie ma gdzie pokazywać swoich przebogatych zbiorów.

Dlatego przejmie przestrzeń po Muzeum Wojska Polskiego, które przeniesie się na Cytadelę.

Nie mam wątpliwości, że tłumy będą odwiedzały park na Cytadeli i umieszczone tam muzea. Polacy głosują za polityką historyczną swoimi portfelami, kupując książki, chodząc do kina, tłumnie stawiając się na imprezach plenerowych. Czy nie jest jednak tak, że główne kanały dystrybucji prestiżu i wiedzy wciąż należą do ludzi z dawnego salonu III RP?

To się zaczęło zmieniać, powstają nowe kanały i nowe elity. To zajmie jeszcze trochę czasu, tak jak potrwą przekształcanie instytucji. Kluczowy będzie wynik najbliższych wyborów. Ludzkie postawy, wartości, oceny, hierarchie, to wszystko będzie się dalej pozytywnie zmieniać,

jeśli te wybory wygramy. Wtedy dopiero utrwalą się prawdziwa, kulturalna i społeczna demokracja w Polsce. Dotychczasowe elity III RP ulepione zostały z bardzo różnego materiału. I jeżeli chodzi o rodowody, i jeżeli chodzi o interesy. Myśmy ten układ naruszyli, przychodząc „znikąd”, nie mając wcześniej żadnych prawie instytucji. W tych starych elitach często są ludzie jakoś dziwnie ślepi na Polskę, którzy dalej żyją w potwornej izolacji od większości społeczeństwa. Bardzo przykre, wręcz dramatyczne jest to, że ich absurdalne tezy o „braku wolności w Polsce” czasami powtarzają młodzi ludzie, np. niektórzy artyści z Gdyni. Argument jest taki, że minister demokratycznie wybranego rządu podjął jakąś decyzję, z którą jakiś artysta prywatnie się nie zgadza. I można wtedy mówić o braku wolności, demokracji, praworządności, końcu świata...

Oni nie tylko się nie zgadzają, oni biorą czynnie udział w wyborczych akcjach przeciw panu śródownisku. Choćby akcja „Nie świruj, idź na wybory!”. A na czele wielki aktor Wojciech Pszoniak.

Tego zupełnie nie rozumiem. Jak taka grupa ludzi, wybitnych twórców, mogła coś takiego zrobić? I do głowy im nie przyszło, że to jest etycznie niedopuszczalne i po prostu głupie...

Po co w takim razie otwierać kolejne fronty? Skąd pomysł uregulowania zawodu dziennikarza, który znalazł się w programie PiS, pisany pod pana kierownictwem?

To był postulat jednego ze środowisk dziennikarskich. Jeśli dziennikarze nie będą chcieli takich zmian, to tego oczywiście nie będzie. Ja rozumiem tę propozycję tak: żeby był jakiś mechanizm regulacji standardów w momencie, kiedy na przykład zlikwiduje się sławny art. 212.

Gdyby miał pan zostać ministrem kultury na kolejną kadencję, to jakie cele postawiłby pan przed resortem?

Musimy przede wszystkim zakończyć te projekty, które są już realizowane. Kolejne wielkie wyzwanie to np. polskie archiwa. W tej chwili na świecie to kwestia szalenie ważna i doceniana. To, co w archiwach – jest fundamentem prowadzenia polityki kulturalnej i historycznej. Mamy tu olbrzymie zaległości. Ja się jednak nie przywiązuję do stanowiska. Najważniejsze, żeby dalej zmieniać Polskę. Dlatego te wybory są naprawdę ważne. To są wybory o Polskę.



Piotr Semka

Rozdajesz razy rządzącej partii konserwatywnej, wzorem czynisz Norwegię, PiS zrównujesz z PO. Czy o czymś nie zapomniałeś?

Drogi Tomku! Nie miej mi za złe, że postanowiłem dołączyć do dyskusji na temat Twojego wywiadu z Grzegorzem Sroczyńskim opublikowanego na portalu gazeta.pl.

Była już publicystyczna reakcja Roberta Tekielego, na którą Ty z kolei odpowiedziałeś osobnym tekstem „Zdrada, wspólnota i udowadnianie, że nie jestem wielbłądem”. Po co jeszcze komuś mój głos? Sięgam po pióro, bo cała ta dyskusja krąży wokół ważnych pytań, zadawanych sobie przez wielu Polaków czujących się katolikami, którzy niedługo staną wobec dylematów dnia wyborów do Sejmu.

PUNKT ODNIESIENIA

Zacznijmy od tego, co najmocniej rozbudziło emocje. Nie jesteś, Tomku, kimś nowym na arenie sporów publicystycznych. Dzięki wieloletniej walce o rzeczy ważne stałeś się istotnym punktem odniesienia dla wielu ludzi wierzących, sytuujących się po prawej stronie sporów cywilizacyjnych. Jeśli więc godzisz się na wywiad dla portalu należącego do koncernu Agora, to musi to zwrócić uwagę. Wiem, to nie Ty do nich poszedłeś, ale to oni poprosili o rozmowę. A konkretnie uczynił to Grzegorz Sroczyński.

Przyjmij jednak, że dla przeciętnego czytelnika to niewielka różnica. Ważniejsze jest inne pytanie: Czy akurat gazeta.pl to najwłaściwsze forum do dywagacji o tym, czy PiS naprawdę ceni życie nienarodzone, czy tylko udaje? Dziwisz się, że to budzi sprzeciw? Przecież media Agory od blisko 30 lat lansują pełną dostępność aborcji. „Gazeta Wyborcza” to pismo, którego rolę w aborcji tzw. dziecka Agaty Ty najlepiej opisałeś na portalu „Frondy” i w swojej książce „Agata: anatomia manipulacji” (napisanej razem z Joanną Najfeld w 2008 r.).

„Jestem dumny z tego, że także Fronda przyczyniła się do demaskowania kłamstw, które środowisko »Gazety Wyborczej«, a i kierowany przez Maziar-

skiego »Newsweek« wtedy rozsiewały” – pisałeś w 2012 r. „Kłamstw, które miały jeden cel, zabić dziecko Agaty, doprowadzić do jego śmierci i do zmiany prawa, tak by można było zabijać jeszcze trochę więcej dzieci, żeby złożyć je w ofierze bożkowi śmierci” – zauważałeś.

Owszem, możesz zarzucić mi, że niekiedy bywam w Radiu TOK FM, gdzie też zawsze znajdzie się miejsce dla opinii zwolenniczek pełnej swobody w zabijaniu dzieci nienarodzonych. Nie chodzę jednak do radia przy Czerskiej, by dokonywać surowych sądów nad politykami z prawej strony w kwestii ich stosunku do obrony życia. Nie wydaję tam cenzurek, czy serio traktują idee pro-life, czy tylko grają o władzę.

Mam pretensję do Roberta Tekielego o to, że nadał swojej polemice z Tobą tytuł: „Czy Terlikowski zdradził”. Nie był to tytuł sympatyczny, ale pozwolił Ci w polemice uciec od istoty kontrowersji.

Odpowiedziałeś Tekiemu: „Nikt mnie nie werbuje, i dotyczy to nie tylko »Gazety Wyborczej«, TVN, lecz także KGB, CIA i Mosadu”. Zgrabne o tyle, że akurat ja nie podejrzewam Cię o to, że marzysz o przejściu do obozu „Wyborczej”. Chodzi o to, że trzeba widzieć, gdzie się co mówi. Dowcipne uwagi o tym, że tak samo jak nie wybierasz się na Czerską, nie lgniesz też do tajnych służb, to pusty chwyt retoryczny. Co ciekawe, w rozmowie ze Sroczyńskim w dalszej części wywiadu ubolewasz z powodu wielu wypowiedzi, w których występowałeś kiedyś w roli publicystycznego prowokatora, kogoś, kto przejawiał swoje tezy lub przejawia zbytni pryncypializm tak jak w przypadku Anny Grodzkiej. Jednocześnie w tej samej rozmowie przyjmujesz styl prowokatora à rebours. Mówisz o rzeczach ważnych dla wielu ludzi po prawej stronie w lekki, ale ultimatywny sposób. PiS? To żądni konserwatyści, tylko ludzie władzy. Norwegia – wiele rzeczy jest tam o wiele lepszych niż w naszej katolickiej Polsce.

Partia Razem? W wielu kwestiach byś się z nią dogadał.

Zabrakło jeszcze do pełni efektu wypowiedzi w stylu: „Wiem, że część katolickich czytelników po lekturze tego wywiadu uzna, iż jestem diabłem wcielonym i mam kopyta i ogon”.

Chociaż nie. Nie do końca. W tym stylu dziękowałeś w polemice Robertowi Tekiemu, że i tak potraktował Cię łagodnie. Łagodniej niż ci, którzy na Twitterze pisali, iż okazałeś się „sprzedajną szmatą”, „szmaciarzem”, a nawet „volksdeutschem”. Zastanawiałeś się w ramach polemiki, czy sformułowanie: „Czy Terlikowski jest volksdeutschem, czy się zeszmacił i sprzedał?” też brzmiałoby ciekawie? Bardzo tani ten chwyt. Zawsze można sięgnąć do sieciowego hejtu i znaleźć jakieś drastyczne wypowiedzi na swój temat. I epatować najgłupszymi sądami anonimowych idiotów z Internetu w ramach polemiki z kolegą-publicystą.

Dlaczego?

Co innego Sroczyński. Jego pytasz tylko parę razy o drobiazgi i raczej jedynie wygładasz jego przesadne wyobrażenia o prawicy. Przez większość wywiadu rozmowa toczy się jak na kozetce u psychoanalityka. Sroczyński łagodnie zachęca do wyznawania swoich traum, a Ty rozliczasz się z PiS.

ABORCJA I POLITYKA

Wróćmy do jednej z podstawowych tez wywiadu – gazeta.pl wybiła go jako tytuł rozmowy: „PiS to nie są konserwatyści. Grają rolę obyczajowej prawicy, ale grzeje ich tylko władza”.

Dotykasz problemu, który boli i nurtuje wielu katolików. PiS deklaruje od wielu lat, że jest za zakazem aborcji, a w praktyce zachowuje kompromis aborcyjny. Co budzi uzasadnione rozgoryczenie – nie formułuje tego stanowiska wprost, ale poprzez sejmową praktykę. Utrąca projekty zwiększające ochronę życia nienarodzonych z nieuleczalnymi chorobami za pomocą rozmaitych

szuczek proceduralnych. Dla Marka Jurka niezgodą na taką politykę była powodem zerwania z PiS i wyboru własnej drogi politycznej, która – jak każdy widzi – nie jest usłana różami. Szanuję taką postawę.

Jednocześnie jednak zauważam, że dla wielu katolików nie zmienia to decyzji o głosowaniu na PiS jako siłę, która nie godzi się na liberalizację prawa aborcyjnego ponad obecne zapisy. Czy to dużo, czy mało?

Dla Ciebie za mało. Dla mnie też.

Jednak w tej samej rozmowie ze Sroczyńskim sam wchodzisz w dywagacje, jaka jest skala ryzyka ostrej reakcji społecznej na zmiany w kompromisie aborcyjnym. Mówisz: „Ja wiem, że całkowity zakaz aborcji byłby w Polsce nie do przeprowadzenia, bo wywołałby bunt społeczny. Ale można było chociaż trochę tę granicę przesunąć i zakazać aborcji eugenicznej, zabijania dzieci z zespołem Downa i innymi wadami. To można było zrobić, społeczeństwo by to przyjęło. Ale oni nawet tego nie spróbowali”.

Terlikowski ma prawo oceniać, jaka byłaby cena społeczna zmian w ustawodawstwie. Jarosław Kaczyński już takiego prawa nie ma?

WSZYSCY TACY SAMI?

Jak głosisz, w kwestii stosunku do kompromisu aborcyjnego PiS nie różni się od Platformy, która w twojej opinii równie mocno broni obecnej formuły prawnej. Czyżby? Przecież PO była już na ścieżce do zwrotu na lewo w latach 2014–2015, gdy partią rządziła Ewa Kopacz. Na pierwszy plan wysunęła się wtedy pełnomocnik ds. równości, wojująca feministka prof. Maria Fuszara, która zaczęła sypać zapowiedziami zmian w kierunku „realizowania praw kobiet”. Nie dowiemy się, co by było, gdyby w 2015 r. Platforma wygrała. Podwójnie zwycięstwo odniósł PiS i zmusił Grzego-

rza Schetnę do zwrotu na prawo. Zachował poparcie dla kompromisu aborcyjnego, ale już w tej kampanii zaakceptował postulat związków partnerskich. Sam wskazywałeś kiedyś, że wszędzie na Zachodzie był to punkt wyjścia do późniejszej legalizacji małżeństw osób tej samej płci. Małgorzata Kidawa-Błońska mówi, że jeszcze za wcześnie na dyskusje o homomałżeństwach. Kiedy przyjdzie na to moment?

Wyobraźmy sobie, że po najbliższych wyborach PiS nie udaje się zdobyć większości. Powstaje koalicja PO-Lewica. Ilu platformersów postawi skuteczne veto hasłom szybkiej rekonkwisty obyczajowej? Zaprotestuje Barbara Nowacka czy Katarzyna Lubnauer? Jesteś pewien, że lewica nie postawi jako warunku

Zdrada, wspólnota i udowadnianie, że nie jestem wielbłądem



Tomasz P. Terlikowski

Tylko winni się tłumaczyć. To proste zdanie powinno wyczerpać całą odpowiedź na otwarty list Roberta Tekielego skierowany do mnie w ostatnim numerze tygodnika „Do Rzeczy”

Jesli zdecydowałem się dowodzić, że nie jestem wielbłądem, że nie zdradziłem i zdradzać nie zamierzam, to wyłączenie dlatego, że po pierwsze tekst wspólnoty narodowej i religijnej, obraz Roberta, którego nie chcę się zgodzić, a po drugie mimo że starcie diagnoz, iż wokół nas toczy się starcie cywilizacji, to inaczej (takie mam wyrażenie) je rozumiem, inaczej definiuję granice między cywilizacjami, a jakby w ten sposób, mam inne rozumienie środków, które można i trzeba w tej walce stosować. I tylko dlatego wchodzę w ten spór. Spór, który nie ma dla mnie charakteru osobistego, bo Roberta Tekielego lubię i szanuję, a który dotyczy raczej kwestii fundamentalnych. Zaczęć jednak od kilku wyjaśnień dotyczących faktów. Fakty w dyskusji są bowiem ważniejsze od opinii. Te są zaś takie, że ani ja nie współpracuję z „Gazetą Wyborczą”, ani ona nie

zachęca mnie do współpracy. Nikt mnie nie werbuje i dotyczy to nie tylko „Gazety Wyborczej”, TVN, lecz także „Gazety Polskiej”. Udziałem mediom związanym z Agorą drugiego czy trzeciego w całym moim zawodowym życiu wywiadu (a, zapomniałbym – brałem też udział przez lata w audycjach Radio TOK FM, ale od jakiegoś czasu, średnio licząc – od pięciu lat, w ramach próby werbunku zaprasza mnie tam tylko Tomasz Stawiszyński, a i on bardzo rzadko), tak jak udzielałem wywiadów „Tygodnikowi Powszechnemu”,

„Dziennikowi. Gazecie Prawnej”, „Polsce. The Times” i wielu innym pismom. Tylko z nielicznymi z nich współpracowałem i tylko nieliczne z nich chciały ze mną współpracować. Udzielenie wywiadów nie jest jedynie rozmową w danej gazecie, podobnie jak z jej przedstawicielem, podobnie jak to, że występuję czasem w programach Polsatu, nie oznacza, że jestem jego współpracownikiem. Kiedyś występowałem u Tomasza Lisa, co nie oznaczało, że jestem jego współpracownikiem. Nie wierzę, żebyś, Robertcie, o tym nie

powstania koalicji żądania legalizacji aborcji na życzenie?

Jedno jest pewne – w PiS takich haseł nikt nie stawia. W Platformie – owszem. To o jakim braku różnicy między PO a PiS mówisz?

I jeszcze jedno – skąd u Ciebie ta lekkość opinii? „PiS to nie są żadni konserwatyści, oni bardzo dużo mówią o sprawach obyczajowych, ale niewiele robią. Wywołują tylko kolejne gównoburze w Internecie, z których po tygodniu nic nie zostaje”. W innym fragmencie tekstu od niechęcia rzucasz: „Chcą tylko władzy”. Tak wszystko dobrze wiesz? Siedzisz w ich sumieniach?

Skądś pamiętam ten styl. Pamiętam, jak po wyborach w 1993 r. Zjednoczenie

Chrześcijańsko-Narodowe i inne partie konserwatywne nie dostały się do Sejmu. Pytany o to ówczesny sekretarz episkopatu bp Tadeusz Pieronek odpowiedział: „Trzeba było się więcej starać”. Ile wówczas było zachwytów liberalnych mediów, że sekretarz episkopatu potrak-

rozowaniem odbyć specjalny kurs. Mówisz w wywiadzie: „Jeśli tam rozwodzi się para, która ma dzieci do 16. roku życia, to musi odbyć rozmowę uświadamiającą, jakie będą skutki rozwodu dla dzieci. Dostają też narzędzia psychologiczne, żeby spróbować wyjść z kryzysu. I wiele małżeństw próbuje jednak ze sobą zostać”. Nie wiem, na ile ta metoda norweska jest skuteczna – nie podajesz żadnych liczb uratowanych związków.

Rzecz w czym innym. Mam wrażenie, że chwalenie Norwegii

cji 1968 r. – od aborcji przez przyjęcie całego pakietu żądań lobby homoseksualnego i absurdu poprawności politycznej do eutanazji. Nieliczni politycy w rodzaju lidera Ligi Matteo Salviniiego czy Viktora Orbána i Jarosława Kaczyńskiego, którzy nie godzą się na taki determinizm skreślu w lewo, są zwalczani w Unii na wszelkie sposoby. A Ty opowiadasz o politykach zachodniego liberalnego mainstreamu, którzy w odróżnieniu od bezideowego PiS robią coś wbrew wyborcom. Kpisz?

Sroczyński w wywiadzie pyta: „Polityka historyczna podoba ci się?”

Odpowiadasz: „I tak, i nie. PiS rzeczywiście zaczął wykorzystywać historię do budowania politycznej tożsamości. Tylko żeby cokolwiek dobrego z tego wyszło, obie strony musiałyby się godzić na poważną debatę. Przykład – postać Dmowskiego. To, co robił w latach 30., było dość paskudne, promował ordynarny antysemitizm. Ale to mu nie odbiera zasług w czasie odzyskiwania niepodległości. Jeżeli mamy budować własną tożsamość i wyciągać z historii wnioski, to nie możemy jednych postaci nieustannie piętnować, a innych nieustannie cukrować”.

Kto w PiS kukuruje Dmowskiego? Nie przypominam sobie żadnej wypowiedzi najważniejszych polityków rządzącej partii na temat lidera narodowców. A to, że w stulecie odzyskania niepodległości oddawano sprawiedliwość jego zasługom dla dyplomatycznej gry na rzecz powstania państwa polskiego, to inna kwestia.

Na koniec wywiadu dla gazeta.pl uznajesz Internet za źródło brutalizacji dyskursu politycznego. Na pewno masz sporo racji. Jednocześnie jednak radzisz internautom: „Zanim cokolwiek opublikujesz w Internecie, pomódł się, weź prysznic albo idź z psem na spacer. Każdy z nas, jak jest nakręcony, to pisze rzeczy ostrzejsze”.

Ciekawe, że tych dobrych rad nie zastosowałeś do siebie przed wywiadem ze Sroczyńskim. Tutaj rozdawałeś razy pewną ręką. Wolę już Twitera niż Twoje rozmowy z portalem gazeta.pl.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



tował partię Wiesława Chrzanowskiego i Marka Jurka tak samo jak każdą inną?

Tyle że jakiś czas potem SLD, korzystając z nieobecności w Sejmie prawnicy, przegłosował na nowo aborcję na życzenie. Okazało się, że ma znaczenie, czy u władzy są nawet grzeszni konserwatyści, czy rządzi lewica.

Twoja rozmowa ze Sroczyńskim ukała się niemal miesiąc przed wyborami. Naprawdę chcesz mi wmówić, że gazeta.pl nie nagłośniła bez satysfakcji tego, iż udało się jej zdobyć wypowiedź znanego publicysty katolickiego, który ogłosił, że PiS niczym nie różni się w sporach cywilizacyjnych od Platformy?

U KAŻDEGO COŚ DOBREGO?

Z wywiadu dla gazeta.pl dowiedziałem się, że twoim nowym wzorem jest Norwegia. Tam każą małżonkom przed

to epatowanie paradoksami. Kraina Norwegów kojarzy się polskim konserwatom z krajem totalnie zlaicyzowanym, z kapłaństwem kobiet w tamtejszym Kościele luteranckim. Krajem, w którym służby socjalne dość łatwo i arbitralnie zabierają dzieci rodzicom. Ty znajdujesz jeden czynnik godny pochwały i wskazujesz rządzącą w Polsce partii Norwegię jako wzór kraju, który winien zawstydzić PiS.

Ten styl poszukiwacza paradoksów wraca w twojej rozmowie ze Sroczyńskim raz po raz. Mówisz, że PiS-owcy „działają nie z pobudek ideowych, tylko w rytm słupek sondażowych. I za to cenię zachodnią lewicę, że potrafi coś zrobić wbrew sondażom, wbrew własnym interesom wyborczym, a po jakimś czasie ludzie, pod wpływem tego zmniejszonego prawa, zmieniają też poglądy. I to jest ta różnica”.

Różnica? Partie prawicy i centrum na Zachodzie dały sobie narzucić całą agendę rewolucji cywilizacyjnej genera-

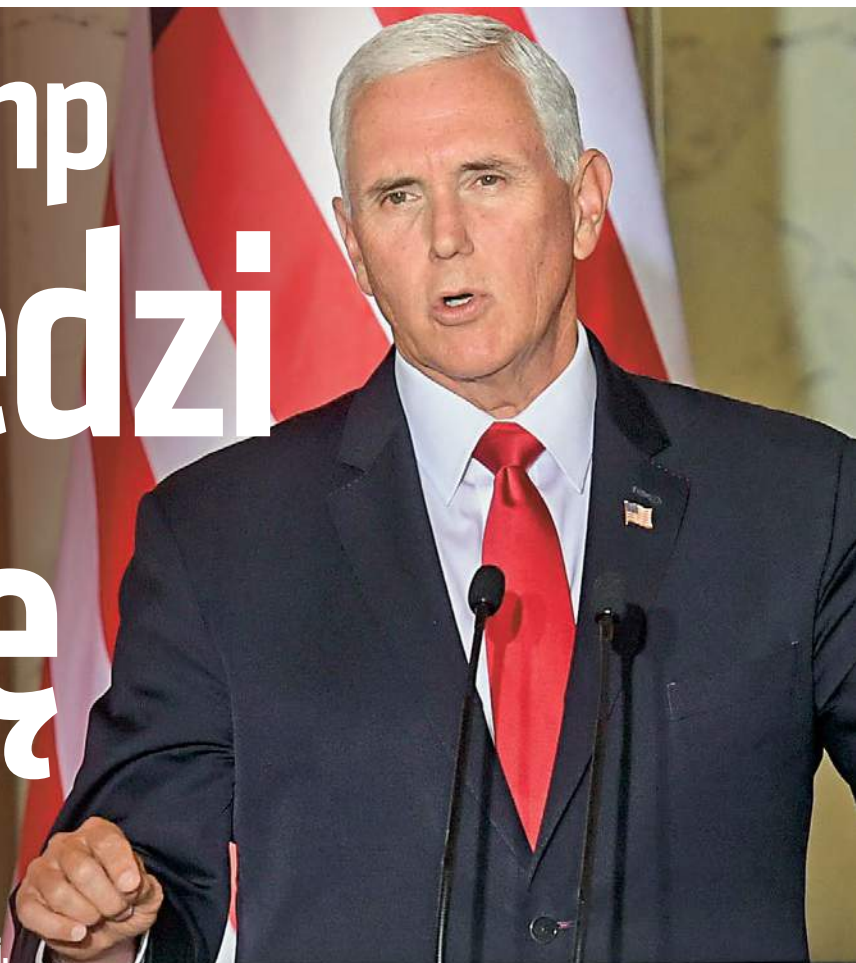
**ZA TYDZIEŃ OPUBLIKUJEMY ODPOWIEŹ
ROBERTA TEKIELEGO**

Kiedy Trump odwiedzi Polskę



Marek Jan Chodakiewicz

Prezydent USA cieszył się na wyprawę do Polski. Chciał powtórzyć sukces sprzed dwóch lat, gdy został przyjęty z entuzjazmem. Wysłał jednak wiceprezenta Mike'a Pence'a. W jego przemowie szczególnie ważne były słowa, które nie padły



Najpewniej taka forma przemówienia wiceprezidenta była prezentem dla Polaków. Były bowiem naciski na Białą Dom, aby Trump oraz Pence zajęli jasne stanowisko w kwestii roszczeń organizacji żydowskich oraz żądań LGBT. Na szczęście nieoficjalnie Izrael zgodził się nabrać wody w usta na czas prezydenckiej wizyty w Warszawie. A tubylcze, nadwiślańskie LGBT, bez zewnętrznego bodźca czy polecenia z zewnątrz, nie potrafiło sobie nic załatwić u amerykańskich gości.

Mimo tego Amerykanie byli bardzo ostrożni. Spodziewali się bowiem demonstracji KOD-ziarzy przeciw rzekomemu „łamaniu praworządności” oraz przeciw „prześladowaniu LGBT”. Jednakże alternatywna prawica obiecywała, że da popalić Trumpowi za wsparcie udzielane przez

dypłomację USA aktywistom LGBT oraz żydowskiemu ruchowi działającemu w sprawie restytucji tzw. mienia bezspadkowego.

Te wszystkie czynniki wpłynęły na to, co Ameryka chciała przekazać Polsce. Powtarzam: było miło, nawet z Pence'em zamiast Trumpa. Czas jednak przejść od pięknych deklaracji do konkretów, co na szczęście już się dzieje: wystarczy spojrzeć na postępy m.in. w sprawach energetycznych i obronnych.

CZYNY, A NIE TYLKO SŁOWA

Co już zostało spełnione? A co jeszcze powinno być spełnione? Trump zapowiada wizytę w Polsce „niebawem”. Trudno powiedzieć, czy to realne plany, czy tylko kurtuazyjne obietnice dla prezydenta Andrzeja Dudy. Nie spodziewajmy się jed-

nak zbyt wiele. Nie zapominajmy, że Trump reprezentuje interesy USA. Wypowiada się więc w imieniu swego kraju, nie zawsze spełniając polskie nadzieje. Gdybym miał jednak magiczną różdżkę, to amerykański prezydent, gdyby przyleciał do Warszawy, powiedziałby następujące rzeczy:

Po pierwsze, w kontekście rocznicy września 1939 r. pochwaliłby Polskę – która nie tylko walczyła pierwsza („First to Fight”), lecz także nigdy się nie poddała. Polskę, której duch walki pozwolił na powstanie Solidarności i która wolności się doczekała dzięki Ronaldowi Reaganowi i Janowi Pawłowi II. Trump wspomniałby Jana Olszewskiego, pierwszego premiera, który otwarcie twierdził, że Polska musi wejść do NATO.

Po drugie, podkreśliłby wagę sojuszu transatlantyckiego i moc amerykańskich



W przemówieniu Pence'a nie padły słowa na temat roszczeń organizacji żydowskich oraz żądań LGBT

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Po czwarte, Trump zachęcałby do zwiększenia wymiany naukowo-kulturowej między Polską a USA. Trzeba stworzyć specjalny fundusz stypendialny od szkoły średniej do poziomu postdoktoranckiego. Fundusz ten powinien uzupełniać obecnie dostępne stypendia.

Po piąte, dobrze by było usłyszeć o inwestycjach infrastrukturalnych w regionie Międzymorza. Chodzi o sprawy energetyczne, cybertechnologii oraz infrastrukturę transportu (porty, drogi, stacje kolejowe, drogi wodne oraz inne inwestycje). Prezydent powinien zachęcić resztę państw Intermarium, aby włożyły swoje pieniądze do tworzonych przez Polaków i Rumunów banków inwestycyjnych. A także zachęcić amerykański sektor prywatny bankowy do umieszczenia swego kapitału w takich projektach. Przede wszystkim jednak amerykański prezydent powinien omówić projekt amerykańskiego funduszu przedsiębiorczości i infrastruktury Międzymorza, powiedzmy na 100 mld dol., uchwalony i gwarantowany przez Kongres USA.

Po szóste, Trump powinien wyrazić zrozumienie dla problemu restytucji mienia. Instytucje religijne dostały już przecież większość zagrabionych majątków. Natomiast jednostki mogą odzyskiwać mienie indywidualnie za pośrednictwem sądów. Mienie bez spadkobierców – zgodnie z tym, co dyktuje tradycja prawa rzymskiego – powinno zaś trafić do państwa.

Po siódme, prezydent USA poświadczyłby publicznie, że wszyscy obywatele w RP są równi wobec prawa. Podkreśliłby, że Polska rozwiązuje swoje sprawy demokratycznie. Sprawy polskie zostawia Polakom. Oznacza to, że Departament Stanu przestałby agresywnie popierać ruch LGBT nad Wisłą. Nie można wtrącać się w wewnętrzne sprawy polskie.

CHAOS W BIAŁYM DOMU

To, co chcieliby usłyszeć Polacy, a to, co powinien powiedzieć Trump, powinno się na siebie nakładać. Czy tak będzie? To sprawa wielce wątpliwa. I to nie chodzi o brak dobrej woli, ale raczej o brak kompetencji. Pamiętajmy o chaosie w Białym Domu. Odeszło bądź zostało usuniętych wielu ludzi kompetentnych i przyjaznych Polsce. Na przykład po awansie do Biura Bezpieczeństwa Narodowego John Bolton usunął dr Nadię Schalow, która była najlepszą specjalistką od Międzymorza i przez lata pracowała ze mną nad tym projektem.

Do Białego Domu wrócili neokonserwatyści, gdzie dołączyli do całej plejady dworzan, którzy starają się albo niekompetentnie przypodobać Trumpowi, albo go dyskretnie sabotować. To dotyczy również projektu Trójmorza. Ta niekompetencja odbija się na treści prezydenckich przemówień. Ostatnio obóz ten przyjął poważny cios: wyleciał John Bolton, jedna ze sztandarowych postaci neokonserwatyizmu. To był człowiek, który chętnie zaangażował Polskę w awanturę w Iranie. I chociaż w zamian chciał szybko rozmieścić na terenie RP amerykańskie bazy, to i tak koszty ponieśliby Polacy. Teraz, gdy on zniknął, jest większe pole do manewru. Bazy być może pojawią się nie tak szybko, ale jednocześnie Warszawa doświadczy mniejszych nacisków, aby się zadeklarować jako przeciwnik Teheranu.

Po przylocie do Warszawy prezydent Donald Trump powinien wyrazić zrozumienie dla problemu restytucji mienia

Wracając do mechanizmów prezydenckich przemówień: naturalnie – jak zwykle – podrzuca się z zewnątrz rozmaite memoranda czy sugestie w kwestii polskiej podróży prezydenckiej. Niestety, nie ma gwarancji, że takowe zostaną przerobione odpowiednio przez białodanowych pisarzy. Mogą być zupełnie zignorowane, a tam, gdzie nie brakuje eksperckiej wiedzy, wypływa ignorancja.

Próbki przerażającej niekompetencji pisarza przemówień z Departamentu Stanu Polacy już zakosztowali, gdy w lutym tego roku zjawił się w Warszawie sekretarz stanu Mike Pompeo. W swoim przemówieniu pochwalił żydowskiego ubekę jako przykład „polsko-amerykańskiej historii sukcesu”, aby potem bić w bęben żydowskiego ruchu roszczeniowego. In extremis, można się spodziewać właśnie takiej kompromitacji Trumpa. Jednakże jest nadzieja, że prezydent USA znów przemówi ludzkim głosem. Zależy, czyjej rady wysłucha. I zależy od tego, czy przyjedzie. Zbliżają się bowiem wybory, a to jest jeszcze ważniejsze niż huragan Dorian.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

zobowiązań oraz kluczową pozycję Polski w ramach NATO. „First to Fight” to jest właśnie filozofia NATO oraz USA.

Po trzecie, Trump ogłosiłby zniesienie wiz (dołączenie Polski do programu Visa Waiver). Sprawa w praktyce nieważna, bo każdy Polak może sobie pojechać na saksy do Europy Zachodniej. W wymiarze symbolicznym i pragmatycznym jest to jednak sprawa kluczowa. Symbolicznie zniesienie wiz oznacza, że USA traktują swych aliantów Polaków tak jak Niemców, czyli swoich byłych wrogów z II wojny światowej. Ponadto zniesienie wiz oznacza, że prezydent USA dotrzymuje słowa w takiej kwestii, czyli można mu wierzyć, iż USA wywiążą się wobec Polski ze zobowiązań sojuszniczych w ramach NATO.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Mustangi z Czarnobyla

Ostatnio wielu moich znajomych eksytowało się seriałem „Czarnobyl”. Jeszcze go nie oglądałem, ale za to pojechałem do prawdziwego Czarnobyla, żeby – specjalnie dla państwa – przedstawić relację z tego miejsca.

Warto podkreślić, bo może nie wszyscy to wiedzą, że do zamkniętej strefy wokół dawnej elektrowni atomowej organizowane są legalnie i całkowicie bezpieczne wycieczki. Trzeba nawiązać kontakt z firmami turystycznymi z Kijowa, które organizują takie wypadki, zaklepać termin i trochę kasy i wyruszyć na Wschód. Najlepiej jak najszybciej, bo po serialu fala turystów znacznie się powiększyła, a prezydent Zełenski zapowiedział niedawno, że uczyni z Czarnobyla największą atrakcję turystyczną Ukrainy.

Na razie – może z wyjątkiem weekendów i sezonu letniego – da się kontemplować miejsce katastrofy w ciszy i spokoju. Ja zwiedzałem zamkniętą strefę z trójką towarzyszy i owszem, widzieliśmy inne grupy turystów, ale nie skrobaliśmy sobie marchewek.

Droga do Prypeci – czyli miasteczka, które najbardziej ucierpiało w katastrofie – wiedzie przez samą elektrownię. O dziwo, do sarkofagu, w którym pogrzebany jest uszkodzony reaktor, można podejść bardzo blisko. Sarkofag to błyszcząca kopuła gigantycznych rozmiarów pod którą znajduje się 36 tys. ton stali i betonu (zaraz obok niej wybudowano fabrykę cementu). Sarkofag przykrył nie

tylko reaktor, lecz także jego poprzedni grobowiec, który okazał się nieszczelny.

Większe wrażenie robi jednak opuszczone miasto. Zdewastowana Prypeć, z której uciekli ludzie, została przejęta przez naturę. Wzorcowe, a wręcz utopijne miasto doskonałe, z wygodnymi mieszkaniami, teatrem, klubami kultury, kawiarniami, imponującym stadionem, sprawia wrażenie komunistycznego Angkor Watu, opanowanego przez dżunglę. Korzenie drzew rozsadzają beton niektórych budynków i przebijają się przez asfalt upiornego wesołego miasteczka, które miało zostać hucznie otworzone 1 maja 1986 r. Las pochłonął miasto.

Jakby tego wszystkiego było mało, w pobliżu elektrowni Rosjanie wybudowali konstrukcję, którą nazwano Oko Moskwy. To monstrualnej wielkości szereg metalowych instalacji, długich na kilkaset metrów. Są różne teorie, czemu miały służyć te mamucich rozmiarów anteny. Do obsługi wojskowych instalacji potrzebna było kilkuset żołnierzy, dla których wybudowano super-tajne miasteczko zwane Czarnobylem 2. Co ciekawe i jakże radzieckie, nie ma pewności, czy urządzenie kiedykolwiek działało.

Tam, gdzie człowiek poniósł klęskę, przyroda radzi sobie doskonale. Kilka lat po katastrofie do strefy zamkniętej wypuszczono sześć koni, by zobaczyć, jak sobie poradzą w niepewnym terenie. Dzisiaj po czarnobylskich lasach galopuje sobie ponad 30 mustangów. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Jaka śmieszna katastrofa

Coraz częściej dochodzę do wniosku, że jeśli ludzkość spotka zagładę, to nie stanie się to za sprawą kosmicznej katastrofy, wielkiej wojny czy ekologii, ale z powodów bardziej banalnych – głupoty i postępującego schamienia. „Schamienie dobrowolne” jest zjawiskiem nieznanym w dziejach – owszem, inwazje barbarzyńców powodowały załamywanie się cywilizacji, chociaż przeważnie nie do końca. Zdobywcy snobowali się na kulturę swych poprzedników, niewolników brali na nauczycieli, a żony-branki z wolna wpływały na łagodzenie obyczajów.

Co prawda, zdarzały się rewolucje, choćby francuska czy bolszewicka, które lubiły epatować prostactwem, ale bardzo szybko ulegały przebudowie cywilizacji. Tak było od wieków. Chłopi z czworaków podglądali dziedziców, uczyli się mówić „per pan” i cmokać baby w ręce, muzyka ludowa bywała często nieudolnym naśladownictwem dworskiej, a wpływ mody rzutował na warstwy najbardziej opóźnione. Zachowanie kulturalne było modne, wszyscy znali pewne słowa, ale nie wypadało ich używać. Również nikomu nie przychodziło do głowy windować na piedestał głupoty. Śmieszność powszechnie uchodziła za coś wstydlivego. Aż do teraz.

Dzisiaj wolność od rozumu nie ma granic – kiedy czytam, że weganki tłuką jajka, aby nie dopuścić, by kury były okradane, i walczą z seksizmem kogutów, które niewolą samice, podobno

wbrew ich woli, mogą się jedynie śmiać.

Przestaje to być śmieszne, kiedy z przyzwoleniem spotyka się prawo do adopcji dzieci przez pary homoseksualne, a prawo pod groźbą więzienia zakazuje propagandy antyaborcyjnej.

Wszystko jednak przebił dramat pewnej kobiety, która postanowiła poddać się eutanazji, tylko – ku zaskoczeniu wszystkich – w trakcie zabiegu zmieniła zdanie. Do końca walczyła o życie, podczas gdy jej kaci czynili wszystko, aby ją zabić. I udało się, ku zadowoleniu całej postępowej ludzkości!

Czy przez świat przetoczyła się fala protestów? Czy odezwały się instytucje etatowo zajmujące się obroną praw człowieka? Jeśli tak, to bardzo cichutko. Świat, w którym najgorsi terroryści zażywają w więzieniach prawdziwego komfortu, bezlitośnie morduje nienarodzonych i pozbywa się nieprodukcyjnych. Hitler w piekle rechoce z uciechy! Chociaż może się mylę, według obecnych autorytetów Kościół piekło jest przecież puste! Gdyby zapytano mnie, co jest powodem stale powiększającej się paranoi, odpowiedziałbym – pułapka relatywizmu. Brak twardych zasad i norm powoduje, że ludzkość staje się igraszką wpływowego lobby... Wróć! Dotyczy to jedynie „wysoko rozwiniętej ludzkości”, ta bardziej zacofana broni swoich wartości i mam nadzieję, że je obroni, tylko że wtedy będę chciał należeć do tego Trzeciego Świata. ©©



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zderzenie światów

Zołnierze jechali wozami ciągnionymi przez małe koniki. Uprząż powiązana sznurkami. Ubrani byli jak. Dużo skośnookich. Na plecach jakieś worki, podarte obuwie. Sprzęt wojskowy również ciągnęły małe konie. Widać było, że ludzie i konie są głodni. Każde przydrożne drzewo owocowe zostało natychmiast ogołocone z owoców, a przydrożne ogrody z warzyw. Jedli surowe warzywa i zbierali do worków – plecaków powiązanych sznurkami. Odnosiło się wrażenie, że nigdy niczego nie widzieli i zawsze byli głodni. Nędzne i biedne wojsko”.

To fragment relacji Wandy Woźniak z Dubna, którą w swojej książce „Czerwony najazd” opublikował Dariusz Kaliński. Relacja ta dotyczy oczywiście żołnierzy Armii Czerwonej, którzy 17 września 1939 r. wkroczyli do Polski. Mimo że ziemie wschodnie nie należały do najbogatszych części Rzeczypospolitej, dla bolszewików były nicyzm eldorado. W porównaniu z bezgraniczną nędzą kołchozów i miast Związku Sowieckiego nawet najbardziej zapadłe zakątki Polesia jawiły się jako kraina mlekiem i miodem płynąca.

Dla ludzi sowieckich, których władza wzięła w kamasze i wysłała do Polski, musiał to być

szok. Krzykliwa propaganda wmawiała im bowiem, że zgniły kapitalistyczny Zachód znajduje się na skraju głęsi głodowej. Że Francuzi z głodu zjadają żaby, a w Polsce dzieci umierają na ulicach z wycieńczenia...

W efekcie żołnierze Armii Czerwonej budzili często nie tyle strach, ile współczucie i politowanie. Polacy wiedzieli bowiem, że są to ludzie przybywający z piekła.

Wywarli oni na mnie i na moich kolegach wrażenie niesamowicie negatywne w porównaniu z wojskiem polskim i niemieckim – wspominał Adam Żarski. – Żołnierze radzieccy byli źle ubrani, niejednokrotnie buty ich były powiązane drutami lub sznurkami z uwagi na odrywające się podeszwy. Pasy przy spodniach Rosjanie mieli parciane. Żołnierze chodzili zawsze głodni i kiedy nie było oficera w pobliżu, pytali nas, gdzie można by zdobyć coś do jedzenia”.



★★★★★

DARIUSZ KALIŃSKI
„CZERWONY
NAJAZD”
CIEKAWOSTKI I
STORYCZNE.PL

Największym atutem książki Dariusza Kalińskiego „Czerwony najazd” jest to, że opisując agresję 17 września, autor nie ograniczył się tylko do strony militarnej, pokazał również zderzenie dwóch światów, jakim było wkroczenie żołnierzy Armii Czerwonej na teren kapitalistycznej Polski. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Skrytobójstwo w czasach Piastów

Jednym z polskich mitów narodowych jest twierdzenie, że podobno nigdy nie splamiliśmy się królobójstwem. Może faktycznie „żaden król nie stał u nas na szafocie”, ale kilku władców z dynastii Piastów zakończyło życie w gwałtownych okolicznościach. I nie chodziło o dzielnicowe książątka, ale o przedstawicieli królewskiej linii dynastii. Zamordowano trzech synów Bolesława Chrobrego (Bezpryma, Mieszka II, Ottona), a wygnanego Bolesława Śmiałego dopadli na Węgrzech polscy skrytobójcy. Tragiczny los spotkał także jego syna, Mieszka, którego brat i następca ojca, Władysław Herman, wezwał do powrotu do kraju z wygnania (chłopiec wraz z matką towarzyszył Śmiałemu).

Nie wiadomo, czy Władysław Herman wziął czynny udział w buncie przeciwko bratu. Chorowity i pozbawiony energii życiowej wcześniej nie interesował się polityką. Jednak po wygnaniu Śmiałego przez zbuntowane rycerstwo nie miał wyboru, pozostał bowiem ostatnim przedstawicielem dynastii w kraju, a odmowa oznaczała odsunięcie Piastów od tronu.

Inna sprawa, że nie zajmował się sprawami państwa, pozostawiając rządy w rękach palatyna Sieciecha. A ten człowiek lubił władzę, miał ogromne ambicje i niebawem został osobą numer jeden w Polsce. Był nie tylko najwyższym świec-

kim urzędnikiem, lecz także naczelnym dowódcą wojska, a jego ludzie zarządzali grodami. Bił nawet monetę z własnym wizerunkiem, co dotychczas było przywilejem wyłącznie panujących!

Zagrożeniem dla władzy Sieciecha był jednak młody Mieszko i sprowadzenie go do kraju stało się polityczną koniecznością. Zawsze bowiem mógł powrócić do Polski na czele obcych wojsk, gdyż niejednen z sąsiadów Polski chętnie wykorzystałby jego osobę jako pretekst do najazdu na państwo Piastów. Tym bardziej że młody książę miał w kraju wielu zwolenników niezadowolonych z rządów Sieciecha.

Ostatecznie 17-letni Mieszko osiadł w Krakowie, ożenił się z ruską księżniczką i starał się nie mieszać do polityki. Dawni stronnicy jego ojca widzieli w nim jednak przywódcę opozycji, a wielu niezdecydowanych przyciągał miły charakter młodego księcia. W Krakowie gromadzili się przeciwnicy Sieciecha, czego palatyn nie mógł tolerować. Po trzech latach pobytu w kraju, 30 września 1089 r., Mieszko został otruty podczas uczty.

Młody książę zmarł bezpotomnie i z męskich członków dynastii przy życiu pozostali jedynie Władysław Herman i jego dwaj synowie. Niebawem wrogowie Sieciecha mieli wykorzystać młodych książąt do rozpętania wojny domowej. Ale to już inna historia... ©©

Humień

– miejsce zapomniane?



Adam Hlebowicz
z Humenia

Ukraińskie miasto w niewielu akcentach przypomina dziś o polskiej historii

Umań, czyli miejsce zapomniane – tak można przetłumaczyć na polski ukraińską nazwę miasta. Faktycznie, nam, mieszkańcom Polski, to średniej wielkości miasto (ponad 80 tys. mieszkańców) znajdujące się w środkowej części Ukrainy, trochę na południe od stolicy kraju – Kijowa, wydaje się, że od wielu lat jest zapomniane. Pierwsze skojarzenie miejscowości z historią Polski to rzeź humańska z 1768 r. Wtedy to w ramach tzw. koliszczyny, czyli rzezi dokonywanych przez hajdamaków oraz zrewoltowane chłopstwo na Polakach i Żydach zamiesz-

kujących Dzikie Pola, do najstraszniejszego aktu przemocy doszło właśnie w Humaniu. Czerń w niezwykle okrutny sposób wymordowała kilka tysięcy mieszkańców, przede wszystkim polską szlachtę i żydowskich kupców. Na czele rzezi stanął kozacki setnik Iwan Gonta, stracony potem przez Polaków. Dzisiaj ten sam Gonta ma na Ukrainie swoje pomniki, ku jego czci nazywane są ulice miast, m.in. we Lwowie. Jeden z takich pomników, gdzie Gonta stoi obok innego z przywódców rebelii z 1768 r. Maksyma Żeleźniaka, stoi przy jednej z głównych ulic Humania.

Humień to jednak na szczęście nie tylko rzeź, lecz także z pewnością coś więcej. To tutaj na początku XIX w. nauki w miejscowej szkole bazylianów pobierali: Seweryn Goszczyński, Bohdan Józef Zalewski i Michał Grabowski. Stworzyli grupę literacką, którą potem nazwano „szkołą ukraińską polskiego romantyzmu”. Opiewali w swoich utworach motywy ukraińskiego krajobrazu, folkloru,

często w tych dziełach pojawiają się step i pełen tajemnic Kozak. Klasztor Bazylianów przetrwał do dziś, o roli Polaków można przeczytać na obszernej tablicy informacyjnej, a dla chętnych są nawet podziemia klasztorne do zwiedzania.

SKAUTING PO HUMAŃSKU

Jeszcze ciekawiej było w Humaniu na początku XX w. To w tutejszym gimnazjum kształciło się wielu młodych Polaków pochodzących z dworów znajdujących się na wschodnim Podolu. Tutaj pierwsze nauki pobierali legendarny dziejopis polskiego harcerstwa Aleksander Kamiński, późniejsze ofiary Charkowa i Katynia ppłk Wacław Budrewicz i kpt. Rajmund Duracz, powstańcy warszawscy, dowódca plutonu głuchoniemych Edmund Malinowski i Wacław Zagórski ps. Lech Grzybowski, wybitny dowódca batalionu w Zgrupowaniu „Chrobry II”. Stąd wywodzą się późniejszy profesor Politechniki Warszawskiej Leon Borowski oraz polityk II RP i poseł

z ramienia Narodowej Demokracji Aleksander Dębski. Szczególne znaczenie dla formowania postaw młodych Polaków miało w tych latach harcerstwo. Kijów, Biała Cerkiew i Humań należały do najprężniejszych ośrodków tworzącego się właśnie polskiego skautingu. Stąd już była bardzo prosta droga do działań niepodległościowych, najczęściej powiązanych z działalnością w Polskiej Organizacji Wojskowej. W maju 1915 r. było w Humaniu 19 harcerzy i harcerek. Jak wspominał w okresie międzywojennym Stanisław Sedlaczek: „W Humaniu mieliśmy silne środowisko harcerskie, któremu przewodził jako hufcowy Tadeusz Maresz, a poparcie społeczeństwa zapewniał patronat z mec. Mirosławem Sawickim, późniejszym wiceprzewodniczącym ZHP”.

Momentem kulminacyjnym działalności harcerstwa w Humaniu było przyjęcie 7 kwietnia 1918 r. „Żelaznej Brygady” gen. Józefa Hallera. „Haller zsiada i przechodzi przed frontem drużyn. Czuwaj! Drużyny odpowiadają: Czuwaj! – według zwyczaju humańskiego dzielone na dwa takty, z akcentem na drugiej zgłosce”. Niestety, rządy i panowanie bolszewickie zatrzymały, a potem zniszczyły tę pracę. W grudniu 1919 r. pisano z Humania: „Jakoś jeszcze żyjemy, pomimo wszystko, co się tu działo – obecnie zupełnie normalnie pracujemy. Ale skóra nam cierpnie na samą myśl, co tu niezadługo będzie, bo bolszewicy są już niedaleko. Kto może, ucieka, Humań strasznie opustoszał”.

I jeszcze wspomnienie kilku nazwisk, dziś zapomnianych harcerzy z Humania, którzy wtedy oddali życie za walkę o niepodległość: Józef Oleksiuk – zginął w walce z bolszewikami pod Osowcem; Julian Pawczyński – żołnierz polskiej armii w Murmańsku, więziony w Moskwie, tam zachorował, po powrocie do rodzinnego Humania zmarł w październiku 1918 r.; Stanisław Rosiński – padł w walce z bolszewikami w 1920 r. Na szczęście wielu młodych ludzi z tego środowiska przekradło się do wolnej Polski i tam kontynuowało swą pracę w służbie Niepodległej. Byli to m.in. wybitni później działacze harcerscy: Stanisława Czajkowski, Janusz Wierusz-Kowalski, Oskar Żawrocki.

ZOFIÓWKA

„Strać tutaj pamięć nieszczęście, a szczęścia przyjm wieszczce, A jeśliś jest

szczęśliwy, bądź szczęśliwszym jeszcze” – to bodaj jedyny napis w języku polskim, która można odnaleźć we współczesnym Humaniu. Jest umieszczony w grocie Kalipso w jednym z najpiękniejszych parków na świecie. Stanisław Szczęśny Potocki, barwna, a zarazem tragiczna postać polskiej historii, stworzył ten park pod koniec XVIII stulecia dla swej pięknej greckiej żony Sofii z domu Glavani. Zofia była jedną z najpiękniejszych kobiet swej epoki, tyle że była kurtyzaną, a niekiedy bywała szpiegiem. Oprócz pomniejszych historycznie postaci była kochanką rosyjskiego ministra Potiomkina, Ludwika Burbona (późniejszego króla Ludwika XVIII), gubernatora Nowosilcowa. Szczęśny Potocki, jeden z najbogatszych

i tajemnicze groty. Jedną z tych, które przetrwały do dziś, jest nawiązująca do antyku Kalipso. Znajdujący się na utrzymaniu Potockiego oświeceniowy poeta Stanisław Trembecki opisał ten stworzony ręką człowieka cud natury w poemacie „Sofijówka”.

Szczęśny Potocki zmarł, kiedy kończono budowę parku. Paradoksalnie, syn zdrajcy – Aleksander – utracił majątek w Humaniu za udział w powstaniu listopadowym. Park przejął car Mikołaj I, a z jego terenu niezwłocznie usunięto pomniki księcia Józefa Poniatowskiego i Tadeusza Kościuszki. Potem była tu szkoła ogrodniczo-rolnicza. Dzisiaj w pobliżu mieści się Instytut Ogrodniczy. Tragiczna dla parku była zima 1979 r., kiedy wymarzło wiele starych krzewów i drzew.

Park na niepodległej Ukrainie został odrestaurowany. Przychodzi tu wielu mieszkańców Humania, sporo gości zagranicznych. Szkoda, że tak niewiele można obecnie dowiedzieć się na miejscu o polskich korzeniach tego miejsca, o postaciach Szczęsnego Potockiego, pięknej Bitynki czy ich syna Aleksandra. Co najwyżej u miejscowych handlarzy można nabyć pamiątkowy magnes z podobizną któregoś z Potockich. Większe tłumy gromadzą się paradoksalnie w nowej Zofiówce, właśnie świeżo otwartej dla publiki w pobliżu zabytkowego parku polskich arystokratów. Wybudowana przez miejscowego polityka drażni wschodnim przepychem w nie najlepszym stylu. Cóż, Potocki, choć zdrajca, wiedział, co to znaczy dobry smak.

TEL AWIW W HUMANIU?

Spacerując starą Zofiówką, można się natknąć na duże grupy orientalnie wyglądających kobiet, otoczonych wianuszkami dzieci. Część pań nosi na głowach peruki. Mijając te grupki, usłyszeć można język hebrajski. Jeszcze bardziej zaskakujące obrazki można odnaleźć w jednej z dzielnic miasta o nazwie Turok. Ogromne reklamy naścienne wyłącznie w oficjalnym języku hebrajskim. Na pobliskim podwórku uganiają się za piłką pejsacy chłopcy. Łatwo się w tej okolicy poczuć jak w ortodoksyjnych dzielnicach Tel Awiwu lub Jerozolimy.

Tajemnica wyjaśnia się, gdy docieramy do miejsca, które jest powodem obecności tak licznych „starszych braci w wierze”. To grób chasydzkiego rabina Nachmana z Bracławia, zmarłego



Niektóre ulice w Humaniu wyglądają jak przeniesione z Izraela. FOT. ADAM HLEBOWICZ

ludzi w Europie, mason, generał i targowiczanie, wydał bagatela 20 mln zł na jeden z najbardziej imponujących parków krajobrazowych. Posadzono tu 512 gatunków różnorodnych drzew na 160 ha gruntów. Zgodnie z duchem epoki park miał charakter romantyczny. Pełno tu było kanałów, spiętrzeń wody, kaskad, wodospadów. Na jednym ze stawów wybudowano największy wodotrysk w Europie. Skały, labirynty, wazy, no



Stanisław Szczepny Potocki i piękna Bitynka,
mural przy Nowej Zofiówce FOT. ADAM HLEBOWICZ

■ w 1810 r., który pozostawił po sobie dzieło „Likutej” – zbiór opowieści i traktatów moralnych, które inspirują chasydów z całego świata po dziś dzień. Został pochowany, tak jak sobie tego życzył, na humanistycznym cmentarzu żydowskim, wśród ofiar koliszczyny, „wśród świętych męczenników, którzy oddali swoje życie za wiarę”. Z tego powodu od kilku lat nie tylko przyjeżdżają tutaj żydowscy pielgrzymi, lecz także się tu wręcz osiedlają. Żeby wejść do grabu cadyka, trzeba nałożyć na głowę kipę. W środku dość obszernego budynku są części przeznaczone tylko dla kobiet i części męska. W tej ostatniej kilkunastu ortodoksów głośno odmawia modlitwy, niektórzy stoją przy grobie Nachmana, dotykając go rękoma, i bezgłośnie wypowiadają słowa psalmów. Może przyciągają ich słowa chasyda: „Starość jest naganna. Człowiek zobowiązany jest codziennie odradzać się i zaczynać wszystko od nowa”.

Miejscowi Ukraińcy skarżą się jednak na przybyszów z Bliskiego Wschodu. Twierdzą, że ci dewastują wynajmowane domy lub mieszkania, nie szanują miejscowych ludzi, a niekiedy dochodzi nawet do siłowych przepychanek. Jednak to bardzo dobrzy klienci. Za wynajem nieruchomości płacą w dolarach i to takie ceny, na które trzeba pracować jeden miesiąc lub dwa w Polsce. Część dawnych blokowisk przy ulicy Puszkina została wykupiona przez Żydów. Oryginalnie wyglądają napisy z nazwami ulic i numerami domów, zapisane po rosyjsku, ukraińsku i hebrajsku. Podobno na święto Rosz Haszana przyjeżdża tutaj ponad 30 tys. ortodoksów z całego świata. W ostatnich latach dochodziło z obu stron do gorszących prowokacji.



Zofiówka – park, który dla żony stworzył
Stanisław Szczepny Potocki FOT. ADAM HLEBOWICZ

„Nieznani sprawcy” porzucili przy domu z grobem cadyka świński ryj z wyróżnioną na nim swastyką, a grób świętego chasyda został obłany czerwoną farbą. Inni „nieznani sprawcy” zbezczeszcili figurę Chrystusa stojącą nad rzeką, oblamując ręce wiszącemu na krzyżu. Wet za wet, bez taryfy ulgowej. Miejmy jednak nadzieję, że do nowej koliszczyny w Humaniu już nie dojdzie.

ŚWIĄTYNIA GALERIĄ SZTUKI

Takich przypadków w Związku Sowieckim było wiele. Świątynie, nie tylko

katolickie, lecz także innych wyznań chrześcijańskich, były zabierane przez państwo i przeznaczone na cele świeckie. Jeśli to było muzeum, nawet ateizmu, o paradoksie, to pół biedy. Budynek był remontowany, a w czasach niepodległej Ukrainy można go było odzyskać i przywrócić mu stan sakralny. Gorzej, gdy świątynie stawały się magazynami, zwłaszcza soli lub nawozów sztucznych, fabrykami czy gorzelniami. Wówczas je strasznie dewastowano, a niejednokrotnie także drastycznie przebudowywano.

Jednak to, żeby dzisiaj, mimo działającej w mieście wspólnoty katolickiej, nie oddać im prawowicie do nich należącej świątyni, jest sytuacją doprawdy rzadką. Kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny został wybudowany za pieniądze Szczepnego Potockiego i dlatego jest w stylu klasycystycznym. W roku 1934 świątynię zamknięto dla celów religijnych, obie wieże kościelne zostały rozebrane. Od 1974 r. mieści się tu miejska galeria sztuki. Nabożeństwa katolickie odbywają się tu tylko w niedziele. Wierni modlą się wśród interesujących dzieł sztuki. Zwraca uwagę płótno Petera Bruegla Młodszego „Orszak weselny narzeczonego”. Jednak obok jest sporo dzieł polskich malarzy, m.in. Rafała Hadziewiczza, Leopolda Horowitza, Konrada Krzyżanowskiego, Alojzego Reichana. Większość tych obrazów została zrabowana w okolicznych arystokratycznych pałacach i szlacheckich dworach. Uwagę przykuwa nagrobek Klementyny z Kossowskich Iwańskiej dłuta Cypriana Godebskiego. Nieduża wspólnota katolicka licząca ok. 50 osób, w tym głównie Polaków, liczy jednak na odmianę losu i pełen zwrot zabytku. Spór toczy się od 1995 r., kiedy po raz pierwszy od zamknięcia świątyni przed 61 laty odprawiono tu mszę świętą. Władze miejskie twierdzą, że nie mają gdzie przenieść galerii, i żądają od małej wspólnoty wybudowania nowego budynku, gdzie będzie je można eksponować. Katolicy odpowiadają – nie stać nas na taki wydatek. Na razie nie widać końca tego sporu. Jak zauważa pracujący od wielu lat na Ukrainie diakon dr Jacek Jan Pawłowicz, może polskie miasta partnerskie Humania – Gniezno, Kórnik, Łowicz, Szprotawa – wesprą nielicznych rodaków w przywróceniu historycznego status quo ante.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Biura Edukacji Narodowej IPN.



DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ III

Zbrodnie ukraińskie

- To się nazywa ludobójstwo straszliwe
- Samogonem opijali „zwycięstwo”...
- Zbrodnia i ocalenie na plebanii
- Uciekłem śmierci spod topora...



Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości,
którego dysponentem jest minister sprawiedliwości

Organizatorzy:

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl 34039ccb9

Spis treści

IV-V

LUDOBÓJSTWO STRASZLIWE

Ewa Siemaszko i Maciej Rosalak

To, co się tam wydarzyło, uprawnia do określenia zbrodni wołyńskiej jako genocidum atrox, czyli ludobójstwo straszliwe, dzikie, okrutne

VI

UPA – STRUKTURY ZBRODNI

Maciej Rosalak

Złowroga UPA – Ukraińska Powstańcza Armia – wyrosła jako zbrojne ramię OUN. Tradycja sięgała do krwawego terroru szerzonego już w II RP

VIII-X

WOŁYŃ TRUPICH PÓŁ

Piotr Zychowicz

Żadne zbrodnie na narodzie polskim nie przybrały tak makabrycznej, tak mrożącej krew w żyłach formy jak ludobójstwo na Wołyniu

XII-XIV

DRAMAT W KISIELINIE

Tomasz Stańczyk

Nieprzypadkowo UPA wybrała niedzielę, gdy Polacy brali udział we mszy świętej. Banderowcom wystarczyło podejść pod kościół...

XV-XVII

OCALONY Z CHRYNOWA

Zygmunt Maguza i Piotr Włoczyk

„Dziadek leżał na podłodze na prawo od drzwi. Właściwie nie było widać głowy, była jakby wbita siekierą w ciało, w płuca”



REDAKCJA:
Redaktor: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Włodzimierz Zakrzewski (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**,
Przemysław Traczyk
Korekta: **Anna Zalewska**
Okładka: **IPN**



Geneza zbrodni OUN



Miasteczko Bereźne w powiecie kostopolskim. Pogrzeb zamordowanych przez UPA mieszkańców kolonii Zalesie

FOT. ZBIORY EWY SIEMASZKO

Kozacy Bohdana Chmielnickiego kierowali się w połowie XVII w. ideologią równie wyrafinowaną jak budowa cepa: wyrznięć wszystkich Lachów, księży katolickich i Żydów! Niespełna trzy stulecia później ich następcy z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów dokonali wyteżonej pracy myślowej i stworzyli konstrukcję dostosowaną do zmienionych warunków dziejowych, a mianowicie księży przesunęli do kategorii wszystkich Lachów, a dodali moskiewską komunę. W ich śpiewnym języku nowe hasło brzmiało: „Śmert lacham, żydam i moskowskiej komunii!”. Mordy wiązały się z zadawaniem ofiarom wyjątkowo strasznych męczarni, co nie zmieniało się od wzięcia Baru w 1648 r. poprzez tragedię Humania w 1768 r. aż do rzezi Wołynia w 1943 r. OUN, która powstała w 1929 r. na zjeździe radykalnych nacjonalistów w Wiedniu, wykorzystała tezy wzięte z „Nacjonalizmu” Dmytro Doncowa, napisanego trzy lata wcześniej. Autor (notabene doktor prawa Uniwersytetu Lwowskiego) akurat wtedy był owładnięty ideami wodza, narodu, bezpardonowej walki o byt przenoszonej na grunt ludzkiej cywilizacji oraz stosowania wszelkich metod prowadzących do państwowości Ukrainy. Na pewno czytał wcześniej Mussoliniego i Hitlera, bo ich teksty tłumaczył na język ukraiński. „Nacjonalizm” z 1926 r. został wykorzystany do stworzenia podstaw ideologii OUN – swego rodzaju faszyzmu polegającego na ujarzmieniu własnego narodu i przemocy wobec innych.

Podstawy tej ideologii uzupełniono pismami Mykoły Sciborskiego, a zwłaszcza „Nacjokracją” z 1935 r. W przeciwieństwie do Doncowa, który pozostał niezależny politycznie, Sciborski był jednym z założycieli OUN, a wybrany do Prowidu, czyli zarządu organizacji, kierował jej referatem politycznym. W 1939 r. na zlecenie Andrija Melnyka – ówczesnego prowodnika (przewodniczącego) OUN – przygotował projekt konstytucji Ukrainy, którą określał jako państwo suwerenne, autorytarne, totalitarne i zawodowo-stanowe. Już w 1929 r. teorie Doncowa i Sciborskiego wykorzystywano w nacjonalistycznych pismach propagandowych, które z kolei już bez niedomówień określały Polaków i Żydów jako element, który należy zniszczyć.

To samo sugerował wydany wtedy „Dekalog ukraińskiego nacjonalisty”, którego tekst ułożył Stepan Łenkawski, a motto ułożył Doncow:

„Ja – Duch odwiecznej walki, który uchronił Ciebie od potopu tatarskiego i postawił między dwoma światami, nakazuję nowe życie:

1. Zdobędziesz państwo ukraińskie albo zginiesz, walcząc o nie.
2. Nie pozwolisz nikomu plamić sławy ani czci Twego Narodu.
3. Pamiętaj o wielkich dniach naszej walki wyzwolenczej.
4. Bądź dumny z tego, że jesteś spadkobiercą walki o chwałę Trójzęba Włodzimierzowego.
5. Pomścisz śmierć Wielkich Rycerzy.
6. O sprawie nie rozmawiaj, z kim można, ale z tym, z kim trzeba.
7. Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy.
8. Nienawiścią oraz podstępem będziesz przyjmował wrogów Twego Narodu.
9. Ani prośby, ani groźby, tortury, ani śmierć nie zmuszą Cię do wyjawienia tajemnic.
10. Będziesz dążył do rozszerzenia siły, sławy, bogactwa i obszaru państwa ukraińskiego nawet drogą ujarzmienia cudzoziemców”.

„Największe zbrodnie, nienawiść, podstęp i ujarzmianie cudzoziemców” – rychło doświadczyliśmy na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej realizacji owego „dekalogu”, który z Bożym zaiste niewiele miał wspólnego... ©©

Maciej Rosalak

Pomordowani w Lipnikach,
powiat kostopolski

FOT. IPN



Z Ewą Siemaszko
rozmawia Maciej Rosalak

To było ludobójstwo straszliwe

MACIEJ ROSALAK: O zabijaniu Polaków przez Ukraińców na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej mówi się: rzeź, mord, zbrodnia wojenna. Pani używa bodaj najbardziej pejoratywnego, a jednocześnie ściśle określonego terminu: ludobójstwo. Dlaczego?

EWA SIEMASZKO: Celem zbrodni było usunięcie Polaków z tamtych terenów. Zwracają uwagę organizacja mordów, ich przebieg, zasięg terytorialny i rozmiary oraz propagowana przy tym ideologia nawołująca do biologicznego wyniszczenia Polaków jako grupy narodowościowej. To wszystko niezbicie świadczy o tym, że była to zamierzona i zorganizowana akcja fizycznej eksterminacji ludności polskiej na tle narodowościowym – w świetle Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, uchwalonej przez ONZ w grudniu 1948 r. – kwalifikowana jako ludobójstwo.

Do najważniejszych czynów popełnianych na Polakach w celu ich zniszczenia, wymienianych w definicji ludobójstwa, należą: zabójstwa oraz trwałe uszkodzenia ciała i psychiki tych, którym udało się uciec z życia. Z kolei powszechność okrucieństwa, którym sprawcy ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce z OUN i UPA (Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów

i Ukraińskiej Powstańczej Armii) poddawali swe polskie ofiary niezależnie od wieku i płci, a więc nawet dzieci, uprawnia do specjalnego określenia tej zbrodni jako genocidum atrox, czyli ludobójstwo straszliwe, dzikie, okrutne. Było też usuwanie cywilizacji, do której należały ofiary i którą wcześniej wprowadzały tam przez kilka wieków.

Ludobójstwo w znaczeniu prawnym, ale i powszechnie stosowanym w naukach społecznych – a więc zabijanie, stwarzanie warunków prowadzących do śmierci i kalectwa oraz wynaradawianie – spotkały Polaków podczas II wojny światowej również ze strony Niemców i Sowietów.

O ludobójstwie ze strony Ukraińców świadczą rozkazy wydawane przez OUN-UPA, mówiące też o zabijaniu tych Polaków, którzy nie zechcą się wynieść...

Dokładnie takie rozkazy wydano w 1944 r. w Małopolsce Wschodniej, gdzie ludności polskiej było znacznie więcej i była lepiej zorganizowana ulotki wzywające Polaków do wyjazdu, z groźbą śmierci w razie niezastosowania się do nakazu. Na Wołyniu takich rozkazów nie było, tam dążono do wymordowania wszystkich

Polaków. Stosowano podstęp, aby ująć uciekających. Były przypadki namawiania uchodźców w miastach, by powrócili do swych gospodarstw, gwarantując im bezpieczeństwo, a potem ich mordowano. Nacjonalistom ukraińskim nie wystarczyło, że Polacy opuścili swoją ziemię, chcieli uniemożliwić ich powrót w przyszłości.

Nie udało się wszystkich wymordować. Uciekinierzy zatrzymywali się w miastach i miasteczkach, gdzie obecność Niemców odstraszała UPA, następnie – jeśli nie mogli się tam zatrzymać – byli wywożeni na roboty do Rzeszy albo przenosili się do Generalnego Gubernatorstwa.

Tych, którzy schronili się we Lwowie albo w innych większych miastach galicyjskich, czekało zresztą później wygnanie przez Sowietów.

Jakie znaczenie dla ludobójstwa dokonywanego na Polakach miało wcześniejsze ludobójstwo Żydów, przeprowadzane z udziałem Ukraińców na tych samych terenach?

Nienawiść do Żydów szerzona tak samo jak do Polaków. Kiedy w 1941 r. okupację sowiecką zastąpiła okupacja niemiecka, zdominowane przez OUN formacje policyjne podległe Niemcom śpiewały piosenkę ze słowami: „Śmierć,



Partyzanci UPA FOT. OŚRODEK KARTA

śmierć, Lachom śmierć / Śmierć żydowskiej komunie". To był jeden z przejawów zamierzeń OUN: wymordowania jednej i drugiej nacji. Oczywiście sprawcami zagłady ludności żydowskiej byli Niemcy, ale z ogromną pomocą policji ukraińskiej i licznych Ukraińców nienależących do tej formacji, którzy wyłapywali, a nawet sami zabijali Żydów. W Holokauście Żydów w 1942 r. brali udział policjanci ukraińscy, którzy w 1943 r. przeszli do UPA i masowo mordowali naszych rodaków. Znamienne, że podczas ludobójstwa Żydów do Polaków docierały pogrozki: „Teraz z Żydami, a potem to samo zrobimy z Polakami”. To wskazuje na długofalowy plan...

Holokaust stał się dla Ukraińców przykładem, że można dokonywać masowych zbrodni bezkarnie i jest to nawet sankcjonowane przez państwo lub organizacje. Moralne spustoszenie wśród tych, którzy patrzyli na te zbrodnie czy brali w nich udział, ułatwiło później mordowanie Polaków.

Czy sąsiedzi są bardziej skłonni do ludobójstwa niż najeźdźcy z oddali?

Sądzę, że nie, bo nie tylko sąsiedzi żyjący od pokoleń popełniali zbrodnie ludobójstwa. Przede wszystkim, aby sąsiad rzucił się na sąsiada, musi być do tego odpowiednio przygotowany. Na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej hasła do mordu nie rzucono nagle. Przystosowanie psychiczne ludności trwało długo. Nienawiść do Polaków OUN sączyła od początku lat 30. Świadkowie rzezi mówią wprawdzie, że dobre stosunki z sąsiadami trwały niekiedy do ostatniej chwili, ale też pojawiały

się symptomy, że wśród Ukraińców dzieje się coś niedobrego: zdarzały się pogrozki, pobicia, szykany, unikanie rozmów, zaprzestawianie zabaw z dziećmi polskimi. Ten proces z czasem narastał...

Być może, że na omawianych przez nas terenach nastąpiło zahamowanie rozwoju społecznego i stąd powtarzanie zbrodniczych zachowań, zwłaszcza jeśli ktoś do nich podszczuje.

Czy przejawia się w tym kompleks wywołany przez wielowiekowy brak własnego państwa?

Istotnie, kompleks ukraiński wynika z faktu, że ten naród nie potrafił przez wieki stworzyć i utrzymać własnego państwa. Tymczasem sąsiedzi mieli państwa, a niektórzy – tak jak my – nawet je tracąc, umieli jednak je odzyskać i utrzymać. Dotyczy to szczególnie okresu po I wojnie światowej.

Mieli poczucie krzywdy przez nas wyrządzonej? Że to my zabraliśmy im państwo?

Tak to sobie wyobrażali. Jednak w latach 1918–1920, kiedy podczas rewolucji bolszewickiej mieli szansę oderwania się od Imperium Rosyjskiego, jej nie wykorzystali. Przeciwnie nawet Petlura nie był w stanie zmobilizować odpowiedniej liczby Ukraińców do swego wojska i przeciwstawić się bolszewikom razem z Piłsudskim. Elity czuły się pokrzywdzone, ale nie cały lud uważał, że jest mu potrzebne ukraińskie państwo. Z różnych dokumentów OUN wynika, że inteligencja ukraińska chciała różnymi sposobami zmusić lud, aby za nią poszedł. I niecałe społeczeństwo chciało tego co OUN, czyli

zdobywania własnego państwa metodą masowych zbrodni.

Ukraińcy obarczają Polaków odpowiedzialnością za równie krwawe pacyfikacje wsi ukraińskich. Czy słusznie?

Przypadków pacyfikacji wsi ukraińskich było niewiele i stanowiły one reakcję na ogromne zbrodnie popełnione przez Ukraińców. Odwetowe emocje wśród polskich partyzantów można zrozumieć, choć oczywiście trudno je usprawiedliwić. Do czasu rzezi lipcowych w 1943 r. nie działał zresztą żaden polski oddział partyzancki. Organizowaliśmy jedynie lokalne samoobrony, stopniowo wyrzynane przez napastników. Natomiast w drugiej połowie 1943 r. nasze oddziały partyzanckie krążyły wokół kilku naszych baz obronnych i czasem likwidowały UPA we wsiach sąsiednich, a przy tym mogli ginąć również nienależący do UPA Ukraińcy. Jedynie kobiety i dzieci można uznać za niewinne ofiary, choć znane są też przypadki dobijania rannych przez Ukraińki i podpalania domostw przez ukraińskie wyrostki, a nawet dzieci.

Na samym Wołyniu wymordowano ok. 60 tys. Polaków, natomiast w akcjach odwetowych Armii Krajowej zginęło powyżej 2 tys. Ukraińców. Natomiast strona ukraińska przypisuje Armii Krajowej działania Schutzmannschaft, czyli tzw. policji polskiej, która została zorganizowana przez Niemców po rzeziach i po ucieczce policji ukraińskiej do UPA. Komendant Okręgu Wołyńskiego AK wydał wprawdzie rozkaz, aby Polacy nie wstępowali do policji, ale struktury Armii Krajowej nie były tam tak rozbudowane, aby mieć wpływ na wszystkich Polaków. Dla wielu z nich był to zresztą jedyny sposób, aby dostać broń i uchronić się przed tragicznym losem. Niemcy wykorzystywali ich do akcji pacyfikacyjnych, ale to już nie są „zbrodnie Armii Krajowej”, tylko niemieckie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ewa Siemaszko – badaczka stosunków polsko-ukraińskich podczas II wojny światowej i w latach powojennych, współautorka wraz z ojcem Władysławem Siemaszką dwutomowej pracy „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945”, a także licznych publikacji na ten temat.

Struktury zbrodni



Maciej Rosalak

Złowroga dla Polaków UPA – Ukraińska Powstańcza Armia – wyrosła jako zbrojne ramię Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Tradycja sięgała nie tylko nacjonalistycznej ideologii OUN, lecz także krwawego terroru szerzonego już w II RP

W latach 1921–1939 ukraińskie podziemie nacjonalistyczne przeprowadziło 63 zamachy, w których zginęło 36 Ukraińców i 25 Polaków sprzyjających ukraińsko-polskiemu porozumieniu (m.in. poseł Tadeusz Hołówko i minister Bronisław Pieracki), jeden Rosjanin i jeden Żyd. Szacuje się, że w latach 1929–1939 przeszło przez szeregi OUN ok. 20 tys. ludzi.

Najwyższą władzą OUN był Wielki Kongres, na którym delegaci wybierali organ wykonawczy – Główny Prowid (zarząd) i Krajową Egzekutywę sprawującą władzę między kongresami, z prowidyńskim (przewodniczącym) na czele. Skrajny nacjonalista Stepan Bandera rządził od stycznia 1933 do czerwca 1934 r., gdy go aresztowano i skazano na dożywocie w procesie o zabójstwo ministra Pierackiego. Właśnie w tym okresie бойówki dokonywały najwięcej aktów terroru.

Następnym szczeblem organizacyjnym były Kraje, przy czym najprężniejsze były dwa, które obejmowały tereny w Polsce: Małopolskę Wschodnią (Kraj II) oraz Wołyń, południowe Polesie, Chełmszczyznę, Podlasie Lubelskie (Kraj III). Każdy Kraj dzielił się na okręgi, których w całej strukturze OUN było 12. Te z kolei dzieliły się na nadrejonowy złożone z kilku rejonów każdy. Wszędzie na czele stali prowidyńscy odpowiedniego szczebla. Jeszcze niżej był kuszcz złożony z kilku wsi, a na samym dole – stanica obejmująca jedną wieś bądź dwie.

Nacjonaliści ukraińscy pokazali, na co ich stać, we wrześniu 1939 r., kiedy 7,5 tys. z nich wespół z komunistami mordowało polskich żołnierzy i mieszkańców. Zginęło wtedy 2 tys. Polaków, spalono cztery polskie miejscowości. Padło 160 OUN-owców. Kiedy na początku kwietnia 1940 r. okazało się, że Niemcy nie mają zamiaru tolerować



państwa ukraińskiego, doszło do rozłamu w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Zwolennicy utrzymania ścisłej współpracy z Niemcami zgrupowali się wokół Andrija Melnyka (zresztą agenta Abwehry) i utworzyli tzw. OUN-M. Natomiast pod przewodnictwem wypuszczonego z więzienia w Brześciu Stepana Bandery powstała OUN-B, która większą wagę przywiązywała do tworzenia siły zbrojnej i do działań ekstremistycznych. Tak powstały Krajowy Sztab Wojskowy i Wojskowy Ośrodek OUN.

Po najeździe III Rzeszy na ZSRR obie frakcje prześcigały się we współdziałaniu z Niemcami w zagładzie Żydów. Aktywiści OUN-B rozlepiali w przededniu pogromu we Lwowie plakaty z hasłem: „Narodzie – wiedzy! Moskwa, Polska, Węgry, żydostwo – twój wróg. Niszcz ich!”. Kiedy mimo to Niemcy zlekceważyli dążenie ku „samostijnej Ukrainie”, Bandera przeszedł do opozycji wobec nich i tworzenia własnych oddziałów partyzanckich. We wrześniu 1941 r. został aresztowany i osadzony w Sachsenhausen (włos z głowy mu zresztą nie spadł).

14 października 1942 r. – w Święto Szaty (Pokrowy) Najświętszej Marii Panny – konferencja referentów wojskowych obwodowych prowidyń OUN-B powołała siłę zbrojną, która nazywała się wtedy Wojskowe Oddziały OUN-SD (Samostijnikiw

Derżawnikiw). Wiosną następnego roku liczyły one kilka tysięcy żołnierzy, złowrogich głównie dla Polaków. Ich dowódcą został Dmytro Kłaczewski „Kłym Sawur”, rychło naczelnym katem ludności polskiej na Wołyniu. W Małopolsce Wschodniej siły banderowców nazywały się na początku Ukraińską Narodową Samoobroną. Jedną nazwą – Ukraińskiej Powstańczej Armii – wszystkie oddziały zostały objęte pod koniec 1943 r.

W tym czasie ukształtowała się też struktura UPA – na znacznym obszarze nadal pod komendą Dmytro Kłaczewskiego, ale pod zwierzchnictwem politycznym i wojskowym Romana Szuchewycza, prowidyńca OUN-B, mianowanego „generałem”, niedawno jeszcze żołdaka batalionu „Nachtigal” i niemieckiego schutzmanna. Utworzono cztery okręgi wojskowe (WO – Wijnkowska Okruha):

- Zahrawa – obejmująca pogranicze Wołynia i Polesia, pod dowództwem Iwana Łytwynczuka „Dubowego”;
- Turiw – na terenach obecnego obwo-
du wołyńskiego (dowódca Jurij Stelmaszczuk „Rudyj”);
- Bohun – w okolicach Równa, Krzemieńca i wschodniego Podola (Petr Olijnyk „Enej”);
- Tjutjunyk – ziemie dzisiejszego obwo-
du żytomierskiego (Fedir Worobec „Wereszczak”).

Dalej na wschód UPA się nie zakorze-
niła. Partyzantka sowiecka była zbyt silna, a ludność tamtejsza nazbyt niechętna udzielaniu pomocy. Natomiast w Małopolsce Wschodniej UPA zorganizowała osiem okręgów wojskowych, obejmujących: Lwów; obwód lwowski; obwód tarnopolski; obwód stanisławowski; obwód drohobycki; powiaty leski, przemyski, jarosławski; Bukowinę; Ukrainę Zakarpacką.

W 1943 r. UPA miała pod bronią 15 tys. ludzi, a rok później – podczas pełnej mobilizacji i jednoczesnej walki z Sowietami i Armią Krajową – nawet do 35 tys. Natomiast w 1946 r. pozostała w szeregach już tylko dziesiąta ich część. W momencie decydującej walki o niepodległość siły zbrojne UPA miały stanowić regularne wojsko, z korpusami i dywizjami (podobnie jak AK...). Udało się natomiast formować najwyżej pułki (partyzanckie zahiny). Niżej występowały – tak potwornie zapisane w polskiej pamięci – kurenne (bataliony), sotnie (kompanie), czoty (plutony), roje (drużyny) oraz łanki (sekcje). Latem 1944 r. sotnia liczyła do 200 ludzi, a w 1946 r. – 50...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ludobójstwo na Wołyniu i w Galicji Wschodniej 1943–1944



Polacy zamordowani przez UPA
w Lipnikach, powiat kostopolski

FOT. WIKIPEDIA

Wołyń Trupich Pól



Piotr Zychowicz

Dzieci nabite na sztachety płotu, kobiety z wyciętymi płodami, księża topieni w studniach. Nigdy Polacy nie byli mordowani tak bestialsko jak na Wołyniu i w Galicji Wschodniej

Ułożyli nas rzędem. Twarzami do ziemi. Mama, ciocia, babcia i inni krewni. Ja leżałem obok mamy. Przytuliła mnie mocno – opowiadał mi Aleksander Pradun. – Potem usłyszałem wystrzały. Każdy kolejny coraz bliżej. Potężna eksplozja ogłuszyła mnie. Poczułem podmuch powietrza i moją głowę oraz kark ochlapały krew i części mózgu mamy. Zacharczała i jej ręka stężała. Modliłem się, czekając na śmierć, na kulę przeznaczoną dla mnie. Usłyszałem jednak, że kolejny strzał padł już za mną, zabijając kolejną osobę. Przeoczyli mnie”.

Pradun leżał bez ruchu, udając trupa, a wokół trwała rzeź. Słyszał strzały,

krzyki przerażonych, konających ludzi, błagania o litość, przekleństwa oprawców. Czerwone, kłuszące mrówki obeszły mu całą twarz. Leżał w niewygodnej pozycji, w brzuch wbijał mu się ścięty pniak. Wiedział jednak, że jeżeli się poruszy, to natychmiast zginie. Wreszcie kanonada ucichła, mordercy dobili rannych kolbami karabinów i poszli.

„Słyszałem jeszcze, jak na odchodnym szydzili ze swoich ofiar – relacjonował Pradun. – Krzyczeli: »Tu leżą zabite polskie mordy!«. Po pewnym czasie ostrożnie podniosłem się z ziemi. Wokoło zobaczyłem kilkaset zakrwawionych trupów. Byłem w szoku. Zawołałem: »Kto żyw, niech ucieka!«. Wstało jeszcze kilka osób i odeszliśmy w stronę płonącej wsi. Chociaż minęło 70 lat, to nadal trudno o tym mówić. To, co wtedy widziałem, prześladowuje mnie do dziś...”

Aleksander Pradun w momencie, gdy rozegrała się ta scena, miał 13 lat. Mieszkał w miejscowości Ostrówki na Wołyniu. 30 sierpnia 1943 r. na tę miejscowość napadł kureń ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), dowodzony przez „Łysego”. Mężczyzn i starszych chłopców zamordowano we wsi, roztrzaskując im czaszki. Siekierami, pałkami, maczugami i mło-

tami do uboju bydła. Kilka osób zostało utopionych w studniach, a miejscowemu księdzu ucięto głowę.

Kobiety i dzieci planowano spalić żywcem w kościele, ale na miejsce przybył niemiecki patrol i zaczął strzelać do upowców. Wycofali się więc na pobliskie pole, pędząc przed sobą przerażonych Polaków. To właśnie tam doszło do masakry, w której zginęła mama Praduna. „Ukrainiec strzelił do dziecka – wspominał jeden z ocalałych. – Lat może trzy-cztery. Pocisk zerwał mu czaszkę i to dziecko wstało, a następnie, płacząc, biegło to w jedną, to w drugą stronę, z otwartym, pulsującym mózgiem”.

Ciała 250 polskich kobiet i dzieci leżały na polanie przez kilka dni. Nocami zerowały na nich dzikie zwierzęta. Wreszcie gdy ciała znalazły się w zaawansowanym stadium rozkładu, UPA spędziła na miejsce Ukraińców z jednej z sąsiednich wsi i kazała je pogrzebać. Ofiary spoczęły w olbrzymiej, masowej mogile. Miejsce to mieszkańcy nazwali później Trupim Polem, bo jeszcze przez wiele lat deszcze wymywały tam ziemię i na powierzchni pojawiały się ludzkie szczątki.

Wieczorem po masakrze mordercy urządzili w lesie huczną ucztę, podczas której samogonem opijali „zwycięstwo”

i dzielili się łupami. „Łysy” w sprawozdaniu dla referenta krajowego Prowidu OUN „Oleha” raportował: „Zlikwidowałem wszystkich Polaków od małego do starego. Wszystkie budynki spaliłem, a mienie i bydlę zabrałem dla potrzeb kurenia”.

Historycy oceniają, że w Ostrówkach zamordowano ok. 500 Polaków, a w Woli Ostrowieckiej – ok. 600. Do tego jeszcze kilkuset ludzi w okolicznych miejscowościach. W sumie 1,7 tys. osób. Była to jedna ze zbrodni składających się na ludobójstwo Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. W latach 1943–1945 na tych terenach – jak ocenia znakomita badaczka Ewa Siemaszko – Ukraińcy zgładzili ok. 130 tys. ludzi.

DLACZEGO?

Mordercy wywodzili się z dwóch grup. Jedni byli żołnierzami UPA, która z kolei stanowiła zbrojne ramię skrajnie szowinistycznej, totalitarnej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). W przypadku tych ludzi motywem działania była zbrodnicza ideologia. Drudzy wywodzili się z miejscowego ukraińskiego chłopstwa, byli sąsiadami ofiar. W ich przypadku motywem działania była na ogół chciwość. Swoje ofiary ograbiali bowiem z dobytku.

To jednak OUN rozpoczęła spiralę mordów, to ona dała sygnał do „rzezania Lachów” już zresztą w roku 1939, gdy II RP załamała się w wyniku wspólnego niemiecko-sowieckiego uderzenia. Ukraińscy bojówkarze na terenie Galicji Wschodniej opanowywali wówczas drogi, mosty, niszczyli linie komunikacyjne, zajmowali urzędy pocztowe i posterunki, a nawet całe miasteczka. Dochodziło też do pierwszych, wyjątkowo brutalnych ataków na polską ludność cywilną. Do pacyfikacji doszło w Koniuchach, Potutorowie, Sławentynie i kolonii Jakubowce. W miejscowościach tych wymordowano po kilkadziesiąt osób. Z dymem puszczano także polskie dwory, ścigano osadników wojskowych i ich rodziny.

Szybkie opanowanie ziem wschodnich przez Armię Czerwoną sprawiło jednak, że rebelia prędko wygasła. OUN nie zrezygnowała jednak ze swoich planów. Czekwała na kolejną okazję. Plany te były zaś niezwykle proste: usunąć Polaków z „rdzennych ziem ukraińskich”, aby stworzyć samostanną Ukrainę dla Ukraińców.

Na początku w rozmaitych dyskusjach i projektach działacze OUN opowiadali się raczej za „ostatecznym rozwiązaniem kwestii polskiej” poprzez masową emigrację. Za wyrzuceniem Polaków za San.

Eksterminację przewidywano tylko dla „wyjątkowo zatwardziały” przedstawicieli elit. Z czasem jednak, pod wpływem wielkiego wrażenia, które na nacjonalistach ukraińskich zrobił Holokaust, plan zmieniono. Zginać mieli wszyscy Polacy.

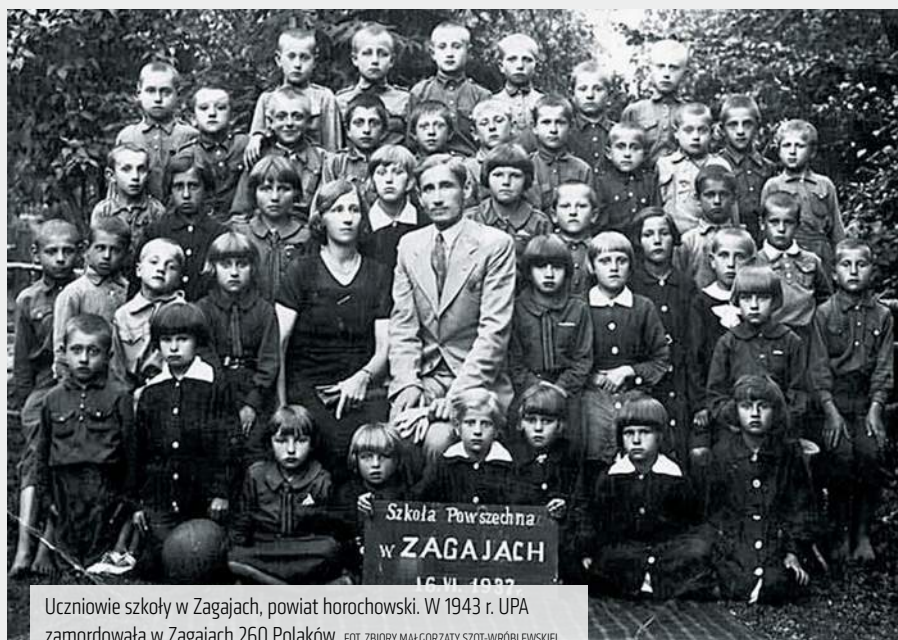
„Jeżeli chodzi o sprawę polską – oceniał na początku 1943 r. jeden z oficerów UPA – to nie jest to zagadnienie wojskowe, tylko mniejszościowe. Rozwiązujemy je tak jak Hitler sprawę żydowską. Chyba że Polacy usuną się sami”. Ponieważ przywódca OUN Stepan Bandera siedział wówczas w niemieckim obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, plan wcielenia jego rasistowskich koncepcji w życie wzięli na siebie dowódcy niższego szczebla.

Jednym z nich był Dmytro Kłaczkiwski „Kłym Sawur”, członek prowidu OUN.

przybrały jednak tak makabrycznej, tak mroźnej krew w żyłach formy jak ludobójstwo na Wołyniu. Był to istny horror.

Już pierwszy mord, dokonany w Parośli 9 lutego 1943 r., miał wyjątkowo bestialski przebieg. Upowcy okrążyli wieś i podali się za sowieckich partyzantów. Kazali się nakarmić i napić. Po zakończeniu obiadu oznajmili Polakom, że muszą ich związać, aby Niemcy nie oskarżyli mieszkańców o współpracę z bolszewikami. Skrępowanych sznurami ludzi Ukraińcy położyli twarzami do ziemi.

Natychmiast rozpoczęła się masakra. Polacy – ok. 150 osób – zostali zamordowani siekierami. Na początku pojedynczymi uderzeniami w głowę, z czasem napastnicy wpadli jednak w jakiś krwawy amok. Niektóre ofiary zostały porąbane



Uczniowie szkoły w Zagajach, powiat horochowski. W 1943 r. UPA zamordowała w Zagajach 260 Polaków FOT. ZBIORY MAŁGORZATY SZOT-WRÓBLEWSKIEJ

W czerwcu 1943 r. wydał on tajną dyrektywę „całkowitej, powszechnej, fizycznej likwidacji ludności polskiej”. Zgładzeni mieli być wszyscy Polacy. Bez różnicy – młodzi czy starzy, kobiety czy mężczyźni. Na celowniku znaleźli się także Ukraińcy z rodzin mieszanych oraz ci, którzy pomagali Polakom lub odmawiali brania udziału w rzezi.

JAK?

Podczas II wojny światowej naród polski padł ofiarą wielu zbrodni. Mordowali nas Niemcy, mordowali bolszewicy, w podwileńskich Ponarach mordowali nas Litwini, a podczas Powstania Warszawskiego Turkmeni i Azerowie. Żadne zbrodnie na narodzie polskim nie

na sieczkę. Dzieci zabijano uderzeniami obuchów. Jeden z noworodków został przygwożdżony do stołu nożem kuchennym z taką siłą, że później nie można było uwolnić ciała. Parośla przestała istnieć.

Mordy na Wołyniu osiągnęły apogeum w lipcu 1943 r. Wówczas jednej nocy ginęło po kilka tysięcy ludzi. Zdecydowanie najkrwawszym dniem był 11 lipca – tzw. wołyńska krwawa niedziela – w którym to dniu spacyfikowanych zostało blisko 100 polskich miejscowości.

Wołyń w owych dniach wyglądał jak piekło na ziemi. Za dnia niebo spowite było kłębamii gęstego, czarnego dymu, w nocy jaśniało łuną trawiących polskie wsie pożarów. Po polach niesły się złowrogie,



Baza samoobrony w Przebrażu. Uchodźcy ze wsi zagrożonych atakiem UPA FOT. ZBIORY EWY SIEMASZKO

ponure pieśni, w kuźniach wykuwano broń, a w cerkwiach popi święcili noże mające oddzielić „polski kąkol od ukraińskiego zboża”. Drogami i polami przemieszczały się oddziały UPA. Ich członkowie byli czarni od prochu i zakrzepłej krwi ofiar.

Mordy dokonywane na Polakach noszą wszelkie znamiona mordów rytualnych. W epoce broni palnej używano bowiem do nich noży, cepów, kos, siekier, wideł, prętów, orczyków, specjalnych maczug i sztyletów. Ludzi przeryzano na pół piłami do drewna, topiono w studniach, palono żywcem, rozrywano za pomocą koni. Wycinano ofiarom języki i genitalia, wyłupiano oczy. Zdzierano żywcem skórę, nabijano na pal.

Kobiety były gwałcone, obcinano im piersi, wbijano rozmaite przedmioty w krocze. Ciężarnym wyrzynano z brzuchów płody i nabijano je na widły. Zdarzały się również przypadki, że noworodki nadziewano na sztachety płotów. Główni dzieci były rozbijane na polnych kamieniach lub na kantach kaflowych pieców. Była to prawdziwa orgia okrucieństwa i makabry, która nie miała sobie równych w naszych tragicznych dziejach.

Znany jest przypadek, że pewien Ukraińiec zdekapitował całą rodzinę swoich polskich krewnych, a następnie posadził ciała przy stole. Głowy umieścił zaś na stojących przed nimi talerzach. Dlaczego tak straszliwie znęcano się nad tymi Polakami? Zbrodnie na Wołyniu opisywali historycy, publicyści, politycy, pisarze i poeci. Nikt jednak nigdy nie był w stanie udzielić przekonującej odpowiedzi na to pytanie. Tego po prostu nie da się wytłumaczyć.

OBOJĘTNOŚĆ

Niemieckie władze okupacyjne na ogół nie mieszały się do – jak to określały

– „polsko-ukraińskich porachunków”. Raz, że nie miały specjalnej ochoty się narażać. Dwa, że nie bardzo miały jak interweniować. W owym czasie Rzesza robiła już bokami, Niemcy utrzymywali na Wołyniu tylko większe miejscowości i linie kolejowe, a na prowincję woleli się nie wypuszczać. Ograniczyli się więc do wydania znikomej ilości broni lokalnym polskim samoobronom.

Do pomagania mordowanym Polakom – jest to rzecz wyjątkowo przykra – nie paliło się również Polskie Państwo Podziemne. Gehenna rodaków z dalekiego, prowincjonalnego Wołynia niespecjalnie interesowała oficerów z warszawskiej Komendy Głównej AK zajętych organizowaniem powstania. Mimo błagalnych próśb na Wołyń przysłano jedynie grupę oficerów oraz jedną kompanię złożoną z kilkudziesięciu ludzi. Nastąpiło to jednak w marcu 1944 r., a więc blisko rok po apogeum mordów.

Również miejscowa Armia Krajowa zmobilizowała i uzbroiła swoich żołnierzy dopiero na początku 1944 r. Stworzona w ten sposób 27. Wołyńska Dywizja Piechoty zamiast do obrony rąbanych siekierami polskich kobiet i dzieci została rzucona do akcji „Burza”. Czyli do pomagania Armii Czerwonej w zdobywaniu ich ojczyzny. Część wołyńskich żołnierzy została od razu wyróżniona przez Niemców, resztę aresztowało i deportowało NKWD.

Gdy fala zbrodni w 1944 r. przelała się do Galicji Wschodniej – do województw tarnopolskiego, lwowskiego i stanisławowskiego – sytuacja się powtórzyła. Znowu bestialskie mordy i znowu znikąd pomocy. Wywoływało to protesty ze strony galicyjskiego Stronnictwa Narodowego, które domagało się natychmiastowego wstrzymania samobójczej akcji „Burza”

i skierowania wszystkich sił na pomoc mordowanym Polakom.

„AK nie spełniła pokładanych w niej nadziei – napisano w jednym z dokumentów narodowców. – Nie ujęła w skuteczniejsze ramy samoobrony ludności polskiej. Nie pozwalała na stosowanie odwetu. Nie przeprowadzono stosownego dozbrojenia ludności polskiej, wskutek czego w wielu wypadkach bandy UPA nie natrafiały na żaden opór ze strony napadniętych Polaków”. Rozgoryczenie i żal do władz Polski podziemnej były wówczas na Wołyniu i w Galicji Wschodniej olbrzymie.

Ukraińscy nacjonaści mogą jawić się dzisiaj, po 70 latach, jako szaleńcy. Do „rzezania Lachów” przystąpili bowiem po klęsce niemieckiej pod Stalingradem, a więc gdy stało się jasne, że samoistna Ukraina w wyniku II wojny światowej nie powstanie. Wiadomo było bowiem, że Armia Czerwona wkrótce powróci i włączy Wołyń oraz Galicję Wschodnią do Związku Sowieckiego. Mordowanie Polaków w takiej sytuacji wydawało się więc absurdem.

Niestety, ta historia ma smutną puentę. Rzeczywiście II wojnę światową Ukraińcy – podobnie jak Polacy – przegrali. Minęły jednak cztery dekady i w 1991 r. wielka, samoistna Ukraina powstała. W jej granicach znalazły się i Wołyń, i Galicja Wschodnia, na terenach tych Polacy występują dzisiaj w ilościach śladowych. Ci, których nie wymordowano w latach 1943–1944, uciekli albo zostali deportowani za linię Curzona przez bolszewików. Wyrwano ich z tej ziemi z korzeniami. Ukraina – a przynajmniej jej zachodnia część – rzeczywiście jest dzisiaj krajem tylko dla Ukraińców. Marzenie Stepana Bandery się spełniło.

Mówią świadkowie



Członkowie samoobrony z Przebraża

FOT. ZBIORY EWY SIEMASZKO

Oto strzępy relacji Polaków, którzy przeżyli ludobójstwo na Wołyniu

W pierwszym zabudowaniu znaleźliśmy wstrząsający widok. Białego na ostrej słup przy furtce kilkuletniego chłopca. Na parkanie był napis „Litak Sikorsko” [Samolot Sikorskiego]. Przed progiem domu leżały trupy mężczyzn i dwóch kobiet okrutnie porąbanych siekierą. (Jerzy Krasowski)

W jednej z wiosek w pobliżu Derażnego po pogromie znaleziono w chacie małe dziecko z wyprutymi wnętrznościami. Jelita były rozpięte na ścianie w jakiś nieregularny sposób, a na jednym z gwoździ wisiała kartka z napisem: „Polska od morza do morza”. (Wincenty Romanowski)

Kilku banderowców podbiegło do mojej mamy i jeden z nich uderzył ją w głowę siekierą. Mama upadła i wypuściła z rąk brata Tadzia, a ja z przerażenia krzyczałam. Mama czołgając się, przyciągnęła do siebie płaczącego i zakrwawionego Tadzia, dała mu pierś. Po niedługiej chwili ponownie podbiegli banderowcy do mojej mamy i podcięli jej gardło. Jeszcze żyła, kiedy zdarli z niej szaty i po-

odcinali jej piersi. Mama i Tadzio bardzo się męczyli. Mama z bólu powyrywała sobie długie włosy z głowy, była strasznie zmieniona, bałam się jej.

Pobiegłam do tatusia i widziałam, jak bardzo go bili. Widziałam, jak naszej sąsiadce, Wasylkowskiej, odrąbywali na pieńku głowę. Mój krzyk był tak przerażający, że jeden z banderowców podbiegł do mnie i z rozmachem wbił mi nóż troszeczkę poniżej gardła, a ja dalej krzyczałam i ze strachu nie mogłam się ruszyć z miejsca. Banderowcy krzyczeli po imieniu do ojca, a ojciec też po imieniu błagał Iwana, bo ciągle przychodził do naszego tatusia jako przyjaciel.

Kiedy po raz drugi mnie ujrzeni, postanowili skończyć ze mną, raniąc prawą dłoń nożem i przebijając na wylot, a lewą rękę raniąc przed łokciem dwa razy. Upadłam. Jeden z banderowców chwycił mnie za skórę na plecach, tak jak się łapie kota, i tyle, ile miał skóry w garści, odciał nożem. Potem jeszcze dwa razy ugodził nożem w łopatki i wrzucił mnie w ogromny kopiec mrówek. Chyba straciłam przytomność i jak się ocknęłam, bardzo byłam obolała, a mrówki tak mnie pogryzły, że byłam bardzo spuchnięta. Odrąbano i leżącą obok głowa sąsiadki była cała pokryta mrówkami. (Irena Gajowczyk)

Przy jednym z trupów kobiet siedziało dwoje małych dzieci, które rozpaczliwie wołały:

– Mamo, mamo! Obudź się! Jesteśmy głodne! Chodź z nami do domu! (Zofia Araszewicz)

W drodze powrotnej z Buczacza mój ojciec został zatrzymany na drodze przed Petlikowcami przez trzech Ukraińców banderowców. Michała Druzaka i braci Iwana i Michała Maryniaków, którzy zaczęli go bić. Ojciec podobno się bronił, ale wobec przewagi stopniowo tracił siły. Oprawcy zaciągnęli go na podwórze znanego banderowca Pawła Leszcza. Ten dołączył do trójki morderców i ojca związano drutem kolczastym. Oprawcy przywiązali go linką do konia i pociągnęli po kamienistej drodze pod wieś Przywłoka. Tam po odwiązaniu obciążyli kamieniami i półmartwego wrzucili do rzeki Strypy w miejscu zapory wodnej Zabrodzie. (Bronisława Drozda)

Nad ranem znalazłem na podwórzu zwłoki mojego ojca. Leżał w pobliżu pnia służącego do rąbania drewna i miał poderżnięte gardło. Matkę znalazłem w mieszkaniu. Miała ślady kilku uderzeń młotkiem w głowę, a na gardle ranę kłutą bagnetem na wylot. Siostra Helena otrzymała głęboki cios siekierą w głowę, tak, że morderca pozo-

stał w niej siekierę. Najmłodszy z braci, Edzio – lat 2 – leżał cały we krwi z roztrzaskaną główką i wbitym nożem w piersi. Obok leżał 16-letni brat Broniek. To jego głos, błagający o litość, słyszałem w nocy najdłużej. Kiedy go oglądałem, sprawiał wrażenie bryty zmasakrowanego mięsa. Nogi i ręce miały połamane. To nad nim mordercy znęcali się najdłużej. (Michał Wojczyszyn)

Podczas „Gloria” padły pierwsze strzały do księdza Bolesława Szawłowskiego i do wiernych. W kościele byłem z siostrą. Jak usłyszałam, że mordercy chodzą po kościele i mówią: „O, toj jeszcze żywyj”, to szybko złapałam jakąś czapkę umoczoną w ciepłej, lepkiej krwi i potarłam nią twarz sobie i siostrze, udawałyśmy zabitych. Dym bardzo dusił, zatem ludzie usiłowali uciekać z kościoła. Ukraińcy krzyczeli: „Wychadi, chto żywyj”, a wychodzących zabijali w drzwiach. Usiłowano kościół wysadzić w powietrze, ale poczuliliśmy tylko okropny wstrząs i wszystko ucichło. (Jadwiga Krajewska)

Widziałem zamordowanego swego kolegę, a jednocześnie wspaniałego ucznia. Nazywał się Prończuk. Gdy banderowcy mordowali jego matkę, rzucił się jej na pomoc. Oprawcy odrąbali mu ręce oraz nogi i położyli na taborecie. Umarł z upływu krwi. (Władysław Tołysz)

Na Wielkanoc do Hermanówki na rezurekcję poszło 20 chłopaków. Żaden z nich nie wrócił. Wszyscy zostali pomordowani, i to w okrutny sposób. Najstarszy z nich miał tylko głowę przekreśloną w drugą stronę. Młodszych Ukraińcy męczyli w bardziej wyrafinowany sposób. Mieli obcięte języki, genitalia, obdzierano ich ze skóry. Byliśmy tym wstrząśnięci. (Adam Kownacki)

(wybór p.z.)

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Źródła: Grzegorz Motyka „Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wisła«”, Lucyna Kulińska „Dzieci Kresów I”, Marek A. Koprowski „Wołyń. Epopeja polskich losów. Akt I i II”.



Tomasz Stańczyk

Oddział UPA wymordował w miasteczku 82 Polaków, którzy przyszli na mszę. Ocalałym pomogło kilku Ukraińców – sąsiadów

Kisielin był miasteczkiem w powiecie horochowskim województwa wołyńskiego, między Włodzimierzem Wołyńskim i Łuckiem. Dzisiaj leży 60 km od granicy polsko-ukraińskiej. Swoją nazwę wziął od dawnych właścicieli – Kisielów, których najwybitniejszym przedstawicielem był Adam Kisiel, Rusin, wojewoda kijowski, rzecznik zgody między Polakami i Kozakami. Gdy wybuchła II wojna światowa, Kisielin liczył około tysiąca mieszkańców. Połowę z nich stanowili Żydzi, połowę Polacy i Ukraińcy – po 25 proc. ludności. Przed wojną Polacy i Ukraińcy żyli dość zgodnie. Aniela Dębska wspominała, że do jej ojca, Antoniego Sławińskiego, przychodzili sąsiedzi Ukraińcy, by pomóc przy młóceniu. A ona szła pomagać im. Jednak miało się okazać, że wojna wszystko odmieniła, a może po prostu uwolniła skrywane złe emocje.

Jeszcze przed nadejściem Armii Czerwonej, we wrześniu 1939 r., niektórzy Ukraińcy i Żydzi szykowali się na jej powitanie. Włodzimierz Sławosław Dębski, autor monografii Kisielina („Było sobie miasteczko”), jego mieszkaniec, zapamiętał triumfalne okrzyki: „Skończyła się ta wasza Polska”. Dwa lata później okupacja sowiecka ustąpiła niemieckiej. „Po wejściu Niemców sąsiedzi i znajomi Ukraińcy przestali się kłaniać i odpowiadać na pozdrowienia Polaków. Czernysz, dawny »buchalter« z gminy, zostając szefem rejonu, na dźwięk polskiej mowy tubalnym głosem wykrzykiwał: »Ja toho kaczoho jazyka nie rozumiu« (Ja tego kaczego języka nie rozumiem)” – pisał Dębski.

W sierpniu 1942 r. Niemcy i policjanci ukraińscy wymordowali kisielińskich Żydów. Polscy historycy uważają, że przykład Holokaustu zachęcił ukraińskich nacjonalistów z OUN, których zbrojnym ramieniem była Ukraińska Powstańcza Armia, do pozbycia się w ten sam sposób Polaków z Wołynia.

W marcu 1943 r. ze służby niemieckiej zdezerterowali ukraińscy policjanci z Ki-



Zbrodnia i ocalenie w Kisielinie

sielina, zasilając szeregi UPA. Nazajutrz po opuszczeniu przez nich posterunku zostało zamordowanych kilku Polaków.

Było to preludium do masowego mordu w niedzielę 11 lipca 1943 r. Tamtego dnia nastąpiło apogeum mordów na Wołyniu. Nieprzypadkowo UPA wybrała niedzielę, gdy Polacy brali udział we mszy świętej. Banderowcy nie musieli wyciągać ich z domów. Wystarczyło podejść pod kościół.

NIE OSZCZĘDZANO NAJMŁODSZYCH

Tak właśnie było również w Kisielinie. Wychodzący ze świątyni Polacy z miasteczka i okolicznych wiosek zobaczyli uzbrojonych upowców. Wiedzieli, co to może znaczyć. Wieści o mordach dokonywanych przez UPA dotarły już do Kisielina.

Aniela Dębska opowiadała autorowi tego artykułu w wywiadzie opublikowanym w „Rzeczpospolitej”: „W maju 1943 r. przyjechał spod Łucka strycki brat mojego późniejszego męża z wiadomością, że zamordowali jego rodziców i wrzucili ciała do studni. Matka już wtedy chciała uciekać do miasta, gdzie było bezpiecznie. Ojciec mówił jednak: Jak tu

wszystko zostawić? Nic przecież nikomu nie zrobiliśmy. Tamtego dnia zaszła do nas na śniadanie Nastia, Ukrainka, której syn pracował w naszym gospodarstwie. »Didki, jeszcze wam chociaż spiwaty?« – zapytała mnie i siostrę. W jej głosie, jak teraz myślę, było współczucie, lecz nic nie powiedziała”.

Polacy cofnęli się do kościoła, zamknęli drzwi. Część z nich przeszła ze świątyni do plebanii. Upowcy zaczęli krzyczeć i wzywać, by wychodzić z kościoła. Część Polaków usłuchała. Może zareagowali na czyjeś słowa, że widać kogoś chcą odszukać, wezmą go, a resztę zostawią w spokoju.

Zostali zamordowani. Upowcy nie oszczędzili nawet trojga dzieci w wieku pięciu–ośmiu lat. Jedną z 82 ofiar była Jadwiga Dobrowolska ze wsi Rudnia, Włodzimierz Dębski, który opisał w swojej książce tragiczny dzień Kisielina, wspominał: „Młody Ukrainiec w cywilnym, za dużym na niego brązowym ubraniu strzelił jej w plecy. Gdy się zwała na ziemię, ściągnął z niej bluzkę i tanecznym krokiem pospieszył za grupą”.

Pisarz Włodzimierz Odojewski musiał znać opowieść Włodzimierza Dębskiego, gdyż w jego powieści „Zasypie wszystko,



Ruiny kościoła w Kisielinie

FOT. WIKIPEDIA



Ruiny kościoła w Kisielinie, widok z góry FOT. KADR Z FILMU DOKUMENTALNEGO

„NIEDOKONCZONE WOJENSKIE MSZE” TADEUSZA ARCIUCHA I MACIEJA WOJCIECHOWSKIEGO

zawieje...” jest taka scena: „Aż wreszcie ta chwila nadeszła. Ta pierwsza, zaciskająca krtań jakby kleszczami wprost do bólu chwila grozy. Gdy wyrzała przez okienko, słysząc wrzaski i strzały, i gdy nagle zobaczyła tych czarnosecinnych, rojących się niby robactwo wokół bramy przykościelnej, wskakujących do środka kościoła, wywlekających za włosy te biedne kobiety, które zdecydowały się nie ukrywać, ale zdać się na ich łaskę, i pod murem je strzałem pistoletu mordujących. Gdy zobaczyła, jak jednego z nich znęciła widać bluzka wyprowadzonej dziewczyny, więc strzelił jej w brzuch i jeszcze z kopiącej nogami ziemię tę bluzkę ostrożnie, żeby nie zabrudzić, ściągnął”.

MIELI TYLKO CEGŁY...

Tymczasem część Polaków zabarykadowała się na plebanii. „Gotowi do obrony zaczęliśmy tarasować drzwi klatki schodowej stojącymi obok kuframi i skrzyniami [...]. Wkrótce dołączyli do nas inni” – relacjonował Włodzimierz Dębski. Banderowcy zaczęli rąbać siekierą drzwi. Wtedy poderwał się starszy mężczyzna, Krupiński ze wsi Zabara, i także siekierą zaczął rąbać drzwi. Krzyknął: „Nim mnie zabiją, przynaj-

mniej rozwalę jednemu głowę” – wspominała pani Dębska. Ostrza siekier się spotkały. Na chwilę ochłodziło to zapal upowców. Byli wśród nich sąsiedzi Polaków z Kisielina. Do UPA przyłączyło się kilkunastu Ukraińców z miasteczka. To oni wołali: „Stachu, oddaj złoto, to ciebie wypuścimy. Józek, mamy twoją Andziu, to ją oddamy”.

Przez dziurę w drzwiach Polacy zaczęli rzucać cegłami wyrwanymi z muru na strychu. Padł przez nią strzał ze strony napastników. Śmiertelnie trafiony został jeden z obrońców. Upowcy chcieli wykurzyć Polaków ogniem, podpalając pod drzwiami słomę. Ogień gaszono mocznem zbieranym do wiader. Napastnicy usiłowali dostać się do wnętrza plebanii po drabinie. Posypał się na nich grad cegieł, a także maszyna do szycia, która zwała na ziemię jednego z banderowców.

Zabarykadowani na plebanii nie mieli oczywiście broni palnej. Włodzimierz Dębski, członek konspiracji, zapamiętał gorzkie słowa Krupińskiego: „Jak łązić i zakładać organizację, to was było pełno, broni, jak potrzeba, nie ma”. Dębski usprawiedliwiał się w duchu, że nie jest temu winien, był szeregowym członkiem konspiracji.

Budynek plebanii był ostrzeliwany, kule wpadały przez okna. Ksiądz Witold Kowalski udzielał rozgrzeszenia i spowiadał w przewidywaniu, że wszystkich czeka śmierć. Gdy usiłował zasłonić okno poduszką, został ranny. Obrońcom udawało się odrzucać część granatów, wybuchały na podwórku, wśród Ukraińców. Jednak odłamki jednego z granatów ciężko zraniły w nogę Włodzimierza Dębskiego. „Najbardziej pomogła mi

moja przyszła żona, Anielka Sławińska. Z grubo złożonych gazet zrobiła tampon, przyłożyła pod krwawiącym kolaniem i ciasno owinęła. To zatrzymało krwotok”.

Aniela Dębska wspominała: „Zajęłam się nim, jak umiałam. Był ranny w nogę. Wtedy poczułam, że jest mój. To były nasze prawdziwe zaręczyny”.

Włodzimierz Dębski po zranieniu nie mógł dalej walczyć. Zapamiętał, że obrońcy byli wyczerpani i zmęczeni, ale zachowywali się dzielnie. Jednak pisał w swojej książce także o „dekownikach”, którzy ukryli się na strychu.

Zapadła noc. Upowcy podpalili pobliskie zabudowania, oświetlając teren. Liczyli też, że ogień przeniesie się na plebanię. Po wojnie Włodzimierz Dębski namalował obraz przedstawiający płonąca obórkę, ostrzeliwaną plebanię i scenę śmierci krewnej swojej żony, 21-letniej Alfredy Sławińskiej.

Niedługo przed północą banderowcy dali za wygraną i opuścili Kisielin. W obronie plebanii, oblężonej przez 11 godzin, zginęło i zmarło z ran czterech Polaków.

Kilka dni później upowcy kazali przenieść ciała zabitych z dołu przy parku dworskim i pochować je przy dzwonnicy. Niewielu Polaków przyszło. Bali się, że to pułapka i że zostaną zabici. Adela Ziółkowska-Prejs relacjonowała: „Wykopano wtedy siostrę Antosię. Miała siedem klutych ran. Dziur na wylot nie było. Majtki miała ściągnięte, a więc była gwałcona. Miała wyklute jedno oko. Dziurę w pierśsiach, w prawej ręce i boku”. Gdy klęczała nad ciałem siostry i rozpaczała, podszedł do niej softys Jefrem Padlewski.



Oddział UPA FOT. ARCHIWUM

■ Powiedział: »Nie krzyczy! Zaraz tobie te samo bude!«.

Rana Dębskiego była tak poważna, że uratować go można było, przewożąc do szpitala w Łokaczach. Podjęła się tego Ukrainka Paraska Padlewska. Po rzezi mieszkańcy Kisielina opuścili miasteczko. Włodzimierz Dębski wspominał, że byli Ukraińcy, którzy pomogli wówczas Polakom: Wołodimir Pałaczuk i Petro Parfeniuk, który uratował rodzinę Czerwinków i Sławińskich, a także Wiktor Padlewski (jego bracia należeli do UPA) wspomagający rodzinę Filipków. Parfeniuk i Padlewski mieli żony Polki. »Uratowali je i pomogli uchronić się większości Polaków z Kisielina przed nożami upowskich bandytów« – pisał Dębski. Parfeniuk zapłacił życiem za pomoc Polakom. Zabili go upowcy.

Aniela Dębska wspominała Ukraińca Sawkę Kowtoniuka, który ukrywał w stodole jej rodzinę i poszedł do lasu sprawdzić, czy droga z Kisielina jest wolna, czy nie ma tam upowców. Upiekł chleb dla uchodzących z miasteczka Polaków.

Fala mordów rozlała się po wsiach sąsiadujących z Kisielinem. Dzień po zbrodni w Kisielinie Ukraińcy z Twerdyny zamordowali 64 swoich polskich sąsiadów. Tego samego dnia zabitych zostało 80 Polaków z Wólki Sadowskiej i ok. 140 z Rudni. Trzy dni później w kolonii Zabara wymordowano 35 Polaków. W powiecie horochowskim, w którym znajdował się Kisielin, ukraińska Powstańcza Armia zamordowała, jak podają Władysław i Ewa Siemaszkowie, autorzy fundamentalnej pracy o zbrodniach na Wołyniu, co najmniej 2569 Polaków. Tamtego dnia,

11 lipca 1943 r., ofiarą mordów padli Polacy z 80 miejscowości powiatu.

... ALE WALCZYLI O UKRAINĘ

Włodzimierz Dębski przyjechał do Kisielina w latach 70. ubiegłego wieku. Chciał dowiedzieć się, kiedy i jak zginęli jego rodzice, którzy przepadli już po rzezi, znaleźć miejsce, gdzie spoczywają ich szczątki. Krzesimir Dębski, syn Włodzimierza, znany kompozytor (jest autorem symfonii ku czci ofiar zbrodni na Wołyniu), pisał w książce „Nic nie jest w porządku. Wołyń moja rodzinna historia”, że od miejscowych Ukraińców nie można było się jednak niczego dowiedzieć, a „tego, że oni wiedzą, co się stało z dziadkami, byliśmy pewni. Byłaby to zdumiewająca rzecz, gdyby było inaczej”.



Kompozytor Krzesimir Dębski, który w Kisielinie stracił dziadków FOT. DAREK GOLIK/FORUM

Miało się okazać, że Ukraińiec z Kisielina, przyjaciel Włodzimierza Dębskiego, który obiecał, że dowie się czegoś o jego rodzicach, był w oddziale, który ich uprowadził i zamordował... Nie przyznał się do tego.

W 50-lecie zbrodni, z inicjatywy Włodzimierza Dębskiego, postawiono w Kisielinie krzyż z nazwiskami pomordowanych i poległych w obronie. W ruinach spalonego kościoła odprawiono mszę. Brali w niej udział także Ukraińcy. Jedną z ukraińskich mieszanek Kisielina powiedziała Aniela Dębskiej: „O tym, co się wtedy stało, my nie możemy nic mówić, nam zabronili”. A Włodzimierz Dębski usłyszał słowa: „No cóż, mordowali – źle zrobili, ale walczyli o Ukrainę”. I tak chyba myśli dziś bardzo wielu Ukraińców.

Krzesimir Dębski w książce „Nic nie jest w porządku” pisze o swoich pobytach w Kisielinie i o spotkaniach ze starymi Ukraińcami. „Jeździłem tam ze ściśniętym gardłem, mając w głowie obrazy z opowieści rodziców i ich znajomych, a spotykałem się z obojętnością, pustką. Albo podejrzliwością, a nawet wrogością u tych, którzy mają coś do ukrycia. Jednak nie z poczuciem winy. Wyobrażałem sobie, że trudno będzie im wytrzymać moje spojrzenie, a oni zachowywali się, jak gdyby nic się nie stało”. Te słowa tłumaczą tytuł książki.

Dębscy chcieli tylko odnaleźć miejsce, gdzie spoczywają ich rodzice i dziadkowie. Jak wielu innych, którzy stracili swoich bliskich podczas wołyńskiej rzezi. Odnaleźć i postawić krzyż.

Tylko tyle. Jednak dziś jeszcze wciąż nie jest to możliwe... © Wszelkie prawa zastrzeżone

PIOTR WŁOCZYK: Ilu członków rodziny stracił pan w czasie rzezi wołyńskiej?

ZYGMUNT MAGUZA: Czterdziestu. To była rodzina ze strony mojej mamy, Wołynianki, bo tata pochodził z Warszawy. Jednego dnia, 11 lipca 1943 r., w „krwawą niedzielę”, straciłem dziadków, ciotkę, wujków, kuzynów. Zabito też wielu moich przyjaciół i kolegów. Rodziców na szczęście nie było wtedy na Wołyniu. Chociaż trudno tu też mówić o szczęściu: byli bowiem wtedy zesłani daleko w głąb Związku Sowieckiego wraz z moją młodszą o cztery lata siostrą Alicją. Po rzezi zostałem na Wołyniu praktycznie sam.

Chyba najstraszniejszy los spośród członków mojej rodziny dotknął moją matkę chrzestną, Stefanię Woźnicznię, i jej rodzinę. Została ona zamordowana w swoim domu w kolonii Jeżyn. Troje jej małych dzieci w wieku trzech, pięciu i siedmiu lat banderowcy wrzucili do studni. Ich ojciec i dziadkowie również zostali zamordowani.

Tego lata miałem zostać ojcem chrzestnym półrocznego dziecka. Poprosił mnie o to pan Józef Fila, znajomy rodziców. To maleńkie dziecko Ukraińcy rozerwali na pół, a jego matkę zastrzelili. Przeżył tylko ojciec, który podczas mordu schował się w lasku. Nie wszyscy byli wtedy bohaterami, bardzo wielu ludzi w momencie próby ogarniał paniczny strach przed utratą życia.

11 lipca był dla pana najpotworniejszy?

To był potworny dzień, ale najgorszy był 13 lipca. Poszedłem wtedy do domku dziadków w kolonii Witoldów, niedaleko Porycka, jakieś 20 km od mojej rodzinnej kolonii Chrynów. Byli ze mną wtedy m.in. Julian i Feliks Stankiewiczowie – moi „wujkowie”, czyli synowie dziadków. Tych wujków wziąłem w cudzysłów, bo pierwszy był tylko dwa lata starszy ode mnie, a drugi pięć lat.

Ten widok, który zastałem w środku domu... Dziadek leżał na podłodze na prawo od drzwi. Właściwie nie było widać głowy, była jakby wbita siekierą w ciało, w płuca. Ściany były zabryzgane krwią, na podłodze rozsmazana była krwawa maź. Gdy chwyciłem ciało dziadka, fragment jego mózgu wyleciał na moją pierś. Babcia leżała obok dziadka porąbana wzdłuż ciała siekierą. Z lewej strony drzwi leżała ich 11-letnia córka, siostra mojej mamy, Weronika. Ona też była porąbana siekierą. W kuchni leżały huski, czyli strzelano do dziadków.

Zygmunt Maguza FOT. DOMINIK RÓŻAŃSKI

Z Zygmuntom Maguzą
rozmawia Piotr Włoczyk

Ocalony

Uciekłem śmierci spod topora...



Żołnierze 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty

FOT. ARCHIWUM



Przyszliście ich pochować?

Tak, ponieważ o ich śmierci dowiedzieliśmy się od kolejarzy już w ponie-działek. Prawie wszystkich Polaków z Witoldowa, w sumie sześć osób, bandyci z UPA zabili 11 lipca. Ciała dziadków i Weroniki przenieśliśmy z domu na podwórze, gdzie postawiliśmy zbite napręde trumny. Pochowaliśmy ich na podwórzu. Musieliśmy się jak najszybciej stamtąd wynieść, bo wiedzieliśmy, że w tym rejonie działała banda UPA. Uciekając, słyszeliśmy za nami strzały. Byliśmy jednak zbyt daleko, żeby kule mogły nam zrobić krzywdę.

Na stacji Iwanicze stał akurat pociąg, który od razu odjechał z nami w stronę Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie było bezpiecznie. Po raz kolejny w czasie rzezi udało mi się uratować życie. Matwiej Romaniuk kilka dni wcześniej zaprosił Juliana, Feliksa i mnie na zabawę do Witoldowa. Zabawa miała się odbyć w niedzielę. „Krwawą niedzielę”. Nie pojechalśmy, bo obawialiśmy się, że coś mogą nam zrobić. O bezpieczeństwo dziadka, babci oraz ich najmłodszego dziecka nie drżeliśmy przesadnie, bo przecież – tak nam się wtedy wydawało – takich ludzi się nie zabija.

Udało się panu ustalić nazwiska morderców pańskich dziadków?

Prawdę ujawnili sąsiedzi dziadków, państwo Kozibrodowie. To byli Ukraińcy, ale byli oni dobrze nastawieni do

Polaków. Mieszkali tuż obok dziadków, więc słyszeli odgłosy mordu, wiedzieli, kto to zrobił.

Spotkał pan po wszystkim któregoś z zabójców?

Po latach stanąłem twarzą w twarz z jednym z nich. To było 15 maja 1990 r. Pojechałem do Witoldowa z „wujkiem” Julianem Stankiewiczem i moją siostrą Alicją, by zapalić znicze na grobie dziadków. Budynków nie było już żadnych, było tam tylko pole kołchozowe. Nie było ani drogi, ani sadu, wszystko zrównano z ziemią. Po drodze, w wiosce Iwanicze, gdzie wsiedliśmy 13 lipca 1943 r. do pociągu, uciekając przed UPA, spotkaliśmy w polu państwa Kozibrodów, którzy przenieśli się tam z Witoldowa. Pan Kozibroda rozmawiał z jakimś mężczyzną. Wyskoczyłem z samochodu i przywitałem się z serdecznym sąsiadem dziadków. Uściskaliśmy się mocno. Spojrzałem na mężczyznę obok, ale go nie rozpoznałem. Pan Kozibroda powiedział mi za chwilę, kto to jest...

Zabójca moich dziadków zrobił się błąd i momentalnie rzucił się do ucieczki w kierunku swojego domu. Chciałem iść do niego i zapytać go, dlaczego zamordował moich dziadków i Weronikę. Żona pana Kozibrody prosiła mnie jednak, żebym nic nie robił, bo bała się problemów z jego strony. Moja siostra też prosiła mnie, żebyśmy jak najszybciej

stamtąd pojechali. I tak też zrobiliśmy, choć bardzo chciałem złożyć wizytę temu człowiekowi...

Udało się komuś z pańskiej rodziny przetrwać rzeź?

W całej tej tragedii zdarzyły się dwa cuda. W kolonii Gurów ofiarą UPA padły moja kuzynka Regina Stankiewicz, jej malutka, półtoraroczna, najmłodsza córeczka, a także matka Reginy. Bandyci z UPA wdarli się do domu i zaatakowali bezbronną kobietę, która zaczęła zasłaniać siebie i troje swych dzieci poduszka-mi. Dwoje zdołała ochronić. Siedmioletnia Halinka i pięcioletnia Natalia były bardzo ciężko ranne, pokłute bagnietami. Ocalał je ukryty na podwórzu ojciec, który bezsilnie czekał na odejście ukraińskich bandytów. Te cudem ocalone dziewczynki dziś nazywają się: Halina Adamowicz (żyje w Braniewie) oraz Natalia Oręziak (mieszka w Morągu).

Jednak ja też cudem ocalałem, nawet kilka razy udawało mi się uciec śmierci spod topora. Ukraińcy wydali na mnie wyrok śmierci, bo byłem synem osadnika wojskowego. Przez długie miesiące tułałem się po Wołyniu od wsi do wsi, od jednej rodziny do drugiej. Czułem się jak zwierzyna łowna. Raz złapali mnie, jak jechałem konno. Naradzali się, co ze mną zrobić. Ja w tym czasie połem konia. Wiedziałem, że to będą moje ostatnie chwile, jeżeli czegoś nie zrobię. Ukraińcy stali tuż obok mnie, ale niewiele myśląc, wskoczyłem na konia i pędem ruszyłem przed siebie. To było szalone, ale się udało. Padły strzały, żaden mnie nie drasnął, tylko koń odniósł powierzchowną ranę.

Innym razem, gdy wraz z kilkoma Polakami ukryłem się w domu, na podwórzu wleciało dwóch upowców. Jeden z nas nie wytrzymał nerwowo, chwycił za siekierę i narobił hałasu. Ukraińcy zorientowali się, że ktoś się ukrywa w domu. Wezwali innych bandytów na pomoc. Zanim jednak okrążyli tę chałupę, my wyskoczyliśmy przez okno i pobiegliśmy w zboże.

Jakieś pół roku później, gdy byłem już w polskiej samoobronie w kolonii Bielin, mieliśmy pojechać z kolegami furmanką na patrol. Było zimno, więc pobiegłem po ciepłe rzeczy do bazy. Koledzy odjechali beze mnie. Krzyczałem za nimi, żeby zaczekali... Godzinę później do bazy przybiegł koń, ciągnąc za sobą złamany dyszel. Dalej w rowie znaleźliśmy furmankę



Zamordowana rodzina Rudnickich
z Chobułowej na Wołyniu. FOT. OŚRODEK KARTA

i pięciu zabitych. Wykończyli ich Ukraińcy. Gdyby nie to, że zbyt lekko się wtedy ubrałem, to też leżałbym z nimi w rowie.

Jak to się stało, że jako jedyny z rodziny nie został pan wywieziony przez Sowietów na Wschód?

1 września 1939 r. miałem pójść do Korpusu Kadetów we Lwowie. Zamiast tego po przegranej kampanii wrześniowej poszedłem do sowieckiego gimnazjum w Sokalu. Po prostu nie było mnie w domu w Chrynowie, gdy 10 lutego 1940 r. moja rodzina została wywieziona w głąb ZSRS. Rodzice i siostra cudem przeżyli zesłanie i wrócili dopiero w 1946 r. Ja oczywiście też prędzej czy później zostałem deportowany na Wschód, ale na szczęście moja nauczycielka języka rosyjskiego była żoną wysoko postawionego funkcjonariusza NKWD w Sokalu. Polubiła mnie i gdyby nie jej wstawiennictwo, to albo by mnie rozstrzelali, albo wywieźli na Sybir.

Po niemieckim ataku na ZSRS o szkole nie było już oczywiście mowy. Tułałem się po rodzinie rozsianej po całej okolicy, ale starałem się też dbać o rodzinny majątek. Daremnie czekałem na powrót rodziców i siostry. Sadziłem nawet ziemniaki, żeby w razie czego mieli co jeść.

Pojawiałem się w naszym gospodarstwie z doskoku, bo nie mogłem mieszkać we własnym domu – jak już powiedziałem, ukraińscy nacjonaliści wydali na mnie, syna osadnika wojskowego, wyrok śmierci.

Służba ojca w wojsku, dla mnie wielki powód do dumy, w tamtych warunkach była niebezpieczna dla naszej rodziny. Za zasługi w wojnie polsko-bolszewickiej

ojciec dostał bowiem Krzyż Srebrny Virtuti Militari. Przez ten order raz najadłem się mnóstwo strachu. Jesienią 1939 r. pojawili się u nas w domu NKWD-ziści. Byli bardzo grzeczni, co mnie bardzo zdziwiło, bo tuż po powrocie ojca z kampanii wrześniowej sowiecki żołnierz chciał go rozstrzelać pod ścianą naszego domu. Uratowaliśmy go z siostrą, wieszając się na jego rękach, płacząc wniebogłosy i błagając Sowietów, żeby nie zabijali ojca.

NKWD-ziści przyszli z kwestionariuszem i wypytывali ojca o służbę wojskową. Pytali też, czy ma jakieś order. Ojciec oczywiście zaprzeczył. Miałem wtedy 14 lat, nie rozumiałem jeszcze tych spraw. Odezwałem się więc w dobrej wierze: „Przecież tatuś ma Virtuti!”. Gdy zobaczyłem, jak ojciec zaprzecza, zrozumiałem swój błąd. Miałem wyrzuty sumienia, że zaszкодziłem ojcu. Jednak w rzeczywistości nic to nie zmieniło w naszej sytuacji, bo funkcjonariusze NKWD i tak świetnie znali przeszłość mojego ojca.

Jak się wam żyło z Ukraińcami przed wojną?

Zupełnie poprawnie. My, polskie rodziny osadników wojskowych, mieszkaliśmy w kolonii Chrynow. Obok, w wiosce Chrynow, mieszkali sami Ukraińcy, których wtedy nazywaliśmy Rusinami. Mój ojciec był członkiem lokalnego samorządu, często pomagał Ukraińcom, więc generalnie cieszył się szacunkiem. Z kolei moja mama przepięknie śpiewała i nasi ukraińscy sąsiedzi zapraszali ją na swoje wesela. Początkowo mieszkańcy wsi Chrynow mieli osadnikom wojskowym za złe, że dostali oni od polskiego rządu ziemię, która – w mniemaniu Ukraińców –

nie należała się im. Z biegiem lat jednak te początkowe animozje odeszły w cień i obie społeczności nauczyły się żyć obok siebie. Dlatego ten wybuch nienawiści, barbarzyństwa był tak nieoczekiwany, niezrozumiały.

Wciąż nie potrafi pan tego pojąć?

Wiem, co było powodem tej niebывałej zbrodni, ale nie potrafię zrozumieć, jak można było tak nisko upaść. Ukraińców opętała nienawistna ideologia, w imię „czystości ukraińskich ziem” chcieli zetrzeć w proch polskość.

To zaślepienie dobrze widać na przykładzie Ukraińca Leona Rybki, znajomego moich rodziców. Przed wojną Rybka nieraz bawił się ze mną, nigdy bym się nie spodziewał jakichkolwiek problemów z jego strony. W czasie rzezi wołyńskiej chciał mnie zabić... Na szczęście uratował mnie znajomy Polak, Michał Okulski, który złapał Rybkę za rękę i nie pozwolił mu do mnie strzelić. Rybka miał wtedy w oczach obłęd. Generalnie jednak poza Rybką reszta moich ukraińskich sąsiadów traktowała mnie w tamtym potwornym okresie dobrze. To napływowi Ukraińcy, bandyci z UPA, byli najgorszy.

Mogę wybaczyć sprawcom tej zbrodni, ale nigdy tego nie zapomnę i nie mogę się pogodzić z tym, że jeszcze dziś na Ukrainie czci się morderców. Żeby zabić mojego dziadka, babcię i Bogu ducha winną 11-letnią Weronikę? Żeby zabijać Polaków w kościołach?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Zygmunt Maguza (ur. 1925) był mieszkańcem kolonii Chrynow na Wołyniu. Służył w 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty.



Jacek Przybylski

Demokraci chcą doprowadzić do przedwczesnego wyrzucenia z Białego Domu obecnego prezydenta. Histeryczna polityczna zagrywka bardziej niż Donaldowi Trumpowi zaszkodzi jednak samej Partii Demokratycznej i jej liderce Nancy Pelosi

Złamanie przysięgi, zdradę bezpieczeństwa narodowego i narażenie na szwank uczciwości procesu wyborczego zarzuciła urzędującemu prezydentowi przewodnicząca niższej izby amerykańskiego Kongresu. – Działania Donalda Trumpa ujawniły nieuczciwość jego prezydentury – grzmiała Nancy Pelosi, zapowiadając rozpoczęcie procedury prowadzącej do impeachmentu. Murem stało za nią już 212 kongresmenów z Partii Demokratycznej z 235.

Demokraci o przedterminowym wyrzuceniu Donalda Trumpa z Białego Domu marzą od początku jego prezydentury. I od początku szukają na niego mniejszych i większych haków. Marzenia o impeachmentie miały się ziścić już w roku 2017 w wyniku śledztwa specjalnego prokuratora Roberta Muellera dotyczącego afery „Kremlgate”. Demokraci musieli jednak obejść się smakiem. Okazało się bowiem, że wychwalany przez nich znakomity prokurator mimo usilnych starań nie znalazł niezbitych dowodów na domniemaną zмовę Donalda Trumpa z ludźmi Władimira Putina, dzięki której kandydat republikanów miał otrzymać od rosyjskich służb materiały obciążające Hillary Clinton.

POLOWANIE NA CZAROWNICE

24 września obecnego roku Nancy Pelosi skapitulowała przed lewicowymi radykałami w swojej partii i uznając najwyraźniej, że lepsza okazja do zastawienia pułapki na Donalda Trumpa może się już nie trafić, wezwała Izbę do ataku na prezydenta. Do przypuszczenia antyprezydenckiego szturmu nie przekonały demokratów żadne twarde dowody, lecz doniesienia rozhisteryzowanych lewicowych mediów dotyczące skargi, którą 12 sierpnia 2019 r. anonimowy urzędnik wystąpił do szefów



Partię Demokratyczną oburzyła treść rozmowy między Donaldem Trumpem a prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim. FOT. POLARIS/EAST NEWS

Groźna gra w impeachment

komisji wywiadu amerykańskiego Kongresu: Richarda Burra oraz Adama Schiffa. „W toku pełnienia swoich obowiązków otrzymałem informację od wielu urzędników rządu USA, że prezydent USA używa swojej władzy do zabiegania o ingerencję obcego państwa w amerykańskie wybory w roku 2020” – pisał anonimowy donosiciel, informując też, że kluczową postacią zamieszaną w sprawę jest osobisty prawnik Trumpa Rudolph Giuliani.

Chodzi o rozmowę telefoniczną, którą 25 lipca 2019 r. prezydent Donald Trump odbył z nowym przywódcą Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim. Demokraci zarzucają 45. prezydentowi USA, że podczas rozmowy wywierał naciski na ukraińskiego polityka, zachęcając go do rozpoczęcia śledztwa przeciwko Hunterowi Bidenowi, synowi byłego amerykańskiego wiceprezydenta, który za 50 tys. dol. (niemal 200 tys. zł) miesięcznie pracował w zarządzie ukraińskiego potentata gazowego, firmy Burisma Holdings, posądzanego o udział w aferach korupcyjnych. Trumpowi miało na tym zależeć, bo Joe Biden jest bardzo prawdopodobnym konkurentem obecnego

gospodarza Białego Domu podczas wyborów prezydenckich w roku 2020. W grę na razie wchodzi jeszcze Elizabeth Warren i Bernie Sanders, ale to Biden jest rywalem, który według niektórych sondaży byłby w stanie pokonać Donalda Trumpa.

Ogłoszona 24 września decyzja Nancy Pelosi o rozpoczęciu formalnego dochodzenia mającego doprowadzić do impeachmentu Donalda Trumpa oznacza, że najpierw zostaną powołane specjalne komisje Kongresu. Ich zadaniem będzie zgromadzenie stosownych materiałów dowodowych komisji sądownictwa Izby Reprezentantów i podjęcie decyzji, czy istnieją podstawy do wszczęcia procedury impeachmentu. Jeżeli Izba Reprezentantów przygotuje akt oskarżenia wobec prezydenta, wówczas dojdzie do głosowania. Do postawienia prezydenta przed sądem Kongresu wystarczy zwykła większość w Izbie, w której demokraci mają 235 miejsc z 435.

Nawet jeśli procedura impeachmentu formalnie ruszy, to Izba Reprezentantów zamieni się wówczas w oskarżyciela, sędzią będzie prezes Sądu Najwyższego,

a ostateczny wyrok wyda ława przysięgłych, czyli stuosobowy Senat, w którym większość (53 miejsca) mają obecnie republikanie. W tym przypadku decyzja o usunięciu prezydenta musi być już podjęta większością dwóch trzecich głosów. Jest to więc mało prawdopodobne. Zwłaszcza że w historii USA impeachmentowi zostali poddani zaledwie dwóch prezydentów z 45: Andrew Johnson (urzędujący w latach 1865–1869) oraz Bill Clinton (urzędujący od 1993 do 2001 r.). Obaj zostali przez Senat uniewinnieni i sprawowali urząd do końca swych kadencji.

WYBORCY NIE WYBACZA

Według demokratów Donald Trump, chcąc zmusić ukraińskie władze do współpracy i znalezienia kompromitujących materiałów na syna Joe Bidena, postanowił zagrozić długoterminowym wstrzymaniem wartę 400 mln dol. amerykańskiej pomocy wojskowej dla Ukrainy, jeżeli nie zostanie wszczęte odpowiednie śledztwo. Gdyby tak było, byłoby to nadużycie władzy przez prezydenta i rzeczywiście byłaby to sprawa o wiele poważniejsza niż tzw. Kremlgate, a działania Trumpa mogłyby wypełniać znamiona „poważnych przestępstw lub wykroczeń”, których popełnienie może prowadzić do impeachmentu.

Problemem opozycji – Nancy Pelosi zarzuca prezydentowi łamanie konstytucji – jest jednak brak przekonujących dowodów.

„To polowanie na czarownicę!” – tak zarzuty opozycji komentował na Twitterze Donald Trump. Zaprzeczył, aby pomoc dla Ukrainy wstrzymał w związku z kampanią przedwyborczą w USA, i zauważył, że wstrzymał ją jeszcze przed rozmową, bo uznał, że niesprawiedliwe jest to, iż to głównie USA, a nie kraje europejskie, pomagają Ukrainie. Mówił o tym zresztą podczas budzącej tak wielkie kontrowersje rozmowy: „Niemcy prawie nic dla was nie robią. Potrafią jedynie mówić i sądzę, że to jest coś, o co powinniście ich zapytać”.

Skąd wiadomo, że takie słowa padły? Dzień po tym, jak demokraci wezwali do impeachmentu prezydenta, Białe Dobre ujawnił szczegóły rozmowy Donalda Trumpa z Wołodymyrem Zełenskim. Zapis rozmowy pokazuje, że Nancy Pelosi popełniła poważny błąd, przedwcześnie decydując się na wytoczenie najcięższych politycznych dział. Gdyby bowiem wstrzymała się zaledwie jeden dzień, to po przeczytaniu ujawnionych przez Białe Dobre materiałów raczej doszłaby do wniosku, że trudno uznać je za wystarczające

do tego, aby uznać prezydenta za winnego złamania konstytucji i pozbawić go urzędu.

Z zapisu rozmowy dowiadujemy się co prawda, że Trump rzeczywiście rozmawiał z Zełenskim o Bidenie. Treść nie jest jednak wcale tak karygodna, jak chcieliby tego demokraci. „Dużo się mówi o synu Bidena, że Biden wstrzymał śledztwo prokuratorskie i bardzo wiele osób chce się dowiedzieć o tym więcej, więc byłoby super, gdybyście mogli zrobić, co tylko w waszej mocy, we współpracy z prokuratorem generalnym” – zachęcał prezydenta Ukrainy jego amerykański odpowiednik. „Biden przechwalał się, że zatrzymał śledztwo, więc gdybyście mogli się temu przyjrzeć... Dla mnie to brzmi okropnie” – dodał Donald Trump, zachęcając przywódcę Ukrainy do współpracy z prokuratorem generalnym Williamem Barrem oraz ze swoim osobistym prawnikiem Rudym Giuliani.

Zełenski odpowiedział, że zna sprawę i że powołany przez niego nowy prokurator przyjrzy się firmie, w której pracował syn Bidena. Podziękował też za zaproszenie do Waszyngtonu. I zasugerował, że może spotkać się z Trumpem podczas jego planowanej wizyty w Polsce 1 września. „Potem dobrym pomysłem mogłaby być podróż na Ukrainę. Możemy polecieć na Ukrainę moim samolotem lub możemy polecieć twoim samolotem, który prawdopodobnie jest dużo lepszy niż mój” – powiedział prezydent Ukrainy. Niektórzy publicyści spekulowali potem, że to właśnie próba uniknięcia spotkania z Zełenskim, a nie zbliżający się do USA huragan, była prawdziwym powodem odwołania przez prezydenta Trumpa wizyty w Polsce.

Czy prezydent wielkiego mocarstwa powinien prosić zagranicznego przywódcę o taką przysługę? Można to uznać za niefortunne. Zgodnie z prawem to on prowadzi jednak politykę zagraniczną i robi to w taki sposób, jaki uznaje za słuszny. W ujawnionym nagraniu trudno zaś dopatrzeć się gróźb, szantażu czy próby przekupstwa. A bez niezbitych dowodów na korupcję czy zdradę akt oskarżenia wobec prezydenta nie ma większych szans na powodzenie. Sam Zełenski po ubiegłotygodniowym spotkaniu z Trumpem w Nowym Jorku mówił wprost: myślę, że przeczytaliście, iż nikt na mnie nie naciskał.

Jeśli demokratom nie uda się zdobyć dowodów na powiązanie amerykańskiej pomocy wojskowej z realizacją próśb o śledztwo w sprawie syna Bidena, to decyzja Pelosi o rozpoczęciu dochodzenia prowadzącego do sporządzenia aktu

oskarżenia może nie spodobać się wielu amerykańskim wyborcom, którzy mają dość ciągłych partyjnych sporów. Najbliższa kampania nie będzie więc poświęcona opiece zdrowotnej, gospodarce czy jakiegokolwiek innej sprawie ważnej dla przeciętnego wyborcy. Kampania skupi się na próbie obalenia prezydenta. Partia Demokratyczna będzie więc postrzegana jako „partia impeachmentu”. O tym, jak szkodliwe jest to określenie, przekonali się republikanie, gdy zaledwie kilka tygodni przed wyborami do Kongresu w 1998 r. rozpoczęli formalny proces impeachmentu wobec ówczesnego prezydenta Billa Clintona. Liderzy Partii Republikańskiej byli przekonani, że dzięki temu osiągną rewelacyjny wynik. Stało się odwrotnie: to demokraci powiększyli o pięć liczbę miejsc w Izbie Reprezentantów, podczas gdy rozkład sił w Senacie pozostał niezmieniony.

Próba impeachmentu okazała się więc kosztownym błędem republikanów. Wyborców dużo mniej obchodziły bowiem zabawy prezydenta ze stażystką, a także jego późniejsze kłamstwa w tej sprawie, niż przypuszczali jego polityczni rywale. O wiele bardziej cenili zaś stabilność i wzrost gospodarczy, którymi charakteryzowały się rządy Clintona. Tę samą zaletę ma prezydentura Donalda Trumpa. Gospodarka jest w dobrej formie. I choć wyborcy są świadomi jego wad, to i tak go lubią.

Z najnowszego badania opinii przeprowadzonego przez Quinnipiac University jeszcze przed ogłoszeniem decyzji Pelosi wynikało zaś, że zaledwie 37 proc. Amerykanów poparłoby procedurę impeachmentu wobec obecnego prezydenta, a aż 57 byłoby jej przeciwnych. Jest jeszcze jedna strona medalu: dzięki świętemu oburzeniu demokratów na rozmowę prezydentów do amerykańskiej opinii publicznej wielokrotnie dotarły informacje o tym, jak mocno w robienie interesów w Chinach i na Ukrainie zaangażowany był Hunter Biden i to w czasach, gdy jego ojciec pełnił funkcję wiceprezydenta USA. Część Amerykanów może to uznać za skandal, domagać się śledztwa i wyjaśnienia, czy to przypadkiem sam Biden w arogancki sposób nie nadużywał władzy. Trudno też nie zauważyć, że Hunter nie zarabiałby takich kokosów, gdyby nazywał się Kowalski, a nie Biden.

Gra impeachmentem może się więc zemścić na wyborczym wyniku demokratów, a Trumpowi ułatwić walkę o reelekcję poprzez potężny cios zadany Bidenowi przez jego własne ugrupowanie.



Bruksela od kulis



*Dominika Ćosić
z Brukseli*

Europosłowie przesłuchają kandydatów na komisarzy. Pierwsz już odpadli. Co się stanie z ekipą zaproponowaną przez Ursulę von der Leyen

Podczas pierwszej konferencji prasowej szefowej KE Ursuli von der Leyen (po tym, jak w negocjacjach z krajami członkowskimi ustaliła swój potencjalny zespół) poza pytaniami o kontrowersyjnych kandydatów największe zaciekwienie dziennikarzy wzbudziło nowe portfolio KE – ochrona naszego europejskiego stylu życia. Kiedy się wczytamy w opis, pod tym hasłem kryje się przede wszystkim polityka imigracyjna. Zadanie to na barki ma wziąć dotychczasowy rzecznik prasowy KE, były

grecki dziennikarz Margaritis Schinas. Jest jednym z bardziej doświadczonych kandydatów, przez lata był dziennikarzem, następnie posłem do PE, po czym trafił do KE i typowany jest na jednego z rozgrywających w nowej drużynie. Nieszczęsną nazwą dossier zrobiono mu zatem sporą krzywdę. Zrobiono tym wpadł na pomysł nazwy teki, ale od razu oburzyła ona lewicowych polityków i komentatorów. Ich zdaniem ma ona negatywne konotacje, wręcz rasistowskie.

Ursula von der Leyen (na pierwszym planie) zaproponowała kandydatów na komisarzy FOT. FRANÇOIS LENOIR/REUTERS/FORUM



Nowa szefowa KE dosyć szybko zaczęła tłumaczyć, czym jest ten europejski styl życia, opierając się na zapisach z traktatu lizbońskiego – to demokracja, tolerancja, praworządność.

Wątpliwości budzi także inna nowa teka – środowisko i oceany. Ma ona przypaść najmłodszemu potencjalnemu członkowi teamu von der Leyen – litewskiemu politykowi Virginjusowi Sinkevičiusowi. Już się mu wytyka, że jako 27-latek jest za młody na taką funkcję. Żeby było śmieszniej – frakcja Zielonych w PE odcina się od związków z litewską partią zielonych, którą reprezentuje ten polityk. Litewscy zieloni, którzy opowiadają się przeciwko aborcji, są zbyt konserwatywni dla europejskich zielonych. Za to z kompozycji nowej KE zniknęło portfolio rybołówstwa. I to także budzi protesty.

TIMMERMANS OD EKOLOGII

Jakkolwiek by popatrzeć na to spokojnie, w tej nowej układance krytykowani są właściwie wszyscy i wszyscy. Europejscy socjaliści nie mogą odżalować, że ich kandydat, spitzkandydat, Frans Timmermans nie został wybrany na szefa KE. Po szczycie G20 wydawało im się, że mają to zagwarantowane, a tymczasem Timmermans musi się zadowolić pozycją pierwszego wiceprzewodniczącego Komisji. W dodatku pierwszych wice-szefów jest troje, bo obok Timmermansa to także spitzkandydat liberałów, Margrethe Vestager, oraz dotychczasowy wiceprzewodniczący łotewski polityk Valdis Dombrovskis. Na zamkniętym dla mediów spotkaniu socjaliści narzekali, że Dombrovskis dostał za dużo, że nominowanie go na trzeciego pierwszego wiceprzewodniczącego oznacza osłabienie siły Timmermansa. Tym bardziej że bardzo mocne dossier dostała także Vestager, której poza „epoką cyfrową” powierzono także ponownie „konkurencję”.

Sam Timmermans także przyznał, że nie jest to szczyt jego marzeń. Teraz, zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami von der Leyen (taka była cena jej poparcia przez Grupę Wyszehradzką), przestanie się zajmować praworządnością. Niemka zapowiadała, że chce uszanować wrażliwość krajów środkowoeuropejskich, stąd nie zaproponowała jemu pozostania na tym samym stanowisku. Teraz zajmować się ma czymś, co nosi nazwę „zielony ład”. Chociaż i ta nazwa budzi rozbawienie, to nie sposób bagatelizować tego portfolio. Ekologia staje się nową świecką religią,

a jej kapłanem w nowej KE będzie właśnie Timmermans. To ochrona środowiska, to także zielona energia, czyli tematy związane np. z kopalniami i emisjami CO₂, będą właśnie podlegać zielonemu ładowi. Chodzić będzie o duże pieniądze, choć jeszcze nie wiadomo jakie dokładnie.

PRAWORZĄDNOŚĆ NA OSTRYM KURSIE

Dla socjalistów to jednak mało. Dodatkowo są niezadowoleni z tego, co się stało z teką praworządności. Teraz ma się tym tematem zajmować dwoje komisarzy: obecny wicepremier Belgii i minister spraw zagranicznych Didier Reynders oraz Czeszka Věra Jourová, która do tej pory w KE zajmowała się sprawiedliwością i ochroną konsumentów. Czy to oznacza, że zmieni się podejście do praworządności? Niekoniecznie. To przecież Reynders jest autorem pomysłu corocznego sprawozdania na temat praworządności w krajach członkowskich. Postulował, by stworzyć stały mechanizm – ustalić kryteria i co roku poddawać ocenie wszystkie kraje członkowskie. Jourová z kolei chciała, by łączyć przyznawanie funduszy unijnych z praworządnością. Potem tłumaczyła się polskim mediom, że nie chodziło jej o Polskę, ale raczej kraje mające problemy z przejrzystością w gospodarowaniu funduszami unijnymi, czyli w domyśle o Bułgarię i Rumunię. To, że teraz aż dwie osoby będą zajmować się jednym tematem, świadczyć może o tym, iż Komisja Europejska do praworządności będzie przykładającą dużą wagę. Zresztą Frans Timmermans z satysfakcją mówi, że naiwni są ci, którzy sądzą, iż temat ten umrze śmiercią naturalną. Może to także pomóc KE w zabawie w złego i dobrego policjanta. Nie brak jednak także innej opinii – że ta nowa konstrukcja to rozmycie odpowiedzialności i ryzyko przepychanek między Czeszką a Belgiem.

Ważne portfolio dostanie także francuska kandydatka, Sylvie Goulard. Przejmie ona tekę po Elżbiecie Bieńkowskiej, czyli rynek wewnętrzny, dodatkowo wzmocniony o politykę obronną. Chociaż UE nie ma i pewnie długo jeszcze nie będzie mieć wspólnej polityki obronnej, o armii nie wspominając, to jest jednak dążenie do zacieśniania więzów w dziedzinie przedsięwzięć zbrojowych. Francja w tym nowym rozdaniu może być więc zadowolona. Francuska Christine Lagarde będzie nową szefową Europejskiego Banku Centralnego, co

W domyśle KE miałyby bowiem bronić europejskiego stylu życia przed imigrantami z innych kontynentów. Niektórzy politycy mówili mi, że kojarzy im się z osławionym amerykańskim stylem życia, z połowy XX w., który promował białych bogatych obywateli USA. Niezadowolone jest jednak dostrzegalne także po prawej stronie, której nie podoba się to, że z oficjalnego nazewnictwa zniknęło słowo „imigracja”. Zdaniem tych polityków może oznaczać próbę jeszcze większego rozmycia polityki migracyjnej.

dla Paryża było od początku ważniejsze nawet od promowania własnego kandydata na szefa KE. A teraz ważne także w unijnym budżecie portfolio gospodarcze. Tym bardziej że francuski przemysł zbrojeniowy jest wciąż silny.

SZANSE POLSKI

A co ugrała dla siebie Polska? Po lipcowym szczycie unijnym pisałam, że razem z pozostałymi krajami V4 udało się Polsce nie dopuścić do wyboru Fransa Timmermansa na szefa KE i że to jest jedynie część porozumienia zawartego między premierem Mateuszem Morawieckim a niemiecką kandydatką na przewodniczącą KE (V4 uzależniło tym poparcie dla niej).

Drugim elementem miało być ważne gospodarcze portfolio dla Polski. Wtedy raczej oficjalnie typowano energię, przemysł lub – jak pisałam w tekście dla „Do Rzeczy” – rolnictwo. Teraz politycy związani z PiS mówią mi, że celem od początku było właśnie rolnictwo. Przez chwilę w grze pojawiła się teka rozszerzenia, ale to nie ona była marzeniem Warszawy. Do tej pory nieczęsto się zdarzało, by rolnictwo przypadało dużym krajom z silnym profilem rolniczym. W obecnej KE co prawda komisarzem ds. rolnictwa jest Irlandczyk (Phil Hogan), ale Irlandia nie należy do największych krajów unijnych.

Wspólna polityka rolna i polityka spójności to dwie najbardziej kosztowne dziedziny unijnego budżetu. W nowym budżecie na lata 2021–2027, pomimo proponowanych wcześniej cięć w budżecie, na rolnictwo ma być przeznaczonych prawie 400 mld euro. Polska od początku, czyli od chwili ogłoszenia pierwszego projektu tego budżetu w maju 2018 r., upominała się nie tylko o hojną politykę rolną, lecz także o wyrównanie dopłat dla polskich rolników, którzy obecnie otrzymują mniej niż rolnicy z Francji czy Niemiec. Polska chciała także dofinansowania dla hodowców wszystkich gatunków bydła i trzody chlewnej (obecnie tylko rzadkie gatunki były wspierane finansowo) oraz większego wsparcia dla małych i średnich gospodarstw rolnych. Do tej pory bowiem, według wyliczeń rządu, 80 proc. pieniędzy trafia do wielkich gospodarstw, do tych małych tylko 20 proc. Z takimi postulatami przyjechał do Brukseli kilka miesięcy temu Mateusz Morawiecki. Rozmawiał o tym zarówno z komisarzem ds. budżetu Guntherem Oettingerem, jak i właśnie Hoganem. Polska zatem jest jednym z aktywnych i zdecydowanie zaintereso-

wanych tematem przyszłości WPR krajem. Powierzenie takiemu właśnie państwu portfolio rolnicze jest rzadkością i należy to uznać za sukces polskiego rządu. Z moich nieoficjalnych informacji wynika, że od lipca było co najmniej kilka rozmów na ten temat między premierem Morawieckim a nową szefową KE. Nawet po ostatnim uszczupleniu kompetencji komisarza ds. rolnictwa – kwestie pomocy państwa rolnikom zostaną przeniesione do dyrekcji ds. konkurencji – to wciąż jedna z mocniejszych tek. Prawie 800 urzędników, potężny budżet i możliwości negocjowania z innymi komisarzami. A przy okazji negocjacji warto wspomnieć, że prawdopodobnie nie wejdzie w życie umowa handlowa Mercosur. Sprowadzanie bez ceł żywności z krajów południowoamerykańskich byłoby uderzeniem w rolników europejskich, także polskich. Kilka miesięcy temu wspólny list napisali w tej sprawie premier Morawiecki, premierzy Irlandii i Belgii oraz prezydent Francji. Ich sojusznikiem jest PE, który będzie się sprzeciwiał tej umowie. To będzie oczywiście także jedno z zadań dla nowego komisarza.

KANDYDACI Z KŁOPOTAMI

Po tym, jak ostatecznie zapadła decyzja, że Polska dostanie jednak tekę rolnictwa, z ubiegania się o fotel komisarza zrezygnował Krzysztof Szczerski, który bardziej widział siebie jako komisarza ds. rozszerzenia. Kto wpadł na pomysł, by nowym kandydatem na komisarza został Janusz Wojciechowski, nie wiadomo. Polityk wcześniej związany z PSL podkreśla swoje przywiązanie do wsi. Polityką rolną zajmował się także jako europoseł. W Parlamencie Europejskim zasiadał przez trzy kadencje, a obecnie pracuje w Europejskim Trybunale Obrachunkowym. Europosłowie – zarówno z PO, PSL, jak i SLD – podkreślali, że Wojciechowski, prosząc o spotkanie z nimi, wykazał się dobrą wolą. A w trakcie spotkania mówił o swojej wizji rozwoju polityki rolnej – wspierania małych gospodarstw, których rocznie w całej UE tysiące plajtuje, oraz upraw bardziej ekologicznych.

Jest jednak jeden problem. OLAF (Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych) wciąż prowadzi dochodzenie w sprawie wydatków Wojciechowskiego z czasów, gdy był europosełem. Wojciechowski mówi mi, że sam zwrócił się do OLAF z prośbą o jak najszybsze zakończenie dochodzenia i przedstawienie jego wyników, bo wyjaśnił już wszystkie wątpliwości i zwrócił ok. 10 tys. euro, które

były źle zaksięgowane. Ten temat pojawi się z pewnością w czasie zaplanowanego na 1 października przesłuchania przed komisją rolną w PE. Podobnie jak pytania o praworządność w Polsce.

Podobne kłopoty mają także inni kandydaci na komisarzy. Francuzka Sylvie Goulard, w sprawie której OLAF również prowadzi dochodzenie (chodzi o wydatki jej partii w PE), była przesłuchiwana przez policję. W kontekście niejasnych rozliczeń finansowych pojawia się także nazwisko hiszpańskiego kandydata na szefa unijnej dyplomacji Josepa Borrelli. Sprawa dotyczy fundacji, w której zasiadał. Ostatnio media belgijskie pisały także, że na policję zgłosił się były agent służb, który oskarżył o korupcję i malwersacje finansowe przy zamykaniu placówek dyplomatycznych belgijskiego kandydata Didiera Reynersa. Media niemieckie z kolei w ubiegłym roku pisały o przekrętach finansowych w niemieckim MON, w czasach gdy szefowała tam Ursula von der Leyen.

Rumuńska kandydatka Rovana Plumb już w ubiegłym tygodniu została odrzucona. To samo spotkać może László Trócsányi, który był ministrem sprawiedliwości w rządzie Viktora Orbána, gdy reformowano węgierski wymiar sprawiedliwości. Węgier miałby odpowiadać za rozszerzenie, czyli także sprawdzać stan praworządności w krajach kandydujących. Dziennikarze brukselscy mówią, że to kpina, podobnie jak kpina jest propozycja, by gospodarką unijną miał się zająć polityk z borykających się z problemami gospodarczymi Włoch, były premier Paolo Gentiloni.

Europosłowie będą głosować nad Komisją Europejską jako całością. Zatem jeśli po przesłuchaniach okaże się, że jakiś kandydat słabo wypadnie, to dany rząd będzie musiał wystawić nowego kandydata. Kogo mogą „ustrzelić” europosłowie? Węgier jest wspierany przez EPP, Francuzka przez dawnych liberałów, a obecnie odnowicieli Europy, Rumunka przez socjalistów, a Polak przez ECR. Gdyby odpadł ktoś z tzw. nowej Europy, byłoby to źle widziane i symetrycznie powinien także polecieć ktoś z tzw. starej Europy. Niewykluczone jednak, że efektem wzajemnego klinczu będzie to, iż ostaną się wszyscy kandydaci. Bez wątplenia jednak przed nami emocjonujący spektakl wysłuchań przed PE, które pokażą przy okazji, jakie nieformalne polityczne sojusze zawarto...

MACRON CHCE STRAJKU W POLSCE

Prezydent Francji – kraju, w którym klimat zanieczyszczają płonące na ulicach opony i całe samochody – ujawnił dziennikarzom, kto powstrzymuje realizację pomysłu, by w 2050 r. wszystkie kraje UE były „neutralne klimatycznie”. Stwierdził, że jedynym krajem blokującym zmiany jest Polska. I wezwał młodych ludzi do organizowania manifestacji nad Wisłą.



FOT. UNI LANSERD/POOL/ARREST NEWS

BRYTYJCZYCY BĘDĄ BEZMIĘSNI?

Brytyjski prawnik, który występował na konwencji Partii Pracy, powiedział tamtejszym mediom, że w przyszłości Wielka Brytania może zakazać jedzenia mięsa. Spożywanie mięsa powoduje bowiem niszczenie planety. Michael Mansfield zauważył, że świat się zmienia i kiedyś też było nie do pomyślenia, żeby zakazywać ludziom palenia papierosów w budynkach.

SEKSEDUKACJA DLA MAŁYCH DZIECI

Część brytyjskich rodziców oburzyła się z powodu programu „Wszystko o mnie”, wprowadzonego w 241 szkołach podstawowych w środkowej Anglii. Tabloidy dotarły do dokumentów, które opisują, co nauczyciele mają podczas takich zajęć opowiadać sześciu- i siedmiolatkom. Dzieci mają

m.in. usłyszeć o „zasadach dotykania się”. Nauczycielom radzi się, by mówili dzieciom, że dotykanie samego siebie może sprawiać przyjemność i że wiele osób to robi.

WESELA ŚCIŚLE REGULOWANE

Władze Uzbekistanu uznały, że obywatele przepuszczają pieniądze na imprezy organizowane ze zbytecznym rozmachem.

W trosce o to, by się potem nie zapożyczali, zmieniono prawo. Zgodnie z nową regulacją uroczystości rodzinne będą mogły trwać jedynie przez jeden dzień w godz. 6–23. Ich liczebność zostanie ograniczona do maksymalnie 200 osób. Wyjątkiem będą pogrzeby – te uroczystości mogą potrwać do trzech dni. O weselu trzeba zawiadomić urzędników samorządowych co najmniej tydzień wcześniej. A w orszaku weselnym jechać mogą najwyżej trzy samochody. Nie można będzie też urządzać pokazów bogactwa – czyli tzw. prezentacji posagu.

UTONAŁ PODCZAS OŚWIADCZYN

Para Amerykanów spędzała wakacje w Tanzanii. Steven wpadł na nietypowy sposób, by oświadczyć się swojej partnerce Keneshy. Ponieważ wynajmowali luksusowy bungalow z podwodnym pokojem, mężczyzna zanurkował i przytknął do okna kartkę z oświadczeniami. Zdążył jednak już tylko wyjąć pierścionek zaręczynowy. Potem próbował dopłynąć do powierzchni, ale mu się nie udało. Utonął. ☹☹

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

„Potrzymaj mi kota...”

Pora stworzyć kolejny mem z Naczelnikiem z serii „Potrzymaj mi kota”. Jakiś niedowiarek zwracałby się do Kaczyńskiego: „Ale Platformy to już bardziej nie uda się pograć”. A prezes na to: „Nie? To potrzymaj mi kota i patrz”. I wtedy pojawia się Klaudia Jachira.

Jachira jako kandydatka PO nie robi w gruncie rzeczy nic innego, niż robiła zawsze: nadal produkuje chamowate i prymitywne filmiki lub zdjęcia, nastawione na

klientelę polityczną w rodzaju tej, którą zachwyca „Sok z buraka”. Tyle że teraz stawką jest szersza rozpoznawalność, miejsce w Sejmie, dalsza kariera. Dlatego Jachiry kompletnie nie obchodzi, jak jej działania wpływają na odbiór PO jako całości. Ona nie gra w drużynę, gra wyłącznie na siebie. W polityce na dłuższą metę to się zawsze mści, ale Jachira tego najwyraźniej jeszcze nie rozumie.

Owszem, jest jakaś część radykalnego, agresywnego elektoratu, sieroty po KOD, któremu jej

styl się podoba, i może te głosy komedianka przyciągnie. Zarazem jednak odbierze je komuś innemu z warszawskiej listy PO, a na dodatek w planie ogólnopolskim już jest błogosławieństwem dla PiS. W ciągu paru dni udało się jej przyćmić Małgorzatę Kidawę-Błońską i pokazać PO jako ugrupowanie żywiące się prymitywnymi żarcikami z katastrofy smoleńskiej i polskiej tradycji.

A wszystko to idzie na konto Grzegorza Schetyny. To on wciągnął Jachirę na listę PO. ☹☹

Gdzie jest Ghislaine



Joanna Bojańczyk

Partnerka Jeffreya Epsteina i organizatorka jego pedofilskich haremów po śmierci miliardera zniknęła

Jeffrey Epstein, amerykański miliarder i finansista, odpowiedzialny za zorganizowanie na dużą skalę sutenerskiego procederu z udziałem nieletnich, 10 sierpnia został znaleziony martwy w celi nowojorskiego więzienia. Samobójstwo wydaje się mało prawdopodobne, zważywszy na to, ilu osobom z pierwszych stron gazet mogły zaszkodzić jego zeznania. W niewyjaśniony dotąd sposób jego ciał nie była objęta specjalnym nadzorem, tzw. suicide watch, choć powinna, bo dwa tygodnie wcześniej oskarżony próbował popełnić samobójstwo.

W „sprawie Epsteina” wiele ciekawego do powiedzenia miałyby jego długoletnia partnerka i współorganizatorka imprez seksualnych, na które do luksusowych rezydencji zapraszano ważne osoby z nowojorskiej i londyńskiej socjety. Nie przedstawiono jej zarzutów, jednak wiadomo, że jej zeznania mogłyby popsuć humor, a może i reputację, paru VIP-ów.

Ghislaine Maxwell, córka angielskiego rekina prasowego, od czasu śmierci swego partnera pozostaje nieuchwytna. Nie bywa na przyjęciach, na imprezach,

które dotychczas były jej żywiołem. Jedni mówią, że ukryła się w Rosji, gdzie nie dosięgłaby jej amerykańska procedura ekstradycyjna. Inni, że przebywa w Bostonie.

Na razie zeznają tylko poszkodowane. „Dla nich wszystko sprowadzało się do seksu” – powiedziała o Ghislaine i Epsteinie jedna z nich, Virginia Giuffre z domu Roberts.

Ghislaine Maxwell poznała w 1999 r. w Mar-a-Lago, prywatnym klubie na Florydzie należącym do Donalda Trumpa. Była tam skromną urzędniczką. Gdy elegancka Ghislaine zaproponowała jej wykonanie masażu, nie widziała w tym niczego podejrzanego. Miała 16 lat, wynagrodzenie było zachęcające. Nawet ojciec ją zachęcał. Ghislaine przyjęła ją na ulicy El Brillo Way w eleganckiej willi.

Na piętrze czekał już leżący na brzuchu „bardzo bogaty człowiek”. Nazywał się Jeffrey. Kobieta zadawała dziewczynie coraz bardziej intymne pytania. Ta wyznała, że jest dziewczą. Obecna w pokoju Ghislaine rozebrała się i zachęcała Virginie, aby zrobiła to samo. Krok po kroku dziewczyna została zmuszona do seksu

z Epsteinem. To od tego dnia rozpoczął się okres jej „niewolnictwa seksualnego” u tej pary oraz nowych znajomości o takim charakterze, które miały trwać przez trzy lata.

BIEDNA BOGATA DZIEWCZYNIKA

Kim jest współniczka Epsteina, pani Maxwell? Przyszła na świat 25 grudnia 1961 r. jako dziewiąte dziecko w rodzinie magnata prasowego Roberta Maxwella. Po śmiertelnym wypadku, w którym kilka miesięcy wcześniej zginął syn Michael, córeczka została przyjęta z radością. Wychowywała się w 53-pokojowej rezydencji Headington Hill Hall niedaleko Oksfordu.

Ojciec, Robert Maxwell (wcześniej Ján Ludvík Hyman Binyamin Hoch, dziecko biednej żydowskiej rodziny z Czech), był dla niej wyjątkowo czuły. Ten zbieg, któremu udało się uwolnić od nazistowskich prześladowań, żołnierz II wojny światowej, odznaczony za zasługi również w służbie w armii brytyjskiej, po wojnie osiedlił się w Anglii i już jako Maxwell rozpoczął karierę w branży prasowej. Udział w denazyfikacji Berlina okazał się pomocny w nawiązaniu kontaktów z niemieckim wydawcą branży naukowej. To dało początek sukcesom na rynku wydawnictw prasowych w Wielkiej Brytanii, które uczyniły Maxwella jednym z najbogatszych ludzi na Wyspach. Jednak w 1989 r. musiał sprzedać zadłużony biznes, w tym wydawnictwo Pergamon Press, które wcześniej rozwinął. Jego ciało zostało znalezione w 1991 r. niedaleko wybrzeży Hiszpanii – wypadł ze swego luksusowego jachtu, który na cześć córki nazwał „Ghislaine”.

Córka, obdarzona inteligencją i zdolnościami organizacyjnymi, otrzymywała wcześniej liczne zadania od ojca. Została nawet przedstawiona królowej Elżbiecie w pałacu Buckingham. Sama założyła własny biznes firmowych prezentów, ale przedsięwzięcie splajtowało. Z pomocą przyszedł ojciec, który spłacił długi. Tej przysługi odmawiał innym dzieciom.

Wysłał Ghislaine do Nowego Jorku, gdzie kupił tabloid „Daily News”. Później wyszło na jaw, że zdefraudował miliard euro z funduszu emerytalnego pracowników. Rodzina była zrujnowana. Headington Hill Hall i jacht „Ghislaine” zostały sprzedane. Spadkobiercy – Ian i Kevin Maxwellowie – zostali postawieni przed sądem. Ghislaine udało się

FOT. PATRICK MCKILLIAN/GETTY IMAGES

burzę ominąć, ale chodząc po Londynie, wkładała blond perukę, żeby nie być rozpoznaną.

Postanowiła wyjechać do Nowego Jorku. Miała 100 tys. dol. i ubezpieczenie na życie, które nie dostało się w ręce komorników. To było za mało na rozpoczęcie biznesu. Zaczęła pracować jako agentka nieruchomości. Tamara Beckwith, osoba z nowojorskiej elity, przedstawiła ją Epsteinowi. Powstał układ korzystny dla obojga. On wniósł pieniądze, ona kontakty.

HAREM EPSTEINA

Brylowali na imprezach. Ghislaine zachowywała się wyzywająco. Potrafiła rzucić w oczy nowo poznanemu finansistcie: „Będziemy uprawiać seks?”. Szybko jednak awansowała w towarzyskiej hierarchii. W 2000 r. na nowojorskim Fashion Weeku została sfotografowana obok księcia Andrzeja, przyjaciela Epsteina. To była konsekracja.

Nikt nie wie, że w tym czasie Epstein dysponował prawdziwym haremem, który całodobowo czekał na niego w budynku przy 66 Ulicy. Za rekrutację kandydatek odpowiadać miała Ghislaine.

Nie gardziła też seksem z niektórymi z nich.

Któregoś dnia „szefowa” oznajmiła Virginii, że pozna księcia. Dziewczyna od razu rozpoznała księcia Andrzeja, syna królowej Elżbiety. Nazajutrz Ghislaine powiedziała, że książę był zadowolony. Nastąpiły dalsze spotkania, np. z adwokatem Alanem Dershowitzem, gwiazdą nowojorskiej palestry.

Jak twierdzi dziennikarz śledczy Eric Margolis, wszystko było filmowane ukrytymi kamerami. Cel oczywisty – szantaż.

Amerykański wymiar sprawiedliwości interesuje się także Francuzem Jeanem-Lukiem Brunelem, szefem agencji modelki MC2, którego trzy dziewczyny oskarżają o gwałt.

W kręgu zainteresowania są również: Ehud Barak, były premier Izraela, oraz Bill Richardson, były gubernator stanu Nowy Meksyk. Do przyjaciół Epsteina należał także Bill Clinton.

Któregoś dnia Epstein wysłał Virginie do Tajlandii. Misja: przywieźć małą Azjatkę. Zamiast tego dziewczyna spotkała Robbiego Giuffrę’a. Miłość od pierwszego wejrzenia, ślub. Kiedy

jednak Virginia, szczęśliwa, zadzwoniła do Epsteina, spodziewając się usłyszeć gratulacje, on rzucił słuchawkę. Ghislaine i adwokat Epsteina zasypywali ją telefonami, żądając gwarancji milczenia.

Wkrótce odezwało się także FBI, które miało już donosy na Epsteina. Virginia zaczęła zeznawać. Miliarder został skazany na 18 miesięcy więzienia z prawem opuszczania więzienia do „pracy”. Zrećnie się wywinął, odsiadując tylko 13 miesięcy.

Zarówno Epstein, jak i Ghislaine podawali zeznania dziewczyny, ale w śledztwie zeznawały też inne ofiary miliardera i potwierdzały jej wersję.

Ghislaine na przesłuchaniach zachowywała się bezczelnie – przedrzeźniała śledczych. Od aresztowania Epsteina Maxwell zniknęła. „New York Post” donosi, że śledczy mają tysiące dokumentów, z których wynika, iż w aferze poszkodowane są setki nieletnich dziewczyn. 12 sierpnia ta sama gazeta zamieściła zdjęcie Maxwell na tarasie baru z hamburgerami. Fotografowi rzuciła tylko bezczelnie: „Raczej już nie wrócę do tego miejsca”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Celtic Woman Ancient Land

KONCERTY

4 LISTOPADA 2019 - SALA ZIEMI POZNAŃ CONGRESS CENTER

6 LISTOPADA 2019 - DOM MUZYKI I TAŃCA ZABRZE

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

celticwoman.com



Turystyczne tsunami



Jacek Przybylski

Ponad pół miliona osób uwieczonych w hotelach i na lotniskach w różnych zakątkach globu. To efekt upadku najstarszego na świecie biura podróży. Bankructwo brytyjskiego touroperatora pociągnęło też za sobą upadek spółki Neckermann Polska. A to dopiero początek rewolucyjnych zmian

Człowiek, który podróżowanie uczynił łatwiejszym" – taki napis zdobi nagrobek brytyjskiego przedsiębiorcy, który w XIX w. założył pierwsze na świecie biuro podróży. Thomas Cook podróżniczego bakcyła złapał, gdy jako baptystyczny kaznodzieja z doświadczeniem w szkółce niedzielnej przemierzał Anglię, ostrzegając napotkaną ludność przed niebezpieczeństwami związanymi z grzechem, a zwłaszcza z piciem alkoholu.

W 1841 r. Cook zorganizował dla ponad stu osób pierwszą wycieczkę turystyczną na trasie Leicester – Loughborough. Celem był wiec abstynentów. W latach 60. XIX w. jego biuro podróży pomagało już młodym arystokratom i zamożnym intelektualistom w organi-

zacji ich Grand Tour po Europie, a także wysyłało klientów na wycieczki do Francji, Szwajcarii czy Włoch. Pod koniec XIX w. założona przez niego firma miała już swoje oddziały w wielu europejskich krajach i wysyłała bogatych klientów zarówno na drugą stronę Atlantyku, jak i na egzotyczne wakacje w Afryce.

Firma Thomas Cook & Son nazywana była też turystycznym agentem Imperium. Przedsiębiorczy podróżnik wraz z synem organizował bowiem m.in. przerzut kilkunastu tysięcy żołnierzy oraz kilkudziesięciu tysięcy ton towarów nad Nil w ramach operacji pomocy dla gen. Gordona (który mimo wszystko zginął podczas powstania Mahdiego, bo odsiecz przybyła o dwa dni za późno).



FOT. CLARA MARIAS/CITY IMAGES

przekroczył już 2,1 mld dol., czyli równoważność 8,4 mld zł. Jak wyliczył Reuters, tylko po to, aby spłacić odsetki od długu, Thomas Cook musiał rocznie sprzedawać trzy miliony pakietów wakacyjnych. Tak wielkie długi sprawiły, że spółka z trudem mogła konkurować z o wiele bardziej elastyczną konkurencją internetową, która dzięki stosunkowo niewielkim kosztom może oferować niższe ceny. Wartość jednej akcji spółki spadła więc z 1,67 dol. we wrześniu 2018 r. do zaledwie 0,15 dol. w lipcu obecnego roku.

Menedżerowie skarżyli się m.in. na fatalne skutki niepewności związanej z brexitem, która pogorszyła nastroje konsumentów, a także osłabiła funta, przez co zagraniczne wakacje stały się dla Brytyjczyków bardziej kosztowne. Lecz choć to wszystko prawda, to konkurencyjny TUI – który również ma wielu klientów z Wielkiej Brytanii – nie doświadczył aż takiego wpływu brexitu na swoje wyniki. Do upadku legendarnej firmy miało też doprowadzić wyjątkowo ciepłe lato, przez które wielu mieszkańców Wysp zdecydowało się spędzić wakacje w ojczyźnie. Najprawdopodobniej jednak kluczową przyczyną upadku historycznej spółki była fatalna jakość zarządzania, mimo fortuny wydawanej na zarządzających.

W Wielkiej Brytanii ruszyło już dochodzenie w sprawie zarobków kadry zarządzającej Thomasa Cooka, która mimo kiepskich wyników kosztowała firmę wiele milionów funtów. Sam prezes zarządu, wspomniany Szwajcar Peter Fankhauser, od listopada 2014 r. zarobił 8,3 mln funtów, czyli równoważność ok. 40 mln zł.

AKCJA REPATRIACJA

W ostatnich dniach menedżerowie Thomasa Cooka próbowali pożyczyć 200–250 mln funtów, które miały pomóc spółce przetrwać zimę. W ubiegłą sobotę związek zawodowy skupiający pracowników grupy poprosił rząd w Londynie o pomoc finansową, która miała uratować ją przed upadkiem. Gdy rozmowy ostatniej szansy zarówno z inwestorami, jak i z władzami nie przyniosły rezultatu, w poniedziałek rano 178-letnia firma ogłosiła upadłość. Ta wiadomość oznaczała, że firma nagle przestała funkcjonować, na czym ucierpiało ok. 600 tys. jej klientów, rozsianych po różnych zakątkach globu.

Rząd w Londynie powołał niemalże nową linię lotniczą, aby sprowadzić do kraju ponad 150 tys. brytyjskich turystów, uwieczonych poza granicami kraju.

W ramach akcji pod kryptonimem „Operacja Matterhorn” – największej tego typu operacji w czasach pokoju – władze wycaraterowały kilkadziesiąt samolotów, w tym wynajęty od Malaysia Airlines największy samolot świata, dwupoziomowy Airbus A380, który potrafi zabrać na pokład ponad 550 pasażerów. Mimo zaangażowania tak ogromnych sił operacja repatriacyjna potrwa do 6 października. Jej koszt szacowany jest zaś na ok. 750 mln dol. Brytyjski premier Boris Johnson nie ukrywał więc oburzenia na gigantyczne wynagrodzenia zarządu, który dopuścił do tego, że firma poszła na dno. – Musimy się zastanowić, co zrobić, aby takie rzeczy się nie powtarzały? Jak się upewnić, że touroperatorzy podejmą odpowiednie środki zabezpieczające w swych modelach biznesowych, aby nie dochodziło do sytuacji, w której podatnik, państwo musi wkładać, by sprowadzać ludzi do domu? – pytał szef rządu w Londynie.

W Niemczech, skąd pochodzą tysiące klientów Thomasa Cooka, koordynacją powrotów zajęły się firmy ubezpieczeniowe. Ubezpieczyciele powinni też byli sfinansować dalszy pobyt gości w hotelach. Zamiast tego wielu turystów różnych narodowości, w tym Polaków, poczuło, że ich wakacyjny raj nagle zamienił się w piekło.

Część osób została przez hotelarzy wyrzucona z nieopłaconych przez biuro podróży pokoi. Do opornych, którzy nie chcieli opuścić apartamentów, za które przecież zapłacili Thomasowi Cookowi, niektóre obiekty wzywały policję.

Aby nie spać pod gołym niebem, za kontynuowanie wakacji podróży musieli raz jeszcze zapłacić, tym razem już bezpośrednio w recepcji wybranych obiektów. Część hotelarzy zażądała także od klientów upadłego biura dodatkowych pieniędzy za jedzenie i picie – formuła all-inclusive również nie została bowiem opłacona. Ci turyści, których to nie spotkało, z przerażeniem czytali tego typu relacje, obawiając się, że oni będą następni.

Ponieważ pobyty są ubezpieczone, wyrzuceni turyści nie powinni długo czekać na nowe pokoje – ubezpieczyciel powinien im zorganizować pobyt w innych obiektach. Przynajmniej w teorii. W praktyce hotelarze zachęcali gości, aby jeszcze raz zapłacili za pokój, a po powrocie do kraju walczyli o należne im odszkodowanie.

Aby ułatwić życie turystom, jeden z brytyjskich hoteli na Teneryfie bezpłatnie zaoferował jednak wolne pokoje tym

W XXI w. Thomas Cook Group PLC był potężnym imperium, w skład którego wchodziło nie tylko biuro podróży, lecz także własne czarterowe linie lotnicze oraz wielka sieć własnych hoteli. W sumie najstarsze na świecie biuro podróży wysyłało na wakacje w 16 krajach świata niemal 20 mln ludzi rocznie i zatrudniało na całym świecie 22 tys. osób.

Jeszcze w marcu zeszłego roku Peter Fankhauser, dyrektor Thomasa Cooka, był dumny z ogłoszonej trzyletniej strategii rozwoju spółki, której celem było dostosowanie kierowanej przez niego firmy do wymagań ekologów i doprowadzenie do wypełnienia przez turystyczną grupę wymagań zgodnych z założeniami porozumienia klimatycznego z 2015 r. oraz Agendą 2030, m.in. poprzez obniżenie emisji spalin przez posiadane samoloty, co musiało wiązać się z dodatkowymi wydatkami.

Jednocześnie od lat wiadomo było, że spółka boryka się z potężnym, szybko narastającym zadłużeniem. Jego poziom

■ klientom Thomasa Cooka, którzy zostali wyrzuceni z innych obiektów.

TRZĘSIENIE ZIEMI

Bankructwo brytyjskiego giganta uderzy też w firmy ubezpieczeniowe, które powinny pokryć choć część strat. Przede wszystkim stracą jednak hotelarze. Niektóre hotele współpracowały wyłącznie z Thomasem Cookiem. Jego upadek może więc wywołać efekt domina. W Polsce reprezentująca Thomasa Cooka firma Neckermann Polska najpierw – w poniedziałkowym komunikacie – poinformowała, że jest „odrębną spółką polskiego prawa handlowego” i „znajduje się w stabilnej kondycji finansowej”, ale zaledwie dzień później „mając na celu ochronę klientów przed ryzykiem utrudnień” anulowała wtorkowe wyloty na Zakynthos i Majorkę oraz wszystkie wyloty 25 września. W zeszłą środę zarząd spółki ogłosił, że wkrótce złoży do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy wniosek o ogłoszenie upadłości Neckermann Polska. Spółka zadeklarowała także zawieszenie wszelkiej działalności operacyjnej związanej ze sprzedażą w Polsce produktów turystycznych.

„Bezpośrednim powodem powyższych działań jest ogłoszenie w dniu 23 września 2019 r. upadłości przez Thomas Cook PLC, a w konsekwencji także ogłoszenie w dniu 25 września 2019 r. upadłości spółki Thomas Cook GmbH, właściciela 100% udziałów w Neckermann Polska” – napisał w komunikacie Maciej Nykiel, prezes zarządu Neckermann Polska.

Gdy zamykałoby to wydanie „Do Rzeczy”, z Neckermann Polska poza granicami kraju przebywało ponad 3,5 tys. osób. Część z nich również zgłaszała podobne problemy z pobytem w hotelach jak klienci Thomasa Cooka. Z informacji Urzędu Marszałkowskiego Województwa Mazowieckiego wynikało jednak, że firma Neckermann Polska posiada gwarancję ubezpieczeniową na 25 mln zł. Prawa polskich klientów zabezpiecza także Turystyczny Fundusz Gwarancyjny, który zostanie uruchomiony, jeśli okaże się, że pieniądze z ubezpieczenia nie wystarczą na pokrycie kosztów wycieczek i powrotu turystów do kraju.

Po bankructwie Thomasa Cooka w tarapaty wpadły też firmy z innych krajów. W Grecji Krajowa Konfederacja Turystyczna SETE podała, że bankructwo Thomasa Cooka będzie oznaczało straty dla lokalnych firm z branży turystycznej w wysokości od 250 do 500 mln dol. Na

500 mln euro potencjalne straty wyceniła z kolei grecka federacja hotelarska (HFF).

„Nasz sektor turystyczny nigdy wcześniej nie doświadczył bankructwa na taką skalę. To trudny przypadek, który wiąże się z ogromnymi kosztami i wieloma konsekwencjami” – oświadczył na Twitterze prezes SETE Andreas Andreadis. Zaapelował jednocześnie do rządu w Atenach o wprowadzenie specjalnego pakietu rozwiązań, mającego ochronić grecki przemysł turystyczny, m.in. zwolnienie z zapłaty podatku VAT z niezrealizowanych faktur wystawionych na Thomasa Cooka. Wiele pobytów nie zostało bowiem opłaconych z góry. Niewykluczone więc, że hotelarze o swoje

**Na bankructwie giganta stracą
m.in. gospodarki Bułgarii,
Cypru, Finlandii, Grecji,
Hiszpanii, Włoch, Tunezji i Turcji**

pieniądze będą więc musieli walczyć w sądach. – To trzęsienie ziemi o skali siedmiu stopni, teraz czekamy na tsunami – ocenił Michalis Vlatakis, prezes stowarzyszenia biur podróży na Krecie. – To tsunami dla włoskich hotelarzy – oznajmił z kolei szef ich stowarzyszenia w Italii Bernabo Bocca, wyjaśniając, że do kierowanej przez niego organizacji zgłosiło się wielu hotelarzy, którym angielskie biuro podróży winne jest dziesiątki, a czasem nawet setki tysięcy euro. Bocca zaapelował więc do rządu w Rzymie o interwencję u władz w Londynie i pomoc w ochronie włoskiej branży turystycznej. Thomas Cook współpracował bowiem z tysiącami włoskich hoteli.

Z kolei eksperci w Hiszpanii wstępnie szacują, że tamtejsza gospodarka na bankructwie giganta straci ponad 200 mln euro, co może doprowadzić do likwidacji ponad 13 tys. miejsc pracy.

Na 50–100 mln euro straty bułgarskiej gospodarki wycenił zaś były minister turystyki tego kraju Rumen Draganow, obecnie dyrektor instytutu analiz branży turystycznej. Linie czarterowe Thomasa Cooka wykonywały ponad 50 proc. lotów na lotniska w Warnie i Burgas. Również Draganow mówi więc o „prawdziwym tsunami”. Lista poszkodowanych jest bardzo długa. Upadek brytyjskiego touroperatora bardzo mocno odczują również hotelarze w Turcji (według federacji TÜROFED tamtejsi

hotelarze mogą stracić 600–700 tys. gości rocznie), Tunezji (tylko za pobyty turystów w lipcu i sierpniu Thomas Cook jest winien 60 mln euro), w Egipcie, na Cyprze (podróżujący z brytyjskim biurem stanowili ok. 6 proc. wszystkich przylatujących na wyspę Afrodyty) oraz w Finlandii.

SZANSA NA ZARÓBEK

Ci turyści, którzy próbowali wykupić bilety na powrót na własną rękę, skarżą się na postawę szefów niektórych linii lotniczych: po ogłoszeniu bankructwa Thomasa Cooka ceny lotów rosły bowiem z godziny na godzinę w takim tempie, jakby cały świat ogarnięty był problemem gigantycznej hiperinflacji. Błyskawicznie ceny przelotów podnieśli np. tacy przewoźnicy jak Ryanair, easyJet czy British Airways (w przypadku niektórych połączeń w ciągu kilku godzin rosły one o ponad 300 proc.).

Kryzys wywołany przez firmę Thomas Cook może być szansą na rozwój dla konkurencyjnych biur podróży i linii czarterowych, w tym dla polskich firm. Tylko w poniedziałkowy poranek akcje niemieckiego TUI poszybowały o ponad 10 proc. W Polsce zyskają też prawdopodobnie tak duże biura jak Itaka czy Rainbow, który już zaproponował rabaty dawnym klientom Neckermanna.

Po bankructwie brytyjskiego przewoźnika większe szanse na zarobek będzie też miała polska linia czarterowa Enter Air.

Na upadku Thomasa Cooka zyskać mogą też tanie linie oraz serwisy internetowe typu Booking.com, Hotels.com czy Expedia. Przybywa bowiem podróżnych, którzy zamiast korzystać z tradycyjnych biur podróży, wolą samodzielnie organizować i opłacać swoje wakacje. Mniejsza konkurencja na rynku może jednak oznaczać wyższe ceny.

LEKcja KODAKA

Upadek Thomasa Cooka nie był niespodzianką dla ludzi związanych z branżą turystyczną. Jeśli już, to zaskoczeniem było to, że ktoś rzeczywiście dopuścił, aby najstarsze biuro podróży upadło, zamiast w odpowiednim czasie powołać dobrych menedżerów, którzy przywróciłyby je do dawnej kondycji. Bankructwo tak olbrzymiej i znanej firmy przypomina też upadek imperium Kodaka, które w wyniku fatalnego zarządzania po 131 latach istnienia w 2012 r. musiało ogłosić bankructwo. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

A Platforma? A... Platforma

Właśnie złapałem się na tym, że od dawna, a właściwie – biorąc pod uwagę cotygodniowy rytm felietonowy – od bardzo dawna nie zajmowałem się opozycją. A przecież idą wybory, ba, jedno – do europarlamentu – mamy już nawet za sobą, a kolejne – do Sejmu i Senatu – tuż-tuż i w rzeczywistości niemal od początku roku – z krótkimi przerwami – trwa gorąca kampania przedwyborcza. Odbijają się konwencja za konwencją, ogłaszane są programy za obietnicą. Dlaczego więc na śmierć zapomniałem o opozycji?

Cóż, jak sądzę, szkoda mi dziś czasu na zajmowanie się jej ofertą programową, a tym bardziej kadrową – chyba jednak nie z tego powodu, a przynajmniej – nie głównie z tego powodu, że wyniki sondaży opinii publicznej nie tylko największej partii opozycyjnej – Platformie Obywatelskiej, lecz nawet wszystkim partiom opozycyjnym razem wziętym – nie dają wielkich szans na przejęcie władzy.

Zapomniałem o opozycji pewnie też nie dlatego, że jej oferta programowa w istocie tak niewiele różni się od propozycji PiS, bo też jest skoncentrowana na finansowych prezentach dla wyborców („sześciopak Schetyny” kontra „piątka Kaczyńskiego”), a przez to pozostaje zabójczo wtórna. A jeśli już się różni, to głównie tym – komu, w jaki sposób i ile Platforma chce

podarować z kasy podatkowej. Ponadto zdecydowanie za mało w niej rzeczowych informacji o źródłach finansowania tych prezentów, przez co tym trudniej brać ją poważnie.

I tu właśnie dochodzimy do sedna sprawy. Czyli do kwestii, czyje polityczne zobowiązania (także te, a może nie w smak) można i należy traktować poważnie – a przecież tylko takimi warto sobie i innym zajmować czas. W odróżnieniu od PiS, który dał niejeden dowód, że złożone przez siebie propozycje traktuje niezmiennie, czasami wręcz śmiertelnie serio, Platforma cierpi w tej materii na widoczny gołym okiem gigantyczny deficyt wiarygodności. Osiem lat jej rządów – dwie kampanie przedwyborcze i dwie pełne kadencje, które po nich nastąpiły – jeśli już mogło wyborców o czymś przekonać, to właśnie o tym, że politycy Platformy mają własne obietnice po prostu w głębokim poważaniu – mają je za nic.

A czy ktokolwiek może i chce poważnie traktować program partii, jeśli nie traktują go poważnie jej liderzy? Nie traktują go poważnie aż do tego stopnia, że – tak jak niewiele dni temu Grzegorz Schetyna, a więc sam szef Platformy Obywatelskiej – nie potrafią wymienić nawet kilku podstawowych jego punktów? Precyzyjnie rzecz ujmując – sześciu punktów z „sześciopaku Schetyny”. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Algokracja jak socjalizm

W dużym uproszczeniu socjalizm można opisać następująco. Poza nielicznymi elitami z rządzącej partii PZPR, które żyły w luksusie, reszta miała podobny status, tak jak moja rodzina, zarabiając dość, żeby starczyło na zakup podstawowych produktów wystanych w kolejkach i na skromne życie w małych mieszkaniach. Partijne elity kontrolowały społeczeństwo za pomocą rozbudowanego aparatu służb specjalnych, które stosowały wyrafinowane metody inwigilacji, miały siatkę informatorów donoszących na obywateli. W zaawansowanym stadium socjalizmu każdy był kierowany do pracy przez aparat partyjno-państwowy, który oceniał, gdzie obywatel będzie najbardziej przydatny socjalistycznemu państwu. Dobra luksusowe przydzielano za zasługi, najłatwiej było je otrzymać, pracując w aparacie PZPR.

Po upadku socjalizmu jego ówczesnym elitom zapewne się nie śniło, że za sprawą sztucznej inteligencji i Internetu rzeczy w XXI w. zobaczymy powrót socjalizmu w większości krajów, ale w o wiele bardziej wyrafinowanej formie, gdzie różnica w zamożności między elitami a zwykłymi ludźmi jest stukrotnie większa niż poprzednio, a mechanizmy inwigilacji będą o wiele bardziej zaawansowane. Jest jednak jedna zasadnicza różnica. Tamten socjalizm został narzucony siłą, a ten jest

witany przez zwykłych ludzi z otwartymi ramionami. Nowa forma socjalizmu przyjmie formę algokracji, w której życie większości ludzi będzie zdeterminowane przez technologie tworzone i kontrolowane przez nowe technologiczne elity.

Co prawda, przeciętny człowiek żyje teraz na o wiele wyższym poziomie niż w socjalizmie, jednak rozdziw w dochodach między bogatymi i przeciętnymi jest wielokrotnie większy niż poprzednio.

O ile kiedyś o dostępie do kupna mieszkania decydowały partyjne koneksje, o tyle teraz decyduje algorytm komputerowy mierzący zdolność kredytową, a bez kredytu przeciętna osoba mieszkania nie kupi. O tym, czy przeciętny zjadacz chleba otrzyma pracę, decyduje algorytm skanujący CV oraz ślad cyfrowy aplikanta w Internecie (a w nieodległej przyszłości także w Internecie rzeczy). Inwigilacja już niedługo będzie wszechobecna, kamery miejskie będą w stanie rozpoznać osobę po sposobie chodzenia, a wynagrodzenie lub awans będą efektem algorytmicznej oceny różnych atrybutów aktywności danej osoby. Sztuczna inteligencja będzie analizowała nasze dane zdrowotne i nagradzała lub karała nasze zachowanie według oceny adekwatności tego zachowania do naszego stanu zdrowia.

Słysząc cichy chichot Bieruta zza grobu. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.



FOT. ADDE STOCK



Z dr. Andrzejem Ignaciukiem, ekspertem medycyny estetycznej
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Nowoczesne poprawianie urody

KATARZYNA PINKOSZ: Gdy mówimy o medycynie, zwykle mamy na myśli ratowanie życia, leczenie chorób. Patrząc z tego punktu widzenia, medycyna estetyczna jest medycyną? Leczy?

DR ANDRZEJ IGNACIUK: Zawsze najważniejsze jest ratowanie życia. Jednak wielu ludziom – zwłaszcza młodym – obecność jakiegos defektu estetycznego rujnuje psychikę i uniemożliwia normalne funkcjonowanie. Można ten defekt leczyć, podobnie jak w dermatologii np. trądzik. W medycynie estetycznej zwykle leczymy osoby zdrowe, ale bywają też pacjenci chorzy na serce, z nadciśnieniem, nowotworami. We Włoszech są specjalne ambulatoria

medyczne, które zajmują się estetyką w przypadku osób chorujących np. na nowotwory. Ludzie nawet w najgorszym stanie zdrowia chcą wyglądać dobrze.

Medycyna estetyczna, anti-aging, kosmetologia. Jakie są między nimi różnice? Czego możemy się spodziewać w gabinecie medycyny estetycznej, a czego nie dostaniemy u kosmetologa?

Medycyna anti-aging stanowi uzupełnienie medycyny estetycznej, która służy przede wszystkim dobremu samopoczuciu fizycznemu, psychicznemu i przeciwdziałaniu przedwczesnemu starzeniu się. To, jak się czujemy i wyglądamy, ma wpływ na

układ odpornościowy i nerwowy. Lekarz zajmujący się medycyną estetyczną musi przede wszystkim postawić diagnozę, porozmawiać o diecie, stylu życia, podpowiedzieć zmiany. Taka wizyta czasem pozwala na „wyłapanie” np. osób zagrożonych cukrzycą. Dopiero po postawieniu diagnozy można korygować defekt, leczyć. Po zabiegach mogą zdarzyć się powikłania – lekarz też musi je leczyć. Kosmetolog nie postawi diagnozy, nie leczy, nie wypisze recepty, nie zajmie się powikłaniami.

Zajmuje się pan medycyną estetyczną już ponad 25 lat. Jak przez ten czas zmieniło się podejście do niej?

Na początku lat 90. Polska miała zupełnie inne problemy. Początkowo lekarze patrzyli na mnie jak na dziwaka. Nawet podczas tworzenia sekcji medycyny estetycznej przy Polskim Towarzystwie Lekarskim jeden z profesorów pytał: „Po co takie rzeczy opowiadam, jak tu ludzie umierają na gruźlicę?”.

Tylko że ludzie mają różne potrzeby, nie wszyscy chorują na gruźlicę. W tamtych czasach medycyna estetyczna była adresowana do osób lubiących nowinki, najczęściej zamożnych, których nie zadowalało to, co oferowały gabinety kosmetyczne. Od tego czasu wiele się zmieniło. Polacy dużo podróżują, zauważyli, że

w innych krajach dbanie o siebie jest istotnym elementem życia.

Kolejna rzecz: podziwiamy celebrytów, chcemy być tacy jak oni. Duży wpływ ma również wzrost zamożności: można jeździć na wycieczki zagraniczne, kupować obrazy, ale też... bardziej dbać o siebie.

To nie jest już tylko „medycyna dla bogatych i celebrytów”?

Nie. Większość zabiegów kosztuje do 1 tys. zł. To kwestia wyboru, na co te pieniądze wydać. Jestem przeciwnikiem tego, by pacjenci poddawali się zabiegom, które nie są niezbędne, i brali w tym celu pożyczki. Sytuacje są różne: gdy przychodzi 20-letnia dziewczyna z większą wargą dolną, a mniejszą górną, to powiększając ją, sprawiam, że dziewczyna zaczyna akceptować siebie. Zupełnie inna sytuacja jest wtedy, gdy kobieta mająca duże i ładne usta chce je jeszcze powiększyć. Oczywiście też to możemy zrobić, jeśli nie ma przeciwwskazań, jednak jestem przeciwny wydawaniu dużych sum pieniędzy tylko w celu podążania za nowinkami, zwłaszcza kiedy ich skutki są w dużym procencie nieprzewidywalne.

Jakie zabiegi są najmodniejsze? Nadal króluje botoks?

Najczęściej przychodzą kobiety w wieku 30–50 lat. Liczba mężczyzn rośnie, ale nie przekracza 10–15 proc. Głównym problemem jest starzenie: zmarszczki, pogarszanie się struktury skóry, przebarwienia, zmiana rysów twarzy. Najczęściej wykonywanym zabiegiem jest wstrzyknięcie toksyny botulinowej – zabieg mający na celu korektę zmarszczek mimicznych twarzy. Kwas hialuronowy wstrzykuje się w celu likwidacji zmarszczek; zabiegi laserowe poprawiają wygląd skóry.

Nowością są zabiegi stymulujące przy zastosowaniu preparatów uzyskanych z krwi (głównie z osocza) i tkanki tłuszczowej pacjenta. Nici podwieszające, implementowane pod skórę, mają na celu nieznaczne podniesienie skóry – na twarzy, podbródku, szyi. Stosujemy też zabiegi z zastosowaniem ultradźwięków – to coś w rodzaju medycznego liftingu bez stosowania skalpela.

Pacjentka sama mówi, czy chce ultradźwięki, czy wstrzyknąć sobie własną tkankę tłuszczową?

Zdarza się, że przychodzą osoby z gotową „receptą”, co chciałyby mieć wykonane, jednak to tak, jakby przyjąć do chirurga i powiedzieć, żeby zrobić

operację w określony sposób. To nie jest sklep samoobsługowy. Do lekarza przychodzi się po to, aby uzyskać konsultację, poradę. Pierwsza wizyta ma służyć rozmowie, określeniu potrzeb, przedstawieniu propozycji terapii i wzajemnym zapoznaniu się. Potem dobrze jest iść do domu, przemyśleć sprawę. Dopiero na drugiej wizycie przeprowadzamy zabieg.

Zabiegi są bezpieczne? Zdarza się, że pacjent „po” wygląda gorzej niż „przed”?

Każdy zabieg wiąże się z ryzykiem powikłań. Ogromna większość ma charakter przejściowy. O wiele częściej występują one po zabiegach wykonywanych przez osoby, które nie są lekarzami, głównie przez kosmetologów. Często mają oni certyfikaty wystawione przez szkółących ich lekarzy, jednak z punktu widzenia formalno-prawnego ten kurs niewiele zmienia. Jeżeli pacjent jest odpowiednio zbadany, a zabieg dobrze wykonany, to powikłania zdarzają się rzadziej.

Jak w takim razie wybrać osobę, która wykona zabieg?

Powinno to być lekarz, i to nie tuż po studiach, tylko mający doświadczenie, w miarę możliwości specjalizację. Byłoby wskazane, żeby skończył szkołę medycyny estetycznej. Zawsze mówię pacjentowi tak: „Idź do lekarza, którego CV masz możliwość przejrzeć. Nie do tego, który pisze o sobie nieprawdopodobne rzeczy w Internecie. Oceniaj krytycznie, nie wierz w obietnice, że będzie łatwo i przyjemnie”. Ani w zdjęcia „przed” i „po”: nie ma gwarancji, że to nie retusz w Photoshopie. Trzeba mieć odwagę pytać – na przykład o doświadczenie lekarza. A pacjent zawsze powinien być poinformowany przed zabiegiem o ewentualnym ryzyku i mieć możliwość kontaktu w przypadku wystąpienia powikłań: nie z gabinetem, tylko bezpośrednio z lekarzem.

Polskie Towarzystwo Medycyny Estetycznej występowało o uregulowania prawne, aby kosmetolodzy nie mieli prawa wykonywania zabiegów.

Pisaliśmy do Naczelnej Izby Lekarskiej, Ministerstwa Zdrowia, ale na razie niewiele udało się zyskać. Nie ma kogoś o podobnym autorytecie jak konsultant krajowy w tej dziedzinie, przez co nie mamy możliwości oddziaływania na błędne zachowania niektórych lekarzy. Pocięszające jest jednak to, że uregulowaniami prawnymi zajęła się też Unia Europejska.

Polacy chętnie chodzą do lekarzy medycyny estetycznej?

Pod koniec września odbył się w Warszawie 22. Światowy Kongres Medycyny Estetycznej, w którym uczestniczyło ponad 1,2 tys. lekarzy z krajów znajdujących się w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Medycyny Estetycznej. To, że kongres odbywał się u nas, pokazuje, iż polska medycyna estetyczna ma się dobrze. W Polskim Towarzystwie Medycyny Estetycznej jest ok. 1,8 tys. lekarzy. To największe tego typu stowarzyszenie w Europie, a być może na świecie.

Da się zachować młodość na zawsze?

Nie, jednak można spowolnić proces starzenia, a ostatnie lata życia przeżyć w dobrej kondycji psychicznej i fizycznej. Mamy na to wpływ poprzez wysiłek fizyczny, dobre odżywianie, właściwą kosmetykę, umiejętność radzenia sobie z problemami psychicznymi, unikanie możliwych do uniknięcia chorób. Gdy organizm funkcjonuje gorzej, możemy go wspomagać, np. poprzez podawanie substancji, których może brakować, np. witamin, minerałów. Nie spowodują, że odmłodniejemy, ale będziemy lepiej funkcjonowali.

Gdy zabieg się udaje, pacjenci mają więcej wiary w siebie?

Tak. Zupełnie inaczej się zachowują, są odważniejsi, pewniejsi siebie, bardziej przebojowi, czują się atrakcyjniejsi. Czasami taki zabieg, zrobienie czegoś dla siebie, jest „oddechem” od codziennych problemów. Przestrzegam: on nie zmieni całkowicie życia na bezproblemowe. Natomiast wygląd wpływa pozytywnie na psychikę i zdrowie.

A mimo to nie lubimy chwalić się botoksem czy innym sposobem „poprawienia urody”...

To prawda, dlatego zabiegi powinny dać efekt świeżości. Kobieta woli usłyszeć: „Ładnie wyglądasz, jesteś taka wypoczęta”. Zabiegi najlepiej wykonywać etapami, dać pacjentowi czas także na przyzwyczajenie się do „nowego” wyglądu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



dr med. Andrzej Ignaciuk

– jest twórcą medycyny estetycznej w Polsce, prezesem Polskiego Towarzystwa Medycyny Estetycznej i Anti-Aging; www.drignaciuk.pl



Katarzyna Pinkosz

Najpierw powiększają się ręce i stopy. Trzeba powiększyć obrączkę, kupować większe obuwie. Najpoważniejsze zmiany dotyczą jednak serca, układu oddechowego, kości. Powikłania mogą skrócić życie nawet o 10 lat, jeśli chory nie będzie skutecznie leczony

Monika miała 30 lat, gdy przestała miesiączkować. Ginekolog i endokrynolog szukali przyczyny. Zaburzenia hormonalne? Tak wczesna menopauza? Leczenie nie dawało efektu. Nie wiadomo, jak długo by trwało, gdyby nie to, że w przychodni zmienił się endokrynolog. Nowa pani doktor musiała podejrzewać, że przyczyna problemów może być inna niż zwykłe zaburzenia hormonalne. Zleciła tomografię głowy. Badanie wykazało makrogruczolaka (dużego guza) przysadki, którego obecność została potem potwierdzona w rezonansie magnetycznym.

Dzięki operacji neurochirurgicznej dużą część guza udało się usunąć, jednak nie całość. Badania krwi potwierdziły u Moniki wysokie wartości hormonu wzrostu. W klinice uniwersyteckiej postawiono diagnozę: akromegalia.

LICZNE POWIKŁANIA

– Akromegalia to rzadka choroba związana z nadmiernym wydzielaniem hormonu wzrostu, co jest najczęściej spowodowane przez guz przysadki – wyjaśnia doc. Aleksandra Gilis-Januszevska z Oddziału Klinicznego Endokrynologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Nadmierne wydzielanie hormonu wzrostu pobudza produkowanie przez wątrobę tzw. czynników wzrostowych, które stymulują wzrost komórek organizmu. Objawy mogą dotyczyć – tak jak u Moniki – zaburzeń miesiączkowania, jednak zwykle najpierw można zauważyć powiększenie dłoni, nóg, stóp; często trzeba powiększyć obrączkę, zacząć kupować obuwie o większym rozmiarze, większe rękawiczki. – Pojawiają się też bardzo charakterystyczne zmiany, na które mógłby zwrócić uwagę stomatolog: dochodzi



FOT. ADAM STOK

Choroba nadmiaru

do rozrostu żuchwy i szczęki, powstają szpary pomiędzy zębami. Jednak najpoważniejsze powikłania akromegalii dotyczą narządów wewnętrznych. Może dojść m.in. do powiększenia serca, jego niewydolności i zaburzeń rytmu, powiększenia języka, struktur krtani z bardzo nasilonym zespołem bezdechu, deformacji kości i stawów. Nieleczona akromegalia skraca życie o 10–12 lat – opowiada doc. Gilis-Januszewska. Jeśli nadmiar hormonu wzrostu pojawi się jeszcze przed zakończeniem okresu dojrzewania płciowego, to może dojść do bardzo szybkiego wzrastania (gigantyzm).

Jedyną możliwością wyleczenia jest całkowite usunięcie guza. – Operacja neurochirurgiczna jest wykonywana zawsze, gdy to możliwe i pacjent wyraża zgodę. Jeśli się powiedzie, to jest szansa na wyleczenie, choć bywa, że dochodzi do wznowy. Jednak nawet częściowe usunięcie guza powoduje znacznie lepsze efekty późniejszego leczenia – dodaje doc. Gilis-Januszewska.

WALKA O LECZENIE

U Moniki nie udało się całkowicie usunąć guza, dlatego konieczne było leczenie farmakologiczne. – W Polsce leczymy akromegalię bardzo nowocześnie: jeśli chodzi o standardy, to nie odbiegamy od innych krajów europejskich; są bardzo dobre ośrodki neurochirurgiczne, jest radioterapia. Możemy też leczyć nowocześnie lekami – mówi doc. Gilis-Januszewska. Leki pierwszego rzutu to tzw. analogi somatostatyny, które hamują wydzielanie hormonu wzrostu, prowadząc do zmniejszenia guza i „kontrolowania” choroby, przez co przestaje się ona rozwijać. Niestety, u ok. 50 proc. pacjentów leki pierwszej generacji nie są skuteczne, czasami od początku choroby lub później pojawia się na nie oporność i przestają działać. – Od ubiegłego roku mamy możliwość zastosowania kolejnego, bardzo nowoczesnego analogu somatostatyny drugiej generacji. Jest on skuteczny u ok. 30 proc. tych ciężko chorych pacjentów, którzy nie reagują na lek pierwszej generacji. Największy problem jest jednak z tymi pacjentami, u których również ta linia leczenia nie jest skuteczna – mówi doc. Aleksandra Gilis-Januszewska.

U Moniki leczenie nie było skuteczne. – Wróciły objawy. Mocno przytyłam, choć jadłam niewiele, byłam wiecznie zmęczona, dopadały mnie poty. Musiałam powiększyć obręczkę, bo pogrubily

mi się palce, klatka piersiowa stała się bardziej wydatna. Pojawiły się nadciśnienie, kołatanie serca. Powtórna operacja guza nie była możliwa, ponieważ zbyt blisko znajdują się nerwy wzrokowe. Miałam radioterapię, jednak nie przyniosła efektu – opowiada Monika.

Dla niewielkiej grupy chorych, u których nie działają analogi somatostatyny, ratunkiem jest włączenie do terapii pegwisomantu. To antagonistą receptora hormonu wzrostu; lek jest skuteczny nawet u 70 proc. najcięższych chorych, u których zawiodły inne metody. Nie jest jednak w Polsce refundowany.

Monika miała trochę szczęścia: nowy lek otrzymała w ramach tzw. chemioterapii niestandardowej. Ustały kołatanie serca, unormowało się ciśnienie tętnicze. Lekarze, zdając sobie sprawę, że dla Moniki nie ma alternatywy, stanęli na głowie, by nadal go dostawała. Dzisiaj jest to możliwe jedynie w ramach tzw. procedury RDTL: ratunkowego dostępu do technologii lekowych. Szpital musi jednak co trzy–cztery miesiące wysłać podpisany przez lekarzy wniosek do Ministerstwa Zdrowia z uzasadnieniem i prośbą o objęcie leczeniem, a potem czekać na decyzję. – Procedury trwają, walka o lek spada niepotrzebnie na lekarzy i szpital. To nie jest „terapia ratunkowa”, bo nie jest to leczenie na miesiąc czy pół roku; trzeba je stosować stale u pacjenta, u którego wykorzystaliśmy już wszystkie inne metody. Lek powinien być refundowany dla tej małej grupy pacjentów, która nie reaguje na dotychczasowe terapie – przekonuje doc. Gilis-Januszewska.

UNIKNAĆ POWIKŁAŃ

U Moniki akromegalia została rozpoznana stosunkowo wcześniej, dlatego nie miała wszystkich tak charakterystycznych objawów. Dzięki skutecznemu leczeniu choroba nie zniszczyła narządów wewnętrznych. – W szpitalu często spotykam osoby, u których akromegalia została później rozpoznana lub później włączono leczenie lub nie jest ono skuteczne; są w znacznie gorszym stanie – opowiada Monika.

Ogromnym problemem w Polsce i innych krajach jest rozpoznanie. – To rzadka choroba, dlatego często diagnozuje się ją nawet z 10-letnim opóźnieniem. Objawy wydają się charakterystyczne, jednak zarówno pacjent, jak i rodzina, znajomi, a nawet lekarz przyzwyczajają się do wyglądu chorego. Często dopiero zmiana lekarza powoduje zwrócenie uwagi na

objawy, które z czasem narastają – dodaje doc. Gilis-Januszewska. Ma nadzieję, że mówienie o akromegalii, a także szkolenia lekarzy rodzinnych przyniosą efekty i choroba zacznie być rozpoznawana wcześniej, bo zmian, do których już doszło, nie da się cofnąć. Katarzyna Marcinkowska, prezes Stowarzyszenia Osób z Akromegalią, zwraca uwagę, że ogromnym problemem jest trudność w dostępie do endokrynologów, co bardzo opóźnia diagnozę. Ważne jest też to, żeby już po rozpoznaniu pacjenci byli pod opieką specjalistycznego ośrodka, w którym mieliby możliwość konsultacji z wieloma specjalistami, m.in. kardiologiem, ortopedą, neurologiem, gdyż objawy mogą dotyczyć wielu narządów. Ważne jest też wsparcie rehabilitanta i psychologa.

U Moniki dzięki skutecznemu leczeniu unormowało się ciśnienie tętnicze, choć musi przyjmować leki, jest też pod kontrolą kardiologa. Bywają dni, kiedy szybciej się męczy, ale nie tak, jak to bywało wcześniej. Może normalnie funkcjonować, zajmować się rodziną, chodzić do pracy. Najgorzej było wtedy, gdy zgoda na RDTL z Ministerstwa Zdrowia się opóźniła i przez trzy tygodnie nie miała leczenia. – Przez pierwszy tydzień było jeszcze w miarę dobrze, ale potem czułam coraz większe zmęczenie, objawy zaczęły wracać. Zawsze mam obawę, czy kolejna decyzja będzie pozytywna? Co zrobić, gdy nie dostanę leku? – mówi z obawą.

Docent Aleksandra Gilis-Januszewska przypomina, że chorzy nieskutecznie leczeni są narażeni na wiele powikłań. – Mają cztery razy wyższą śmiertelność z powodu chorób sercowo-naczyniowych, cierpią na bardzo zaawansowane choroby układu oddechowego i choroby układu kostno-stawowego. Często nie są w stanie ani pracować, ani samodzielnie funkcjonować. Dlatego jeśli jest terapia, to powinna być dostępna. Mam nadzieję, że w Polsce, podobnie jak w innych krajach europejskich, to leczenie dedykowane bardzo niewielkiej grupie pacjentów będzie już wkrótce dostępne – mówi ekspertka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Akromegalia

Słowo „akromegalia” pochodzi od greckich słów „akron” (kończyna) i „megas” (wielki). Na akromegalię w Polsce choruje ok. 2,5 tys. osób; co roku zapada na nią ok. 250 osób.

RYCERZE I WARCHOŁY

Stańczyk, komentator polityczny



JACEK KOMUDA

Stanisław Stańczyk to najślawniejszy polski błazen. Któż zresztą nie zna go z obrazu Jana Matejki?! Pierwszy bodaj wieszcz narodowy, zapowiadacz historii Polski i niezły komentator polityczny. Imponująca liczba jego powiedzeń i cytatów, popularnych zwłaszcza sto lat temu, pozwalałaby sądzić, że jest to postać jak najbardziej literacka i poetyczna, a przynajmniej taka, do której późniejsi pisarze polityczni i historycy dobudowali legendę. Tak jednak nie jest, ponieważ już w XVI w. zauważano powszechnie, że żarty Stańczyka znacznie przekraczały ramy dworskiego humoru, komentowano je i zapisywano w kronikach.

Ot, choćby tragiczny rok 1527. Dlaczego tragiczny? Otóż we wrześniu Zygmunt Stary wybrał się na łowy do Niepołomic, gdzie doszło do wypadku – wypuszczony na wolność niedźwiedź zaatakował świtę króla, obalił z koniem królową Bonę, która poroniła, wydając na świat syna Olbrachta, który zmarł zaraz po narodzeniu. W ten sposób przepadła młodsza linia Jagiellonów, która po śmierci Zygmunta Augusta być może zasiadałaby na tronie Królestwa Polskiego. Król powiedział wówczas do Stańczyka, który uciekał przed niedźwiedziem, a słowa jego zapisał Marcin Bielski w kronice: „Począłeś sobie nie jako rycerz, ale jako błazen”, na co wezwany odpowiedział: „Większy to błazen, co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swoją szkodę”. Historycy dopatrywali się w tym aluzji do zawarcia niekorzystnego traktatu z wielkim mistrzem Albrechtem Hohenzollernem, kończącego ostatnią wojnę polsko-krzyżacką, choć moim zdaniem mogło chodzić też o wspomniane poronienie królowej.

„Tenże Stańczyk, gdy go raz chłopa opadli i z niego suknie zdarli – zapisał Marcin Bielski – uciekł do



FOT. WIKIPEDIA

króla, powiedział królowi (a on go żałował, że go to obdarto): Bardziej królu ciebie drą niż mnie. Wydarto ci Smoleńsk, a przecie milczysz”. „Jakoż to Stańczyk był błazen osobliwy – podsumował kronikarz – z błazny szkoda panom żartować, bo prawdę radzi żartem rzekną”.

Kiedy urodził się Stańczyk i kim był? Małgorzata Wilska, autorka jego biografii, podaje, że ok. 1470 r., a karierę zaczynał jako żołnierz. Pochodził z rodziny szlacheckiej, z Małopolski, być może spokrewniony był ze Stańczykami wywodzącymi się z ziemi wieluńskiej. Jest całkiem możliwe, że był to rotmistrz, który w 1493 r. przebywał w otoczeniu króla Jana Olbrachta i który występuje też w rachunkach dworu kolejnego władcy – Aleksandra. Prawdopodobnie brał udział w wojnie z Moskwą i odniósł ranę, która uniemożliwiła mu dalszą służbę wojskową. Został zatem błaznem – najpierw przy boku swego dowódcy Jana Świerczowskiego. W 1520 r. w rachunkach dworu króla pojawia się zapis o nagrodzie dla człowieka określonego jako „miles mancatus”, co można tłumaczyć jako „rycerz okaleczony”, a ponieważ w tym samym czasie na dworze przebywał właśnie Świerczowski z błaznem, prawdopodobnie chodzi o Stańczyka, który został odtąd sługą Zygmunta Starego. Byłby więc postacią tragiczną: nie tylko

szlachcicem, lecz także błaznem – byłym żołnierzem, okaleczonym w wojnach, które Polska i Litwa toczyły z Moskwą; nie dziwią zatem jego wyjątkowo celne, prawdziwe i tragiczne komentarze.

Stańczyk pozostał przy boku Zygmunta już do końca życia monarchii. W 1539 r., podczas ślubu królowej Izabeli z Janem Zapolą, jednym z dwóch wybranych prawie równocześnie królów Węgier, poradził złośliwie królowi, aby zawczasu kupić dla córki kamienicę albo karczmę, która mogłaby zapewnić jej dochody po przewidywanym wygnaniu z Węgier. Jak podaje Małgorzata Wilska, bywał też na spotkaniach i biesiadach literackich w domu Klemensa Janickiego. Był też ulubionym błaznem króla, wypłacano mu sumy o wiele większe niż pozostałym. W źródłach podkreślano jego mądrość, często określano go także jako rycerza-błazna, a więc pisząc o nim: „miles-histrio”, „miles-morio”, „miles-mimus”.

Po śmierci Zygmunta Starego Stańczyk nie zrobił kariery na dworze jego syna Zygmunta Augusta. Prawdopodobnie ostatnim wydarzeniem historycznym, w którym uczestniczył, był wyjazd z Polski królowej Bony w 1556 r. Zmarł wkrótce potem, ok. 1560 r. Jego legenda tworzyła się już za życia – Klemens Janicki przedstawił go w satyrze „In Polonici vestitus varietatem et in constantiam, dialogus” jako rozmawiającego ze wskrzeszonym królem Władysławem Jagiełłą. Mikołaj Rej uwiecznił go w „Zwierzyńcu”. Kochanowski przytaczał jego powiedzenia. Największą karierę zrobił jednak w XIX w., stając się jednym z bohaterów dramatów Niemcewicz, Krasińskiego, Goszczyńskiego, obrazów Jana Matejki, patronem krakowskich konserwatystów zwanych stańczykami; na koniec uwiecznił go w „Weselu” Stanisław Wyspiański. ©

BUDKA SUFLERA, ZSRS I JAJKA W UMYWALCE

Jestem antytalentem kulinarnym. Potrafię ugotować jedynie wodę na herbatę (jeżeli czajnik jest sprawny). Natomiast podczas 45-letniej kariery muzyka w różnych sytuacjach próbowałem wielokrotnie doprowadzić do stworzenia jakiejś potrawy.

W czasach PRL-owskiej „nieubłaganej równości społecznej” po skończonym koncercie w każdym mieście Polski jedyną szansą na znalezienie kolacji była wizyta na dworcu PKP, gdzie obsługa w brudnym fartuchu wrzucała chochlą na talerz jakieś świństwo. Wyjątki od tej reguły zdarzały się niezmiernie rzadko. Aby uniknąć takich kulinarnych przygód, często kupowałem kilka podstawowych i dostępnych wówczas produktów spożywczych w celu przygotowania kolacji we własnym zakresie. Przepisów na te dania nie będę podawał, ponieważ na szczęście nie ma już takich produktów w sklepach, a poza tym takich potraw nie polecam.

Przypominam sobie natomiast trasę koncertową w Związku Sowieckim, która odbyła się kilkadziesiąt lat temu podczas Świąt Wielkanocnych. Wspólnie z kolegami postanowiliśmy spędzić te święta w miarę możliwości tradycyjnie, więc podstawą

było m.in. dzielenie się jajkiem. Podjąłem się zadania przygotowania tej możliwości.

W tym celu zakupiłem w „Uniwersum” kilkanaście jajek, przyniosłem je do hotelu, włożyłem do umywalki w hotelowej łazience i napuściłem do niej wody. Następnie pożytyłem elektryczną grzałkę do gotowania herbaty i próbowałem przez półtorej godziny zagotować wodę w hotelowej umywalce. Eksperyment oczywiście się nie powiódł, ponieważ grzałka miała za małą moc i mogła zagotować wodę w szklance, ale nie w umywalce z kilkunastoma surowymi jajkami.

Tak więc ten element Świąt Wielkanocnych w ZSRS niestety nie został zrealizowany.

Powyższa sytuacja stanowi jeden z wielu dowodów na to, że pomimo chęci i wysiłków nie jestem w stanie sporządzić potrawy, która kogokolwiek mogłaby zachwycić. Pozdrawiam wszystkich, którzy potrafią gotować, i gratuluję państwu talentu kulinarnego, którego ja nie posiadam! ©©

oprac. raw

**Mietek Jurecki
jest muzykiem,
basistą Budki
Suflera.**



FOT. MICHAŁ MARCIN/EAST NEWS



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Co to jest pizza

Ponieważ nastał sezon śliwek, postanowiłam wdrożyć produkcję tarty ze śliwkami.

W tym celu sięgam zawsze do mojej ulubionej książeczki pt. „Zapiekanki, suflety, tarty”.

Autor: Stanisław

Włodek, rok

wydania

1977,

wydaw-

nictwo

Warta.

Chociaż

tartę robi się co rok, to warto przypomnieć sobie dokładny przepis. Wypieki to chemia, nie można brać wszystkiego na oko, tak jak mam w zwyczaj.

Autor był mężem, nie pamiętam, czy pierwszym czy drugim, Marii Iwaszkiewicz, córki pisarza. Ta rodzina lubiła jeść i na jedzeniu się znała. A jednak ta rozpadająca się na pojedyncze kartki, pożółkła, cieniutka książeczka jest nie tyle dowodem wyrafinowanego podniebienia autora, ile heroiczną próbą wprowadzenia do repertuaru domowej kuchni w głębokim PRL potraw bardziej subtelnych niż schabowy z kapustą. Próbą raczej nieuwieńczoną sukcesem, z powodów tzw. warunków obiektywnych. Jak mogła się udać, jeśli większość produktów, które potrzebne były do zrobienia nowatorskich dań, nie była dostępna na rynku?

„Do zapiekania należy wybierać sery twarde i półtwarde, najlepszy jest parmezan i grojer, a z półtwardych cheddar” – pisze Włodek. „Mogą być też użyte łatwiej dostępne u nas sery takie jak tyłzyci, edamski, byle były ostre i do-

brze się topiły”. Z tego „łatwiej dostępne” się uśmieiałam.

Wolne żarty! Były jedynie dostępne! Przecież gdy żyłam w PRL lat prawie 30, tak nigdy nie widziałam parmezanu.

Chyba nie tylko ja, nikt wtedy

nie widział, mało kto

wiedział, co to

takiego. Nawet

w okresie

środkowego

Gierka, kiedy

importowano

chipsy z krewetek

z Wietnamu i proszek Ajax.

Kształcenie należy zacząć od podstaw. A zatem: „Do zapiekanki należy zaliczyć bardzo popularne danie włoskie, które nie ma odpowiednika w naszym języku, a powszechnie nazywa się pizza. Ojczyzną pizzy jest Neapol, pizza alla napoletana, ta słynna, od której wywodzą się wszystkie odmiany tego popularnego dania. [...] Pizza jest to cienki, okrągły placek z ciasta drożdżowego z położonymi na wierzchu pomidorami, anchois, oliwkami, kaparami, przyprawiony aromatycznymi ziołami i zapieczony”.

Dzisiaj ta propedeutyka kuchni włoskiej rozzmieszyła by nawet czteroletnie dziecko. Ono pizzę zna już lepiej niż zupę pomidorową czy krupnik. Na równi z kebabem i hamburgerem oczywiście. Oliwki, kapary w roku 1977! Nikt ich wtedy w Polsce na oczy nie widział.

Wiedziałam, że stare książki kucharskie są książkami historycznymi. Niekoniecznie nauczymy się z nich gotować, ale na pewno możemy nauczyć się historii. Czasem z pewną dozą humoru. ©©



FOT. ANDRZEJ STOK

KABRIOLET DLA CESARZA

Mierzy 534 cm długości i 193 cm szerokości, a pod maską pracuje hybrydowy, 5-litrowy silnik V8 o mocy 430 koni mechanicznych. Wyjątkowa japońska limuzyna, opracowana specjalnie na zaplanowaną na 22 października koronację cesarza Naruhito, powstała na bazie Toyoty Century – modelu, który choć jest w sprzedaży już od lat 60. ubiegłego wieku, to w zeszłym roku zadebiutowała dopiero jego trzecia generacja.

Czterodrzwiowy kabriolet dla cesarza został wyprodukowany z niezwykłą precyzją i starannością. Auto jest o 5 mm krótsze od standardowej wersji, tylne siedzenia zamontowano 4 cm wyżej, aby łatwiej było fotografować cesarską parę. Zamiast tablicy rejestracyjnej z przodu samochodu widnieje złote cesarskie godło.

Ręczne wykończenie samego emblematu na przednim grillu – aż trzykrotnie polerowanego na mokro – zajęło aż półtora miesiąca. Auto ma służyć cesarskiej parze nie tylko do dojazdu na koronację, lecz także podczas inauguracji letnich igrzysk olimpijskich w Tokio w przyszłym roku.

Poprzedni cesarz – Akihito – na swoją koronację w listopadzie 1990 r. jechał czarnym rolls-royce'em Corniche III (pierwsze zdjęcie z prawej). Toyota Century jest od niego dłuższa i szersza.



BEZPIECZNE „ELEKTRYKI”

We wrześniowych testach zderzeniowych Model 3 otrzymał najwyższą ocenę amerykańskiego IIHS. Nieco wcześniej świetne rezultaty podczas testów zderzeniowych Insurance Institute for Highway Safety otrzymał inny „elektryk”: Audi E-Tron. Samochody elektryczne stają się więc nie tylko ekologiczne, lecz także wyjątkowo

bezpieczne. A co z benzynowymi superwozami? Chris Reinke, szef Audi Sport customer racing, powiedział portalowi Car Sales, że spodziewa się, iż w przyszłości jazda tzw. performance cars po drogach publicznych będzie zakazana, a miłośnicy szybkiej jazdy benzynowymi bestiami będą musieli przenieść się na tor wyścigowy.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



SPADA SPRZEDAŻ NOWYCH AUT

O 8,6 proc. spadła w sierpniu obecnego roku w Europie sprzedaż nowych aut w porównaniu z sierpniem roku ubiegłego – poinformowała organizacja europejskich producentów ACEA. Trend ten widoczny jest również w Polsce, gdzie liczba rejestracji w sierpniu spadła w ujęciu rocznym aż o nieco ponad 15 proc. z 56,7 tys. do 48,1 tys. sztuk.

UKRYTA MOC „GARBUSA”

Aż 380 KM kryje pod maską kabriolet VW Beetle po tuningu niemieckiej firmy B&B. Dzięki wykrzesaniu z dwulitrowego silnika dodatkowej mocy „garbus” od zera do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 5,2 s, czyli o 1,5 s szybciej niż standardowy beetle. Od zera do dwustu auto po tuningu jest już szybsze o całe osiem sekund. Do 250 km/godz. z 231 km/godz. wzrosła też prędkość maksymalna. Oczywiście, dla bezpieczeństwa kierowcy i pasażerów wersja po tuningu zyskała też zestaw bardziej wydajnych hamulców. W sumie za całkowity upgrade – za sportowy układ wydechowy, lepszy system nagłośnienia i lepsze ogumienie – trzeba zapłacić w sumie ok. 90 tys. zł. ©

Jacek Przybylski

TEST „DO RZECZY”: EPSON ECOTANK L3160

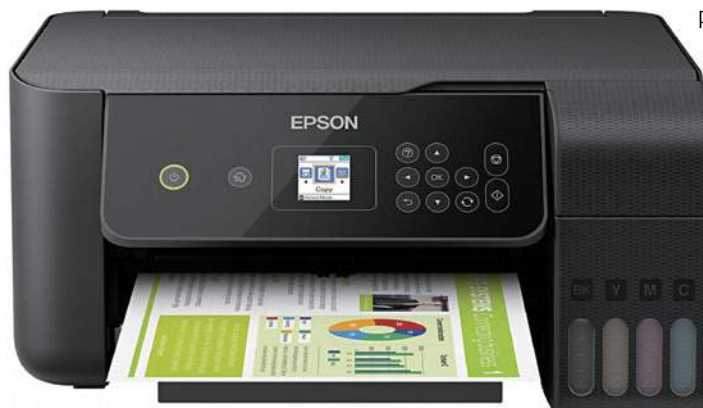
Oszczędny system napełnienia pojemników tuszem, niezły skaner oraz stosunkowo kompaktowe wymiary – to największe zalety nowego urządzenia wielofunkcyjnego przeznaczonego do domu lub do małego biura.

Epson EcoTank L3160 to typowy kombajn, czyli połączenie drukarki, kopiarki i skanera. Design na pierwszy rzut oka nie odbiega od podobnych urządzeń typu trzy w jednym. Model wykonany jest z plastiku dobrej jakości. Ma też – w porównaniu z niektórymi konkurentami – stosunkowo niewielkie wymiary (375 x 347 x 179 mm) oraz małą wagę (4 kg).

Do drukowania czy skanowania bez konieczności włączania komputera przydaje się niewielki kolorowy wyświetlacz LCD o przekątnej 3,7 cm (!). Dzięki niemu i zestawowi kilku przycisków obsługa urządzenia jest prosta oraz intuicyjna.

Zaletą serii EcoTank jest cena wydruków. Dzięki temu, że nie używa się kartridżów, ale

butelek z atramentem, epson może wyjść stosunkowo tanio. Według producenta czarny atrament powinien wystarczyć na 8,1 tys. stron, a kolorowy na 6,5 tys. stron, czyli nawet na trzy lata dla osób, które drukują średnio 225 stron miesięcznie. W razie potrzeby atrament łatwo się uzupełnia.



Zdjęcia i dokumenty tekstowe można drukować bezpośrednio z urządzeń przenośnych (za pomocą Wi-Fi i Wi-Fi Direct). Szybkość druku w czerni i bieli wynosi 10 stron na minutę,

a w kolorze – 5 stron na minutę. Rozdzielczość druku to 5760 x 1440. Jakość wydruków nie budzi zastrzeżeń. Urządzenie umożliwia także drukowanie zdjęć w formacie 10 x 15 (również bez marginesów). Kolory są niezłej jakości, ale nie jest to już tak znakomity poziom jak w przypadku typowych drukarek fotograficznych.

W niektórych przypadkach pojawiają się problemy z bielą, w innych z poziomem szczegółowości wydruków.

Skaner o rozdzielczości 1200 x 2400 dpi przy zmniejszonej do 200 dpi rozdzielczości skanuje jedną kolorową stronę przez aż 28 s, a czarno-białą – 11 s.

Skany są dobrej jakości. Poważnym minusem jest jednak brak podajnika ADF do skanera oraz możliwości automatycznego druku/ skanowania dwustronnego.

Model L3160 może się spodobać tym, którzy zazwyczaj potrzebują biurowego kombajnu, a co jakiś czas chcieliby też wydrukować dziadkom, rodzicom lub do domowej galerii zdjęcie ze smartfona lub z facebookowej/instagramowej galerii.

Cena: 849 zł. © ©

Jacek Przybylski

DRON PODWODNY

Życie w wodach, również w polskich akwenach, bywa fascynujące.

No, może z wyjątkiem Wisły na Mazowszu, gdzie podwodny świat za sprawą nieudolności prezydenta Trzaskowskiego i jego urzędników zaczyna wymierać. W każdym razie to, co się dzieje pod wodą, jest godne zainteresowania i nawet jeśli nie ma się ambicji odkrycia zatopionej Atlantydy, to warto tam i ówdzie zerknąć. A można to zrobić, korzystając np. z podwodnego minidrona CHASING DORY, obecnie najmniejszego i zarazem bodajże najbardziej przystępnego cenowo urządzenia tego rodzaju.

Sterowany smartfonem, uzbrojony w kamerę F1.6 i pięć wysokoprężnych minisilniczków, z automatycznym oświetleniem, możliwością zamieszczania nagrań na portalach społecznościowych w czasie rzeczywistym. Do tego oczywiście pamięć wewnętrzna 8 GB, Wi-Fi i możliwość szybkiego ładowania.

Cena na Kickstarterze to ok. 1,4 tys. zł, tam też można zamawiać, a dostawa w październiku.



ZŁAP TROCHĘ SŁOŃCA

Puszczaliście kiedyś słoneczne zajaczkę lusterkiem? Mniej więcej na takiej zasadzie działa Caia – inteligentny robot, którego jedynym zadaniem jest przechwycić promienie słoneczne, zapamiętać kąt, z jakiego padają danego dnia o danej porze, i przekierować je do wnętrza pomieszczenia, tak by światłem słonecznym je rozświetlić. Przydatne, zwłaszcza ponurą jesienią, gdy słońce z niewielkim sukcesem przebija się przez chmury, okna i firanki.

Sposób instalacji urządzenia nie jest szczególnie skomplikowany – montuje się je specjalnym uchwytem w słonecznym miejscu wewnątrz lub na zewnątrz, a następnie wystarczy wskazać kierunek, który chcemy oświetlić; urządzenie zajmie się całą resztą. Nie wymaga baterii, bo – co wydaje się oczywiste – zasilane jest właśnie energią słoneczną.

Zamawiać można na Indiegogo, dostawy w toku, ale zapłacić trzeba ok. 1 tys. zł. © ©



Wojciech Wybranowski



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Królowa Śniegu

Tajga... Jak w bagnie gnijący trup. Głusza na wieki wieków.

Otchłań, gdzie zda się – nawet Bóg – Zapomniał o człowieku.

(Beata Obertyńska „Tajga” z tomu „Gulag polskich poetów”)

To kobieta, pisarka i poetka Beata Obertyńska napisała pierwszą znakomitą literacko powieść o swoich przejściach w sowieckich łagrach „Z domu niewoli”, wydaną w Rzymie już w 1946 r., a więc kilka lat wcześniej od „Na nieludzkiej ziemi” Józefa Czapkiego (1949) oraz „Innego świata” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (1951), którzy odebrali Obertyńskiej palmę pierwszeństwa. Jej książka wyszła w Polsce jedynie w wydawnictwach drugoobiegowych, oficjalnie dopiero po upadku komunizmu, w 1991 r., ale w oficynach drugoplanowych, nieliczających się. Nie znalazł się też wydawca angielskiego tłumaczenia „W domu niewoli” – lewicujące i komunizujące zachodnie elity „Sartry”, jak mawiał o nich ironicznie Herbert, nie chciały wierzyć w istnienie sowieckich łagrów, uwierzyły dopiero Sołżenicynowi. Obertyńska jest więc nadal wielką nieobecną naszej literatury, nieistniejącą niemal w czytelniczej świadomości, wydawaną rzadko

i okazjonalnie, czekającą wciąż na swoją biografię i pełny wybór wierszy.

Pisanie miała w genach – była córką młodopolskiej poetki Maryli Wolskiej, wnuczką Wandy Młodnickiej, narzeczonej Artura Grottgera, który zmarł, zanim zdążyli się pobrać, która również pisała, tłumaczyła Andersena. Siostra Beaty, Aniela zwana Lelą, malarka i rzeźbiarka, poślubiła Michała Pawlikowskiego, z tych Pawlikowskich, bywały więc często w ich majątku w Medyce i willi Pod Jedłami w Zakopanem. Rodzinny dom Beaty i Leli, gdzie gościli m.in. Leopold Staff, Ignacy Paderewski, Jan Kasprzowicz, Władysław Bełza, był intelektualnym salonem przedwojennego Lwowa, do tego bardzo bogatym. Ich ojciec, inż. Wacław Wolski, jeden z pionierów przemysłu naftowego na Podkarpaciu, dorobił się na nafcie wielkich pieniędzy.

„Niepojęte szczęście tamtych lat” skończyło się jednak definitywnie, gdy w 1940 r., po wkroczeniu do Lwowa Armii Czerwonej, Obertyńska, razem z wieloma innymi Polakami, została aresztowana, „oddana tundrom i tajgom” – jak potem pisała. Uznana za „wroga klasowego” – jaśnie panią, obszarniczkę i kamieniczniczkę, która prowadziła w swoich majątkach antykołchozową agitację. Skazana na pięć lat ciężkich robót w łagrze Loch-Workuta pod Uralem. Wcześniej jednak musiała przejść kolejne stacje swojej męki – czarny woron, zakratowany, więzienny samochód, areszty we Lwowie (słynne Brygidki), tiumy w Charkowie, Starobielsku. Zatlócone cele – smród, robactwo, przekleństwa, wielotygodniowy transport do łagru.

Przeżyła dzięki zabranemu w ostatniej chwili ciepłemu pledowi, a także... bajkom, opowiadanym wieczorami swoim

towarzyszkom niedoli, nie tylko członkiniom lwowskiej AK, lecz także prostytutkom, złodziejkom, które ich nie znały i płaciły jej chlebem i machorką, bo namiętne paliła. Najbardziej lubiła tę o Królowej Śniegu, Gerdzie i Kaju, uwięzionych, tak jak i one, wśród odwiecznych lodów oraz śniegów.

Nie spędziła w Loch-Workucie pięciu lat, uratował ją wy-czekiwany przez więźniarki cud, czyli armia Andersa, do której dotarła razem z innymi łagiernikami, szkieletami w łachmanach. „Może nie wszyscy, ale dojdziemy” – śpiewali. Jej się udało, miała tylko 43 lata i choć los ją doświadczył, nigdy jej nie złamał. Już w polskim mundurze wyszła z II Korpusem z nieludzkiej ziemi, przeszła z nim cały szlak – Persję, Palestynę, Egipt i Włochy, gdzie poprosiła o urlop i napisała „W domu niewoli”.

Ostatnim etapem jej życia było wygnanie. Osiedla w Londynie, w wynajętym domu, gdzie mieszkała razem z siostrą, której jeszcze przed wojną udało się przedostać na Zachód. Pozostała samotna, bezdzietna, cieszyła się więc rodziną Leli, jej czworgiem dzieci, była dla nich ich drugą matką. Współpracowała z emigracyjną prasą, wydawnictwem Veritas, żyła skromnie – czcionki jej starej maszyny do pisania przywiązane były drucikami. Siostra i szwagier odwiedzali czasem Polskę, zgodnie z ich ostatnią wolą pochowano ich w Zakopanem, na Pękowym Brzyzku, w rodzinnym grobie Pawlikowskich, wśród swoich. Beata natomiast jako autorka książki o sowieckich łagrach trafiła do indeksu osób w PRL niepożądanych i nigdy nie otrzymała polskiej wizy. W 1982 r. spoczęła więc na jednym z londyńskich cmentarzy – „W domu niewoli” skazało ją również na pośmiertne wygnanie. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Gombrowicz oraz żenada

Ja tu bronie, a nie oskarżam. Bronię Gombrowicza. Zresztą niepotrzebnie, bo on się sam broni i się obronił i nie potrzebuje mojej obrony. Klasyk to rewolucjonista, któremu się udało – nie pamiętam akurat, kto to powiedział i czy tymi słowami powiedział, ale tak mi się to podoba, że w razie czego mogę to wziąć na siebie.

Gombrowiczowi się udało, bo miał wizję, talent, był konsekwentny, pionierski, a za jego prowokacjami wszystko to się kryło. Reżyser teatralny Adam Sroka powiedział kiedyś o Gombrowiczu, że jest „superelitarny”. Bardzo mi się podoba to określenie, ponieważ trafia w punkt. Argumentował, że jest taki superelitarny, bo nie każdy może zrozumieć jego dowcip, ironię i zaakceptować „polskość” rozumianą pobieżnie, powierzchownie. Nie no, jednak bronie Gombrowicza.

Bronię go przed tą panią Jachirą Klaudią. O matko! Klaudia Jachira ma lat 31 i kandyduje do Sejmu. O matko! Nie żartuję! O matko! Dobra, ja to się coś nie mogę zdecydować. Ja tu jednak oskarżam. Jak można wycierać sobie usta Gombrowiczem, Szanowna Pani Jachiro, będąc panią Jachirą, mówiąc jak pani Jachira i działając jak pani Jachira? No jak? O rozum apeluję. Nie wiem, czy dobry adres, nie wiem. Pani Jachira kandyduje zatem do Sejmu z list partii, której członkowie, dowiedziawszy się o wyczynach tej pani, zgodnie ustawili się przed kamerami i mikrofonami i rzekli: „O matko!”.

Lista infantylnych głupstw, które raczyła popełnić ta pani, jest zaiste imponująca. Określając jej dokonania „infantylnymi głupstwami”, litościwy jestem. Nie będę tych działań choćby w części przytaczać, gdyż nawet jak o tym myślę, poddusza mnie żenada. Nie, nie, pani Jachira ma na imię Klaudia, nie Żenada, chociaż... No dobrze, nieorientowanym powiem tylko, że ta pani stała przy pomniku Armii Krajowej, na którym jest ważny dla Polaków napis: „Bóg, Honor, Ojczyzna”, z transparentem: „Bób, Humus, Włoszczyzna”. Kandydatka na posłankę...

Potem pani Jachira udzieliła wywiadu w radiu i redaktor Beacie Lubeckiej powiedziała, że jej działania są inspirowane właśnie Gombrowiczem. Ja słuchałem tego wywiadu na uszy i mogę w razie czego zeznać pod przysięgą, że są na świecie mózgi wykonane w technologii 2D. Pod przysięgą zeznam.

Ponieważ wiem, że pani Żenada, tfu, przepraszam, pani Klaudia oczywiście, przeczyta ten mój artykuł, to w ramach walorów edukacyjnych przytoczę ważny cytat z Gombrowicza: „Sztuka i ojczyzna same przez się niewiele znaczą. Znaczą one bardzo wiele, gdy człowiek poprzez nie wiąże się z istotnymi, najgłębszymi wartościami bytu”. To tak à propos ważnych znaczeń. I na koniec jeszcze jeden cytat z pana Witolda, ale nie jestem pewien, czy dokładny, zdaje się z „Ferdynurka”: „Konic i bomba, a kto na żenadę głośnie, ten trąba”. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Satyra lotów najwyższych

Kojarz państwo „Sok z Buraka”? Serwis memowy, o którym od lat piszę, jako propagandowym wzorcu z Sèvres? To tam jedną z posłanek i konserwatywnych publicystek kłamliwie oskarżono o dokonanie aborcji i zatajenie tego faktu. Tam również wielokrotnie podawano fałszywe cytaty, zmontowane zdjęcia oraz seksistowską i wulgarną treść obrazkową. Jak udało mi się ustalić, wszystkie nitki polityczno-finansowe od dawna prowadziły do tego samego, związanego z PO kłębka. Dzięki śledztwu policji wiemy już, że to prawda. Jednym z właścicieli strony internetowej „Soku” jest bowiem Mariusz Kozak-Zagozda, pracujący wcześniej dla PO, a obecnie prowadzący profile w mediach społecznościowych dla warszawskiego ratusza. Czy Rafał Trzaskowski widzi jakikolwiek problem w płaceniu kilkunastu tysięcy złotych człowiekowi, który (po godzinach?) zajmuje się aktywnym promowaniem bardzo selektywnie wybranego grona polityków opozycji oraz masowym hejtowaniem PiS? – Trudno powiedzieć, ale niech mi ktoś pokaże jeden hejterski wpis tej osoby na ratuszowych stronach – powiedział portalowi Wirtualne Media Kamil Dąbrowa, rzecznik prasowy ratusza, zapytany, czy umowa współpracy z Kozakiem-Zagozdą zostanie przedłużona.

Wody w usta nabrało w tym samym czasie zaskakującą wielu hiperaktywnych na Twitterze komentatorów, którzy po chwili pierwszego szoku przeszli jednak do narracji w stylu: „Od »Soku«

won, tłumaczcie się z propagandowego TVP”. – Zaczęłam obserwować #sokzburaka. „To nie jest hejterski profil. To ważny punkt oporu przed pisowskim uzurpatorskim zaborem Rzeczypospolitej. Obserwujcie go i popularyzujcie” – zatweetował np. były minister Waldemar Kuczyński. „Twórcy największej maszyny nienawiści i pogardy w polskiej historii, która opluwa największych patriotów i pośrednio sprawiła, że Paweł Adamowicz nie żyje, chcą odwrócić uwagę od swego hejterstwa i zrobić naczelnym hejterów z pani Jachiry i z soku z buraka. OSZUSTWO i GROTESKA” – dodał Tomasz Lis (pisownia oryginalna). „Kochani nic się nie dzieje! Kłamliwe paszkwile i nagonka nam nie zaszkodziły! SHOW MUST GO ON! Pamiętajcie #SilniRazem i nie świruj idź na wybory!” – dodał odgrywający rekonstrukcję historyczną podziemia solidarnościowego profil „Soku”.

Czy można się w tym absurdzie pogryźć głębiej? Zawsze można. Wojciech Maziarski w „GW” pisze: „Reżimowa propaganda wzięła na celownik Klaudię Jachirę i autorów profilu facebookowego »Sok z buraka«. Takiej kampanii nienawiści, rozpętanej przez liderów PiS i ich medialnych giermków, nie powstydziłoby się Mieczysław Moczar i jego kumple z marca 1968 r.” – czytamy. Maziarski dodaje również, że to strona „chwilami całkiem śmieszna i celnie wbijająca szpile w tłusty zadek »dobrej zmiany«”. A co ja mogę dodać? Również pozostanę przy śmiechu. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Co łączy kobietę z krową?

Co łączy los kobiet i zwierząt w społeczeństwie? Czy patriarchat jest wspólnym spoiwem opresji? Czy feminizm i ruch prozwierzęcy mają ten sam cel? Czym jest siostrzeństwo ponadgatunkowe?

Te i inne ważne pytania postawiły uczestniczki Kongresu Organizatorki Kongresu Kobiet, zapraszając na panel „Przemoc ma płęć. Życie samic zwierząt hodowlanych” poświęcony „siostrzeństwu ponadgatunkowemu”. Najwyraźniej z kilkuletnim opóźnieniem także do nas dotarł trend porównywania kobiet i zwierząt hodowlanych, żeby pokazać, jak bardzo ich

nie rozumiałam, co złego zrobiłam – mówiły emocjonalnym głosem kolejne kobiety, aby na końcu uświadomić widzowi, że kobiety tylko relacjonowały przeżycia sztucznie inseminowanych – czyli po prostu gwałconych – krow. Kampania – ciekawe dlaczego? – nie spotkała się ze zrozumieniem opinii publicznej, organizacji wytykano brak wrażliwości na cierpienia gwałconych kobiet, których nijak nie można zestawiać z cierpieniem krowy poddawanej sztucznej inseminacji.

Od biedy mogę zrozumieć, że prozwierzęcy aktywiści dla wywołania pożądanego efektu posuwają się do wyolbrzymiania cierpienia sztucznie zapładnianej krowy porównaniem go do tego, co przeżywa gwałcona kobieta, ale nie umiem zrozumieć, jak się w tym odnajdują feministki. Przemoc seksualna ma nie tylko aspekt fizyczny i wcale nie on jest najważniejszy. Gdyby tak było, trauma po gwałcie znikałaby razem z sińcami. Nawet jeśli krowa cierpi podczas sztucznej inseminacji, to ten „gwałt” na niej nie determinuje jej dalszego życia. Nie mieści mi się w głowie, jak w ogóle można zestawiać te sytuacje, bo choć na potrzeby przy-

ciągnięcia uczestników może się to sprawdzać, to jednak poniża kobiety. A to właśnie feministki były inicjatorkami panelu o „zwierzęcej kobiecości”. „Płęć jako wyrok, ciało jako towar – sztuczna inseminacja, wymuszone i przerwane macierzyństwo, spieniężona laktacja, niechciana starość” – nie wiem, jak inne panie, ale ja się niespecjalnie dobrze czuję ze stawianiem naszych kobiecych doświadczeń zbyt blisko doświadczeń samic zwierząt. Trochę się też dziwię, że same feministki nie dostrzegają narracyjnej pułapki, w jaką mogą łatwo wpaść. Mówiąc bowiem o „przerwanym macierzyństwie” krowy, która cierpi, bo zaraz po porodzie odebrano jej małe krowie dziecko, trzeba się zmierzyć z bardzo nie lubianym przez feministki pytaniem, czy na pewno u człowieka to głównie kultura, a nie natura, odpowiada za podział ról między płcie. Jeśli feministki skutecznie przekonają nas, że samce zwierząt są z natury szowinistycznymi świniami, a ludzie od zwierząt niewiele się różnią, to czy nie okaże się, że ten cały patriarchat jest po prostu „ponadgatunkowo” naturalny, a walka z nim nieekologiczna? © ©

Czy na pewno u człowieka to głównie kultura, a nie natura, odpowiada za podział ról między płcie

sytuacja jest podobna. W 2016 r. PETA – organizacja działająca na rzecz etycznego traktowania zwierząt – wypuściła klip, na którym kolejne kobiety udręczonym głosem relacjonują traumatyczne doświadczenie. „Jeden mężczyzna mnie przytrzymał, kiedy inny mnie dotykał”, „Byłam przerażona,

PODSŁUCHANE

I wtedy podbiega Janusz

Marian, ten bandziorek naprawdę do ciebie dzwonił? Tylko prawdę mów. Wiesz, że ja się i tak w końcu wszystkiego dowiem.

Wiem, Jarku. No dzwonił, faktycznie, mówiłem przecież. Ale to bardzo sympatyczny chłopak jest, nie żaden bandziorek.

Nie wciskaj mi, jak to się mówi, kitu. Wiem, co to za jeden.

Ktoś cię w błąd wprowadza. Ty wiesz, jak ja go poznałem, tego Janusza?

Skąd mam wiedzieć.

Kiedyś idę na Kazimierzu i widzę – jakiś drab podbiega do staruszki i chce jej torbę z zakupami wyrwać...

To on był?

No właśnie nie. I wtedy podbiega Janusz i mówi do tego zbója:

„Chłopcze, nie wstyd ci? Zostaw tę starszą panią w spokoju, bo cię uderzę”.

Tak mu powiedział?

Jak Boga kocham! Tamten odszedł, a Janusz jej pomógł nieść

siatkę. Ja to widziałem, bo akurat byłem obok w kawiarni. Wzruszyłem się, podszedłem, zaczęliśmy rozmawiać, opowiedziałem mu o tym AK-owcu, od którego miałem kamienicę.

Janusz się też wzruszył. Potem poszliśmy razem na Wawel, złożyć kwiaty na grobie Piłsudskiego...

Czy tobie się zdaje, że ja mam demencję?

Nie, ale jakby coś, to Janusz w ramach wolontariatu pomaga starszym ludziom. © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Mam pomysł na pokonanie PiS”.

GRZEGORZ SCHETYNA, lider PO, w rozmowie z „Rzeczpospolitą”

fol. Jerzy Gumowski



Politycy (1)

zagłosowania na „mniejsze zło” (prof. Robert Gwiazdowski: „— Nie ma dobrych polityków, są tylko mniej źli. Jeśli więc macie wybierać mniejsze zło — wybijcie najmniejsze zło”, 2019). Ta jakże często piętnowana kiepskość polityków jest prostym rezultatem partyjnego ich werbunku/naboru, vulgo: takiej a nie innej selekcji. Wszyscy mający się za sprytnych/rozsądnych przywódcy partii kaptują członków według zasady pierwszego szefa CzK, Feliksa Dzierżyńskiego; ten powiedział: „— Jeżeli mam do wyboru człowieka, który jest nasz, lecz niezbyt zdolny, albo człowieka, który nie podziela naszych poglądów, lecz jest bardzo zdolny — to zawsze wybieram tego pierwszego”. Trudno się tedy dziwić padającym co i rusz propozycjom powrotu do starogreckiego systemu losowego — w demokracji ateńskiej urzędy obsadzano drogą losowania kandydatów i nominatów spośród obywateli. Dzisiaj postulują to rozliczni eksperci (vide belgijski historyk David Van Reybrouck, czy też amerykański politolog Ja-

Wkrótce znowu pójdziemy głosować. Po co? Żeby wybrać sobie polityków, którzy będą rządzić Państwem i państwem. A jak Państwo wiedzą (lub powinni wiedzieć) — profesja (by nie rzec: proceder) polityka ma wciąż notowania tak złe, iż o gorsze trudno (psycholog Wiesław Baryła: „— W rankingach CBOS zawód polityk od lat pęcha na dnie szacunku, obok prostytutki i złodzieja”, 2019). Dlaczego od niepamiętnych czasów tak ciężko jest ludziom/społeczeństwu/państwu osiągać ten demokratyczny ideał, który polega na tym, że suwerenność ludu (wybory) powinna być balansowana suwerennością prawa (sprawiedliwość)? Otóż właśnie dlatego, że rozgrywającymi („playmakerami”) demokracji są politycy, jakże chętnie przywdziewający togę adwokata diabła. Gdybyśmy czekali na pojawienie się polityka nieskazitelnego (arcyszlachetnego, arcyczcziwego, itp.) — spędzilibyśmy całe życie wewnątrz poczekalni. Nie liczymy na cud, aniołów nie ma, zwłaszcza w sutenerstwie i w polityce, gdzie stale trafiają się takie kreatury jak Palikot, Petru czy Pierdoń. Prof. Jacek Hołówka (filozof, etyk): „— Do tego zawodu trafiają przeważnie ludzie bez przygotowania, bez testu charakteru, oportunistów. W polityce dominuje plankton, a brakuje mężów stanu. Tak było, tak jest, i tak będzie” (2016). Brakuje, co nie znaczy, że nigdy się nie trafiają. Jak ich zauważyć? Według definicji Winstona Churchilla różnica między politykiem a mężem stanu jest taka, że „polityk myśli o następnych wyborach, a mąż stanu o następnych pokoleniach”.

Rytualne myślenie o następnych wyborach determinują żelazne reguły systemu demokratycznego — konieczność rotacji władz. Dlaczego jest to konieczność wyjaśnił bezbłędnie Tony Blair, były premier angielski: „Politycy są jak pieluchy. Trzeba ich zmieniać regularnie i z tego samego powodu”. Stąd cykliczne maszerowanie do urn w celu

∞

*Powiedzonko ukraińskie:
„Najbardziej szkodliwą pracę
mają politycy. Nikt tak nie
szkodzi jak oni”*

∞

son Brennan). Meksykański filozof Claudio López-Guerra proponuje wręcz losowanie 20-tysięcznej elity (spośród oświeconych mieszkańców kraju), która byłaby reprezentatywna dla „zdrowego państwa”. Wszyscy ci zwolennicy loterii wierzą, iż „ślepy los” wybrałby „mniejsze zło” lepiej niż urna służąca hordom naiwnych durniów — mocą „rachunku prawdopodobieństwa”.

Urna czy loteria — zawsze społeczeństwo („demos”) wyraża nieuleczalną tęsknotę za moralnością/przyzwoitością obranych polityków. Na temat związku etyki z polityką pisywano od czasów starożytnych. Rozprawy te prezentowały różne (czasami krańcowo) poglądy. Machiavelli uważał (1532), że polityk jedynie będąc skurwysynem może być skuteczny, a de Mably twierdził (1763),

że dla skuteczności swych działań musi on być wzorem moralnych cnót. Ta druga teza bywała słusznie wyśmiewana jako utopijna (Napoleon: „Określenie «cnota polityczna» to nonsens”), nie tylko przez fachowców, albowiem miliony ludzi na świecie są zdania, że szukać wśród polityków ludzi uczciwych to jak szukać dziewic w burdelu. Kazimierz Przerwa Tetmajer: „Upolityków najprostsza droga do celu jest zawsze kręta” (1918). Andrzej Olechowski (eksminister czterech rządów III RP): „— W polityce nie istnieje słowo lojalność, nie ma przywiązania do wartości i pryncypiów. A co najgorsze — różne paskudne rzeczy tłumaczy się za pomocą wielkich słów, najczęściej odwołując się do patriotyzmu” (2017).

Francuski żarcik mówi: „Jaka jest różnica między Nelsonem Mandelą a francuskim politykiem? Ta, że Mandela siedział w więzieniu zanim zaczął rządzić”. Rutynowani politycy całego globu wiedzą, że najważniejsza reguła uprawiania polityki to: „Nie daj się przylapać!”, wszystkie inne mechanizmy tej profesji (np. dotyczące wyborów czy faworów) stoją niżej. Co rodzi porównania z profesją kryminalistów, gdzie reguła nr 1 jest bardzo podobna: „Nie daj się złapać!”. Kazik Staszewski (lider Kultu): „— Politycy to klasa społeczna zbudowana według struktur mafijnych. Z tą jedynie różnicą, że działają legalnie” (2018). Odzwierciedleniem tego są „kawały” funkcjonujące w wielu krajach, niżej parę przykładów. „Mężczyzna krzyczy na ulicy: «— Złodzieje powinni siedzieć za kratą!». Cywilny funkcjonariusz wykręca mu rękę, warcząc: «— Obywatelu, jesteście aresztowani za wzywanie do obalenia władzy!»”. Polskie „kawały” nie są gorsze: „Nauczycielka: «— Jasiu, dlaczego napisałeś w wypracowaniu, że twoja mama jest tancerką na rurze? Przecież twoja mama jest działaczką partyjną i posłanką sejmową». Jasio: «— Tak, proszę pani, ale ja się wstydzę z tego powodu»”. Puentą może być pewien dowcip niemieccki: „Uczciwy polityk, pracowity urzędnik i Święty Mikołaj znaleźli banknot 100 euro. Który z nich go sobie weźmie? Święty Mikołaj, pozostali dwaj nie istnieją”.

W powyższym akapicie, tyczącym więzów między światem (półświatkiem) polityki a światem przestępczym, zacytowałem pana Staszewskiego (frontmana kapeli), ale to nie znaczy, że dysponuję jedną tylko taką diagnozą rodzimą. Przeciwnie — podobnych wypowiedzi zanotowałem sobie multum, i jedynie ograniczenia „metrażowe” (felietonowa szczupłość miejsca) sprawiają, że mowy nie ma o zacytowaniu wszystkich. Dzisiaj więc jeszcze dwie. Prof. Jacek Hołówka: „— W polityce zawsze były osoby, które robiły duże oraz małe świństwa, mali gracze, gangsterzy, idioci” (2016). Reżyserka Maria Sadowska: „— Ja też mówiłam: «Wszyscy politycy to debile, skorumpowani, głupi, nie ma się co tym zajmować, i tak nie mam żadnego wpływu na losy kraju»” (2017). C.d.n. ©©

Waldemar Łysiak





Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY
poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
/NA ZDJĘCIU/

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ



NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENASI KONCERTU:



PARTNERZY:

